tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 27 (1278)
1-7.07.2024
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. LECH SZCZEGÓŁA
ELEKTORAT ŁAKNIE KRWI

BEZKARNI ZŁODZIEJE
OD BANKOMATÓW

STALIN, CHURCHILL I ROOSEVELT
MIELI „SWOICH POLAKÓW"

JACEK PAŁKIEWICZ
WŚRÓD PLEMIENIA HUAORANI

MIESZKANIA CORAZ MNIEJSZE, CORAZ GORSZE I CORAZ DROŻSZE

DEWELOPER WCIŚNIE CI WSZYSTKO

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
27 >
9 771509 311409

eprasa.pl 7caae2c07

HUMANITARNA WAMPIRZYCA POSZUKUJE OSÓB CHCĄCYCH POPEŁNIĆ SAMOBÓJSTWO
REŻYSERIA ARIANE LOUIS-SEIZE
Takiej historii o wampirach jeszcze nie widzieliście!
19 NAGRÓD I 22 NOMINACJE
GIORNATE DEGLI AUTORI VENICE DAYS
nagrody Giornate degli Autori, Fanheart3, Wyróżnienie za scenariusz Authors Under 40
THESSALONIKI INTERNATIONAL FILM FESTIVAL
Nagroda publiczności
VANCOUVER INTERNATIONAL FILM FESTIVAL
Nagroda publiczności One to Watch, Najlepsza aktorka w kanadyjskim filmie
BOSTON FILM FESTIVAL
Nagroda publiczności
WOODSOR INTERNATIONAL FILM FESTIVAL
Nagroda WIFF
AURORA
W KINACH OD 5 LIPCA
eprasa.pl 7caae2c074

Paweł Dybicz

Immunitet to nie bezkarność

Wydawałoby się, że po występie biało-czerwonych będziemy już tylko w wakacyjnym nastroju oglądać mistrzostwa Europy, bez narodowego uniesienia, z przekonaniem: niech wygra lepszy. Nic z tych rzeczy. O mocne wrażenia zadbają nasi politycy – niezawodni, niemal zawsze w formie. Nie dadzą nam spokoju, nadal będą zajmować głowę swoimi problemami. Choćby immunitetami.

Nasi piłkarze na dużych imprezach od lat grają trzy mecze: pierwszy o punkty, drugi o wszystko i trzeci o honor. W starciu z Francją pokazali, że trochę tego ostatniego mają (gorzej z umiejętnościami). Z przegranymi prawicowcami jest inaczej. Lista przewin ludzi Ziobry, którym prokuratura chce uchylić immunitet, jest długa i zatrważająca. Mimo to koledzy i koleżanki z parlamentu zawzięcie ich bronią, zresztą w coraz głupszy, porażający sposób. Wiadomo, dlaczego robią to ziobryści. A dlaczego wspierają ich kaczyści? Bo wiedzą, jak wiele sami mają na sumieniu. Stali się tak zapalczywi, że nie chcą przypomnieć sobie własnych słów, że niewinni nie mają czego się obawiać. Co takiego się zmieniło, że niedawni rządzący zapomnieli o swoich maksymach? Oczywiście zajmowane miejsce w sali plenarnej Sejmu. Ale także prawdopodobieństwo odsiadki.

Wielu wyborców byłej opozycji oczekuje, wręcz żąda szybkiego rozliczenia afer Zjednoczonej Prawicy. Przestrzegam przed tym. Tylko dobrze udokumentowane, prawidłowo wyciągnięte wnioski z postępowań prokuratorskich i umocowane prawnie akty oskarżenia mają szansę powodzenia przed sądem. Tu pośpiech nie jest wskazany, bo największym blamażem ekipy Tuska-Bodnara byłyby sprawy, w których sąd nie podzieliłby opinii prokuratury i uniewinnił ludzi takich jak Romanowski czy Woś. Ci ostatni deklarują, że nie złamali prawa. Tym bardziej powinni więc dążyć do procesów, bo ich uniewinnienie zwiększyłoby szanse prawicy na pokonanie obecnie rządzących.

Większość parlamentarna też nie powinna kierować się zasadą: bronimy swoich mimo wszystko.

Jednak sednem sprawy pozostaje samo rozumienie instytucji immunitetu. Słowo immunitet nie może być uznawane za synonim bezkarności. Nie powinno być tak, że sprawca kolizji drogowej, poseł pijaczek zasłania się immunitetem, odmawiając policji dmuchnięcia w alkomat. Owszem, Sejm musi się wypowiedzieć w sprawie zatrzymania, aresztu tymczasowego posła czy senatora. Ale czy trzeba jego zgody, by parlamentarzysta mógł stanąć przed prokuratorem i złożyć zeznania? Nawet w sprawie z powództwa cywilnego! Jak to się ma do równości praw? Trzeba mówić głośno, że tak szeroko rozumiany immunitet jest dowodem nie tylko na bezkarność wybrańców narodu, ale i na nierówność obywateli RP. A czy zmiana zakresu immunitetu nie powinna być w sferze zainteresowania Lewicy? Owszem! Ale u nas nie istnieje Lewica, tylko Lewica Inaczej.

PS Chcących wspomóc PRZEGLĄD proszę o wpłaty:
Fundacja Oratio Recta
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Dyżury redakcyjne:

W czwartek red. Paweł Dybicz w godz. 13-15
Telefon: +48 22 635 84 10

BĄKOWSKI

eprasa.pl 7caae2c074

W NUMERZE

KRAJ
8 **Ciaśniej, drożej, gorzej**
– rozmowa z Bartoszem Józefiakiem
12 **Elektorat łaknie krwi**
– rozmowa z prof. Lechem Szczegółą
16 **Watchdog szczerzy kły**
Aktywistki czuwają w Opolskiem
20 **Polska na beczce prochu**
Lekceważone bomby ekologiczne
44 **Na wyrwę**
Rabusie bankomatów

NAUKA
23 **Polski uczony potrafi… tylko za granicą?**
Dyskusja o stanie nauki

ZAGRANICA
26 **Spokojny pan od wojny**
Mark Rutte na czele NATO
30 **Długa batalia, dwuznaczny wynik**
Dlaczego Assange'a skazano za szpiegostwo

OPINIE
32 **Paweł Siergiejczyk**
Stracone mandaty

EURO 2024
34 **Już zawsze**
Lewy, czyli awaria systemu

HISTORIA
36 **Pierwszy rząd powojennej Polski**
Czym dla kraju była Jałta
40 **Przyjaźń mimo wszystko**
Do Auschwitz za pomoc Anglikom

KULTURA
48 **Futbol jako wehikuł czasu**
– rozmowa z Janem Bujnowskim
52 **Qulturalia**
66 **Całą zimę czekam, aż wrócą bociany**
Obrazy Bartłomieja Flisa

OBSERWACJE
53 **Huaorani**
Jacek Pałkiewicz o plemieniu z dżungli
56 **Na grzyby**
Bogactwo Puszczy Knyszyńskiej

ZDROWIE
60 **Ruch w interesie**
Jest popyt, to i podaż środków na wzwód

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Paweł Dybicz**
Immunitet to nie bezkarność
15 **Jan Widacki**
Sen o demokracji
19 **Stanisław Filipowicz**
Błaganie o mit
29 **Roman Kurkiewicz**
Wolność dla Assange'a, wstyd dla Zachodu
43 **Tomasz Jastrun**
Zdobycie Paryża
51 **Wojciech Kuczok**
Las (1)

20
KRAJ

POLSKA NA BECZCE PROCHU
Lekceważone bomby ekologiczne

34
EURO 2024

JUŻ ZAWSZE
Lewy, czyli awaria systemu

56
OBSERWACJE

NA GRZYBY
Bogactwo Puszczy Knyszyńskiej

Projekt okładki: Krzysztof Kettner

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7caae2c074

Tylko pokój nas uratuje

Według informacji Ośrodka Studiów Wschodnich siły rosyjskie na Ukrainie powiększyły się do ok. 700 tys. żołnierzy mimo poniesionych strat. W tym czasie siły ukraińskie zmniejszyły się z 1 mln żołnierzy do 800 tys., w większości słabo wyszkolonych. Rosja zawarła też sojusz z silnie zmilitaryzowaną KRLD. Chyba już nikt nie uwierzy, że da się zrealizować scenariusz osłabienia Rosji albo że Rosjanie wycofają się z Ukrainy. Czemu, poza nabijaniem kabzy koncernom zbrojeniowym, ma służyć przedłużanie wojny? Zapomina się też, że wojna osłabia ekonomicznie Europę.

Paweł Stawicki

•

Prof. Kołodko przedstawił wiele ciekawych szczegółów, ale z jednym nie jestem w stanie się zgodzić: że Rosja spychana sankcjami na ekonomiczne manowce i tak jest już moralnie i politycznie przegrana. USA i ich podwładni do rozprawy z Rosją szykowali się od dawna. Zamach stanu w 2014 r. na Ukrainie to początek. Kolejne osiem lat to ostrzał Donbasu oraz rozmowy w Mińsku, które niczego nie dały, poza czasem dla Ukrainy, aby się przygotowała do wojny. Każda wojna jest zła, ale tę można zrozumieć, co piszą również ludzie Zachodu. Dzisiaj Rosja już nie potrzebuje Zachodu, a organizacja BRICS daje jej większe możliwości. Na pewno nastanie ta chwila, kiedy Zachód będzie potrzebował Rosji, ale nas do tego już nie zaproszą.

Andrzej Kościański

•

Uratować nas może jedynie mądrość narodu. (…) Partie u władzy, niekontrolowane przez społeczeństwo, przekształcają się w mafie i działają jak mafie. A jak społeczeństwo może dziś kontrolować władze, skoro nie ma na te władze wpływu? Nie może cofnąć mandatu w trakcie kadencji, bo to ONI tworzą prawo, prawo, które ma służyć ONYM (mafiom we władzy).

Prof. Grzegorz W. Kołodko pisze: „Po co ta nierozumna militaryzacja państwa i gospodarki oraz nadchodzące w ślad za tym ograniczenie demokracji? (…) Gdyby Polsce zaiste groziło niebezpieczeństwo, to doszłoby do zawieszenia broni w polskiej zimnej wojnie domowej”. Właśnie, MY nie możemy decydować o zawieszeniu polskiej wojny domowej, bo mafie prócz aparatu przymusu muszą mieć jeszcze coś, by trzymać społeczeństwo w ryzach. (…)

Józef Brzozowski

Na wysypisku prac naukowych

Rozmowa z dr. hab. Markiem Wrońskim o stanie polskiej nauki jest jak horror Alfreda Hitchcocka. Poraża już początek: „W ostatnim czasie wiele zmieniło się na gorsze”, a potem jest coraz gorzej. Bo dalej czytamy, że minister Gowin zlikwidował większość przepisów pozwalających karać za naruszenie praktyk naukowych w awansach akademickich. Zlikwidował ustawę o stopniach naukowych. Zmieniał na gorsze inne rzeczy: zlikwidowano Centralną Komisję ds. Stopni i Tytułów Naukowych, o połowę zmniejszono liczbę członków Rady Doskonałości Naukowej, której nadzór i kontrola są iluzoryczne. Obniżono prawne wymagania jakościowe, co spowodowało spadek poczucia rzetelności naukowej, zwłaszcza że przeforsowano zasadę, iż awanse idą drogą administracyjną. Tym samym nierzetelność naukowa stała się praktycznie bezkarna! Dobre i precyzyjne przepisy dyscyplinarne najpierw Barbara Kudrycka, a potem Jarosław Gowin rozłożyli na łopatki. Wystarczy. Rzecz tylko w tym, że te patologie potęgują się i potwierdzają wielkie prawo Kopernika: gorsze wypiera lepsze.

Janusz Mikołaj Kowalski

ZDJĘCIE TYGODNIA

W przyszłości turnieje piłkarskie mogą wyglądać zupełnie inaczej niż obecne. Prezentacja prototypu robota piłkarskiego na World Intelligence Expo. Chiny, Tianjin, 25 czerwca 2024 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 7caae2c074

Ministerstwo Sprawiedliwości planuje likwidację Akademii Wymiaru Sprawiedliwości, która wcześniej była Szkołą Wyższą Wymiaru Sprawiedliwości i kształciła kadry więziennictwa. Podlegała Zbigniewowi Ziobrze, który na funkcji rektora obsadził dr. Michała Sopińskiego, 30-letniego prawnika związanego z Suwerenną Polską, byłego pełnomocnika tej partii w Kaliszu. Sopiński, ulubieniec Radia Maryja, nie ma nawet elementarnych kompetencji.

•

Spłacono już 400 tys. kredytów frankowych. 253 tys. pozostaje czynnych, ale 160 tys. z nich jest objętych pozwami.

•

Ponad 100 tys. ton tzw. **zboża technicznego** i ponad 200 tys. ton **rzepaku technicznego** napłynęło do Polski z Ukrainy w 2023 r. **Nikt tych towarów nie badał, bo w Polsce do tej pory tego typu zbóż nie było,** a więc nie było powodu, aby powoływać do tego specjalną inspekcję. Lukę wykorzystali cwaniacy po obu stronach granicy.

•

Ataki pośredniczących w przewozie osób platform, takich jak **Uber, Bolt** czy **FreeNow,** na przepisy obowiązujące od 17 czerwca potwierdzają, że **rząd zrobił dobrze**, wprowadzając obowiązek posiadania polskiego prawa jazdy przez kierowców, którzy oferują odpłatny przewóz ludzi. A w przypadku cudzoziemców spoza UE i krajów EFTA również zaliczenia teoretycznego egzaminu na prawo jazdy. Muszą także przebywać w Polsce minimum 185 dni w roku.

•

1147 wypadków na drogach spowodowali w 2023 r. cudzoziemcy. Najwięcej, bo 649, było z udziałem Ukraińców, 105 spowodowali Gruzini, a 73 Białorusini. W wypadkach tych zginęło 115 osób.

•

Zobaczymy, jakie będą w tym roku najpopularniejsze kierunki studiów. W 2023 r. na **Uniwersytecie Warszawskim** na koreanistykę startowało 25 kandydatów na miejsce, a na filologię angielską – 16. Z kolei na cyberbezpieczeństwo **(Politechnika Warszawska)** przypadało 21 kandydatów na miejsce.

•

20,5 tys. dzieci w woj. pomorskim **uczy się języka kaszubskiego** w prawie 450 placówkach szkolnych.

•

Polskie **pszczoły** wytwarzają rocznie **13-24 tys. ton miodu**. Pokrywa to mniej niż połowę krajowego zapotrzebowania.

•

955 klientów przypada statystycznie na **jeden zakład fryzjerski w Polsce.** W Niemczech to 1,7 tys., a w Wielkiej Brytanii 3496.

•

Na prawie 1 mld zł z tytułu opłat za telefon i internet **zalega operatorom telekomunikacyjnym** 232 tys. dłużników.

•

W 2023 r. zawarto w Polsce **146 tys. związków małżeńskich**, a jednocześnie w sądach złożono **81 tys. pozwów rozwodowych.**

•

125 tys. firm w Polsce zatrudnia 954 tys. cudzoziemców, którzy mają aktualne zezwolenie na pracę.

•

Według Krajowego Rejestru Nowotworów w 2021 r. prawie **172 tys. osób zachorowało** w Polsce **na nowotwory. Zmarło niemal 94 tys. pacjentów.**

PRZEBŁYSKI

Czyją nadzieją jest Sierakowski?

Nie ma darmowych obiadów. Na przyswojenie tej oczywistej w polityce reguły nigdy nie jest za późno. Choć najlepiej, gdy młodzi kandydaci do dobrego życia z polityki pojmą to już na starcie kariery.

Warto podpatrywać tych, którzy przeżyli różne ekipy i ciągle są w grze. Chociażby obserwować Sławomira Sierakowskiego. W dawnych czasach wpływowi starsi politycy namaścili go na nadzieję lewicy. Wtedy, gdy taką nadzieją miał też być Grzegorz Napieralski. Jak to się sprawdziło, nie warto pisać. Sierakowski, jaki jest, każdy widzi. A Napieralski? Zamienił lewicę na prawicę i ledwo zipie w PO. Odwrotnie Sierakowski. Na brak wsparcia nie może narzekać. Jak nie Amerykanie, to Niemcy. A w ostateczności Tusk, któremu Sierakowski złożył taki oto hołd: „Staje się praktycznie liderem Unii Europejskiej", „Platforma wygrała w Europie", „Tusk będzie ciśnięty, żeby został szefem Komisji Europejskiej". I tak dalej. Czy jest na lewicy ktoś, kto tak pokochał Tuska? Bardziej nawet niż Niemcy i Amerykanie?

Biedroń i Śmiszek przeskoczyli Bareję

Wylazło szydło z worka. Biedroń i Śmiszek po udanym skoku na kasę mają wyborców tam, gdzie kończą się plecy. Zachowują się tak jak szatniarz u Barei. No i co nam teraz, naiwniacy, zrobicie? Już nawet nie udają, że coś ich łączy z wyborcami. Śmiszek zapowiedział, że będzie walczył o prawa gejów w Brukseli. A polscy geje? Biedroń i Śmiszek wyłudzili głosy środowisk LGBT, a nawet nie chciało im się pójść na Paradę Równości. Nie poszli, bo już nie muszą się wdzięczyć do kolorowego korowodu.

Za sukcesem tych cwaniaków stoi Katarzyna Kotula, szefowa sztabu Nowej Lewicy. Po ciężkiej walce zastąpiła przyspawanego do tej funkcji Biedronia. I co zrobiła? Firmowała swoim nazwiskiem hucpę z podziałem miejsc. Czy Biedroń, Śmiszek i Scheuring-Wielgus ją ograli? A może była częścią tej bezczelnej układanki?

Ksiądz z córką i pół miliona

Zrobić sobie źródło dochodów z hospicjum to wyjątkowa podłość. A taki numer wyciął ks. Grzegorz Miloch, dyrektor Hospicjum św. Wawrzyńca w Gdyni. Zajęła się nim Prokuratura Rejonowa w Pucku, która próbuje ustalić, gdzie wyparowało pół miliona złotych. Ksiądz dyrektor wykazał się wyjątkowym talentem do kreatywnej księgowości. Nie trafiły do ksiąg wpływy z koncertów, akcji charytatywnych ani darowizny. Za to do hospicjum trafiła na posady rodzina ks. Milocha. Łącznie z konkubiną. To akurat rozumiemy, bo ks. Miloch ma z nią córkę. Sprawa jest rozwojowa.

Od porno do kąpieli

Ciekawe wiadomości docierają do nas z zakamarków życia kleru. Z Nowego Sącza wypłynęły do sieci pikantne filmiki z gołymi duchownymi. Były na stronie parafii Matki Bożej Niepokalanej. Ale szybko zniknęły. Proboszcz ks. Czesław Paszyński winę zrzucił na hakerów. Tak jakby to oni grali w tym porno.

Z kolei bp Ryszard Kasyna z diecezji pelpińskiej okazał się wielbicielem częstych kąpieli. Podciągnięto mu więc do rezydencji w Sikorzynie (gmina Stężyca, woj. pomorskie) wodociąg. Ufundowała go ta wcale nie za bogata gmina.

FOT. YOUTUBE

eprasa.pl 7caae2c074

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jakie prawa są w Polsce najczęściej łamane?

DOMINIKA KUNA,
wykładowczyni, Uniwersytet SWPS

Rozpoczęły się wakacje, dlatego warto zacząć od zwrócenia uwagi na ochronę wizerunku dzieci. Rodzice udostępniają dziś zdjęcia swoich pociech w sieci. Jest to częste, choć zazwyczaj nieświadome łamanie praw dziecka. Może ono nie życzyć sobie publikacji swoich zdjęć w internecie. Poza tym to niebezpieczne, bo zdjęcia łatwo wykorzystać w celach przestępczych. Drugi aspekt to przemoc wobec dzieci. Debatę wywołała sprawa Kamilka z Częstochowy, jednak dyskusja jest wielowątkowa. Nie chodzi jedynie o przemoc fizyczną, bo również o psychiczną, ekonomiczną, seksualną. Mowa też o zaniedbaniu. Biuro Rzeczniczki Praw Dziecka apeluje, aby osoby pracujące z dziećmi były szczególnie wyczulone na sygnały mogące świadczyć o nadużyciach wobec najmłodszych i nie bały się działać.

DR KAMIL STĘPNIAK,
konstytucjonalista, prezes Centrum Prawa Konstytucyjnego i Monitorowania Praworządności

Wśród najczęściej łamanych praw w Polsce – z zaznaczeniem, że mówię tu o perspektywie konstytucyjnej – jest m.in. zasada równości i szeroko pojęta możliwość decydowania o własnym życiu (nazwijmy ją autonomią jednostki). Mam na myśli chociażby prawa osób LGBT+, ale także ludzi w faktycznych związkach partnerskich (nazwanych w prawie konkubinatem, co ma pejoratywny wydźwięk). W Polsce pokutuje myślenie, że art. 18 konstytucji wyklucza istnienie innych form prawnych związków, co moim zdaniem jest nieprawidłowe. Politycy boją się również podejmowania decyzji w sprawach tak rudymentarnych jak aborcja i dążenie do rzeczywistego równouprawnienia płci. Na koniec dodam coś nieoczywistego: brak działań legislacyjnych w szybko rozwijających się obszarach spowoduje, że środek ciężkości naruszeń przesunie się w stronę, której polski ustawodawca, obawiam się, długo jeszcze nie zauważy. Mam na myśli możliwości i zagrożenia, jakie niesie sztuczna inteligencja.

PIOTR SZUMLEWICZ,
lider związku zawodowego Związkowa Alternatywa

Czołowi politycy często łamią prawo, nadużywając uprawnień i marnotrawiąc środki publiczne, a za rządów PiS bezprawie było wręcz jednym z filarów władzy. Niestety, panuje przyzwolenie społeczne na łamanie prawa. Dotyczy to chociażby przepisów drogowych czy prawa podatkowego. Uderzającym przykładem bezprawia jest także masowe łamanie art. 22 Kodeksu pracy. Zgodnie z nim, gdy są określone miejsce pracy, czas pracy i podległość służbowa, to musi być zawarta umowa na etat niezależnie od woli stron. Bardzo częste są opóźnienia w wypłacie pensji, niepłacenie za nadgodziny, omijanie przepisów BHP czy przekraczanie limitów czasu pracy.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 7caae2c074

CIAŚNIEJ, DROŻEJ, GORZEJ

W systemie nazywanym polskim rynkiem mieszkaniowym najważniejsza jest maksymalizacja zysku, a nie wygodna przestrzeń do życia. Grają na nim wszyscy deweloperzy

Rozmawia Kornel Wawrzyniak

BARTOSZ JÓZEFIAK
– dziennikarz, reporter specjalizujący się w reportażu wcieleniowym. Autor książki „Patodeweloperka. To nie jest kraj do mieszkania".

Nie bałeś się, że ktoś z branży deweloperskiej zaskarży cię za sam tytuł „Patodeweloperka"? To mogą być dzisiaj najpotężniejsi ludzie w Polsce.

– Na szczęście wydawnictwo Znak ma dobrych prawników, więc czytaliśmy tę książkę z prawnikami wnikliwie. Ale przy jej pisaniu chodziło mi też o to, żeby nie piętnować jednej konkretnej firmy, tylko pisać o zjawisku, a dokładniej o pewnych mechanizmach, które działają na rynku i powodują, że mieszkamy, tak jak mieszkamy.

Pokazujesz historie ludzi, którzy włożyli oszczędności życia w nowiutkie mieszkanie od dewelopera, ale zamieszkać w nim nie mogą, bo wszystko się sypie.

– Takich historii jest w Polsce niestety bardzo dużo, dlatego nie miałem problemów ze znalezieniem bohaterów do książki. Wielu ludzi zna przynajmniej jedną osobę, która ma lub miała przygody z odbiorem mieszkania. Oczywiście przy budowie bloku mogą się zdarzać i zdarzają drobne opóźnienia. Tyle że często takie historie ciągną się latami, a firmy niechętnie wypłacają kary umowne. O ile kary w ogóle są zapisane w umowie. A nawet jeśli mieszkanie już jest gotowe, bardzo dużo kwiatków wychodzi podczas odbioru. Mieszkańcy zwracają się więc do firmy o poprawki, bo niby dlaczego mieliby dopłacać kolejne 100 tys. zł do kredytu. Ale wracamy do punktu wyjścia, bo tu deweloperzy znów biorą się do pracy bardzo niechętnie. No i stajesz przed wyborem: albo czekasz, aż firma poprawi, ale nie masz gdzie mieszkać, albo poprawiasz to na własną rękę i topisz kolejne dziesiątki tysięcy. Nie ma dobrego wyjścia z tej sytuacji.

Z lektury twojej książki wynika, że kupując teraz mieszkanie, najlepiej być pod stałą opieką prawnika i mieć pod ręką eksperta od odbiorów.

– Powiedziałbym wręcz, że aby kupić mieszkanie, trzeba zacząć od zabawy w detektywa. A jeśli chodzi o specjalistów, należy wynająć rzeszę ludzi, którzy staną w twoim narożniku w starciu z deweloperem. W pierwszej kolejności potrzebny jest architekt – on obejrzy rzuty mieszkania i sprawdzi, czy nie oszukano cię, chociażby pomniejszając na nich o 60% meble, które w rzeczywistości w ogóle się nie zmieszczą. Następnie prawnik, który przejrzy umowę i znajdzie wszelkie kruczki. Dalej ekspert inżynier odbiorów, który wyszuka wszystkie wady w lokalu, zanim odbierzesz klucze. Myślę, że bardzo często wskazany byłby również psycholog.

To naprawdę ciężki bój.

– Nie zazdroszczę ludziom, którzy kupują dziś mieszkanie na rynku pierwotnym. Odbiory ze specjalistą stały się normą, szczególnie w każdym dużym mieście. I coraz częściej w mniejszych ośrodkach. A to oznacza, że do świadomości społecznej przebija się wiedza, że klient nie może mieć pewności co do jakości wykonania obecnie budowanych mieszkań. Wręcz wydaje się, że mieszkania budowane lata temu są wykonane lepiej.

Fuszerka stała się ostatnio synonimem nowego budownictwa.

eprasa.pl 7caae2c074

– Można się zgodzić z tym stwierdzeniem. Oczywiście są uczciwi deweloperzy, którzy na te słowa się oburzą. Dlatego wolę mówić o systemie, w którym najważniejsza jest maksymalizacja zysku, a nie wygodna przestrzeń do życia. Ten system jest właśnie nazywany polskim rynkiem mieszkaniowym i grają na nim wszyscy deweloperzy bez wyjątku. Czy chcą, czy nie. Firmy będą więc robiły wszystko, aby oszczędzać. Podmiotom, które chcą być uczciwe, nie pozostawia to większego wyboru. Żeby zachować konkurencyjność na rynku, są zmuszone do grania znaczonymi kartami.

Jak się maksymalizuje zyski?

– Maksymalizację można osiągnąć na każdym etapie inwestycji. Od wykupu działki, która może się znajdować gdzieś w polu, okazyjnie kupiona od rolnika, poprzez projekt architektoniczny, którego celem jest optymalizacja powierzchni mieszkalnej. Czyli zmniejsza się części wspólne, kasuje zieleń i wkłada jak najwięcej pokoi w małą przestrzeń, bo to akurat dobrze się sprzedaje. Nawet jeśli będzie mniej ergonomicznie czy niewygodnie. Dzisiaj wszędzie wciska się aneks kuchenny, chociaż jest to niezgodne ze sztuką architektoniczną, bo aneksy lubią dużą przestrzeń. Tymczasem mieszkania są coraz mniejsze, bo coraz mniejszą zdolność kredytową mają potencjalni kupcy.

Następnie zaczyna się budowa.

– I tutaj pojawia się tysiąc kolejnych sposobów, żeby zaoszczędzić. Byłem na konferencji deweloperów; największą popularnością cieszyły się panele dyskusyjne o optymalizacji, czyli jaką podmienić cegłę, jak zaoszczędzić na tynku i każdym możliwym materiale, żeby zostało więcej pieniędzy w kieszeni dewelopera.

W tej branży wszyscy wszystkich oszukują. Obrywają mieszkańcy, ale po drugiej stronie nie jest lepiej. Pracowałeś na budowie na żurawiu, rozmawiałeś z architektami. Kto ma najgorzej w tym biznesie?

– Jak to zwykle bywa, najgorzej ma ten, kto najmniej się nagrabił. Na budowie najgorzej mają firmy wykończeniowe, które pracują jako ostatnie, czyli gość zatrudniający czterech pracowników. On dostaje pieniądze na końcu i z góry. Deweloper próbuje oszczędzić i będzie wymuszał jak najszybsze terminy i jak najniższą stawkę. A kiedy wykonawca się nie zmieści w terminach, dostanie karę umowną. Dlatego firma wykonawcy zrobi wszystko, żeby koszt tej kary przerzucić jeszcze szczebel niżej, na podwykonawców, więc będzie na siłę doszukiwać się usterek, żeby gdziekolwiek obciąć kasę podwykonawcom albo narzucić im karę za opóźnienia, które nie będą nawet wynikały z ich winy. I tak to idzie w dół i w dół, aż zatrzymuje się na najniższym szczeblu. Założenie małej czy nawet średniej firmy budowlanej w Polsce to sport tak wysokiego ryzyka, że naprawdę nikomu nie polecam.

Jeśli już, to wolę być oszukiwany przez dużego dewelopera, bo on przynajmniej wie, do czego może się posunąć.

Deweloperzy nie muszą się starać, bo to klientom zależy bardziej ze względu na brak mieszkań.

Ale obowiązują przecież umowy i terminy.

– Co z tego, że masz umowę! Dużo firm budowlanych i deweloperów działa na zasadzie: „Nie mam pana płaszcza. I co mi pan zrobisz?". Owszem, możesz iść do sądu, ale sprawa będzie trwać od trzech do pięciu lat. Wygrasz albo nie wygrasz, a w tym czasie deweloper czy budowlaniec, z którym się sądzisz, wyrobi ci taką opinię na mieście, że żadnej roboty jako podwykonawca już nie dostaniesz. Warto też pamiętać, z kim stajesz do walki. Deweloper ma takich prawników, którzy udowodnią w sądzie, że nie możesz dostać swoich 100 tys. zł, bo źle położyłeś trzy płytki. Odpowiedni kruczek zawsze się znajdzie.

To może architekci mają lepiej?

– Jeśli masz na myśli szefów firm architektonicznych, to tak. Ale architektoniczny lud pracujący, czyli de facto projektujący nam mieszkania, jest zatrudniany na umowach śmieciowych. Wszystko po to, żeby prezes, jeśli jednak nie dostanie pieniędzy od dewelopera, mógł powiedzieć swoim pracownikom: „Sorry, nie dostałem kasy od zleceniodawcy, więc nie będzie wypłaty".

Kto tak naprawdę projektuje dziś mieszkania?

– Architekt coś tam projektuje, po czym przychodzi ktoś z działu marketingu lub promocji, a czasem sam deweloper, jeśli to małe przedsiębiorstwo, i mówi: „Nie, nie, zdejmujemy, to jest za drogie, a to się nie sprzeda, tu balkonów dołożyć, tam dodatkowe pokoje na tym małym metrażu, to zdjąć z tej elewacji". Część deweloperów potrafi powiedzieć architektom: „Kto mi za to zapłaci?". Jeden z moich bohaterów usłyszał: „Jak się pan dorobisz milionów, to sobie pan będziesz projektował po swojemu. A teraz ma być, jak ja chcę". No i architekci rozkładają ręce. Jeśli będą protestować, deweloper po prostu ich wymieni.

Nazwałbyś patodeweloperką sytuację na rynku remontowym? Albo nie ma komu robić, albo trafia się na naciągaczy, którzy wszędzie szukają dodatkowych kosztów robocizny.

– To wszystko symptomy tej samej choroby, czyli kompletnego bezprawia na polskich budowach. Umowy o pracę są legendą. Chyba że w jakichś firmach skandynawskich. I tylko gdy jest umowa o pracę, przestrzega się BHP i normalnie zatrudnia. Cała reszta to nawet nie szara, ale wręcz czarna strefa. Wielu budowlańców, którzy chcieli zarabiać przyzwoite pieniądze i być traktowani jak ludzie, po prostu wyjechało na Zachód. Jednocześnie nie kształciliśmy nowych ludzi, bo pamiętamy ten trend, że wszyscy mieli iść na studia.

eprasa.pl 7caae2c074

W efekcie wylądowaliśmy w rzeczywistości, gdzie budowlańców jest za mało. Gdybyśmy chcieli to teraz ucywilizować, raczej już się nie da. Samo wprowadzenie umów o pracę sparaliżowałoby wszystkie budowy w Polsce, bo części mniejszych firm nie byłoby stać na takie koszty. Rykoszetem obrywają lokatorzy. Z drugiej strony sami sobie zaprojektowaliśmy taki świat 20 lat temu.

Pękające ściany, odpadający tynk, grzyb, źle zamontowane okna, wadliwie podłączone rury, brak kątów prostych, ale nic z tym nie zrobisz, bo dostajesz instrukcję do mieszkania i deweloper wmówi ci, że źle korzystałeś ze ścian. Czy deweloperzy są rzeczywiście bezkarni?

– Z tymi instrukcjami dotyczącymi używania mieszkania nie jest tak źle. Jesteśmy w tym wypadku dobrze chronieni przez Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. UOKiK nakłada duże kary, jeśli deweloperzy na papierze przekombinują. Gorzej jest z badaniami technicznymi i odpadającymi tynkami. Jeśli jednak deweloperowi zależy na opinii, też potrafi naprawić takie sytuacje, bylebyś go nie obsmarował w internecie. Jeżeli zaś deweloper jest kompletnie bezczelny, zostaje pójść do sądu. Ale tu podobnie jak z podwykonawcami. Będziesz czekał pięć lat i może nic z tego nie wyniknąć, a nie masz gdzie mieszkać. Część osób naprawia więc wady lokalu na własną rękę. Powiedziałbym, że największym batem na deweloperów jest opinia w internecie, pójście do mediów lub groźba pozwu zbiorowego. Ma to zdecydowanie większe szanse powodzenia niż indywidualne starania mieszkańca.

Gorzej, jeśli deweloper nie ma w planach stawiania kolejnych bloków.

– Wtedy klienci są rzeczywiście na straconej pozycji. Najgorsi są inwestorzy, którzy idą w deweloperkę jednorazowo dla szybkiego zysku.

Kto może zostać dziś deweloperem?

– Każdy, kto ma odpowiednio duży kapitał. A gdy do tego jeszcze ma ziemię, to już w ogóle cudownie. Wystarczy, że z wójtem pijasz wódkę, a plany zagospodarowania przestrzennego wypełnią się same. W Pabianicach byli sprzedawcy dopalaczy, którzy cały zgromadzony kapitał „zainwestowali" w mieszkaniówkę. Mamy przykłady celebrytów, którzy idą w ten biznes, jednocześnie go reklamując. Dlatego w narodzie zbudowane zostało poczucie, że deweloperka to łatwy, często szybki pieniądz. Niestety, błędne. Najbardziej ekstremalne sytuacje pojawiają się w przypadku początkujących deweloperów, którzy stawiają pierwszy blok albo poszli w jednorazową inwestycję. Jeśli już, to wolę być oszukiwany przez dużego dewelopera, bo on przynajmniej wie, do czego może się posunąć.

Skoro mówimy o tzw. Januszach biznesu, to jakie masz przykłady oszukiwania klientów?

– Szokujące było dla mnie wspomniane oszukiwanie na rzutach mieszkania, gdzie nie podaje się skali. Do takiego obrazka wrzuca się pomniejszone meble. Na planie widzisz łazienkę, w której zmieści się wanna i prysznic. W rzeczywistości ledwo zmieści się prysznic z sedesem. Podobny numer robi się notorycznie z miejscami parkingowymi. Wiele osób narzeka na nieprzestrzeganie terminów. Oczywiste, że tych ustalanych na gębę nikt nie przestrzega, ale i zapisanymi w umowach, na papierze, mało kto się przejmuje. Plus wszystkie chwyty marketingowe. „Apartamenty z widokiem na zieleń". Zieleń jest, ale na cmentarzu po drugiej stronie ulicy itp.

Jakiś czas temu oglądałem mieszkania do materiału o wynajmach. W lokalu o powierzchni ok. 60 m kw. znajdowały się dwie łazienki. Wynajmujący tłumaczył, że dzisiaj taki metraż to mieszkanie dla rodziny 2 + 2. Drastyczny spadek myślenia o komforcie życia, prawda?

– Dysponujemy twardymi danymi mówiącymi, że Polacy mają jedne z najmniejszych mieszkań w Europie, jeśli chodzi o liczbę metrów kwadratowych przypadających na osobę. Ceny z kolei mamy jedne z najwyższych w Unii. Czytałem ostatnio, że Węgrzy i warszawiacy płacą za mieszkanie więcej niż mieszkańcy Rotterdamu czy Rzymu. I to w liczbach bezwzględnych, a nie w przeliczeniu na siłę nabywczą. Pokłosiem tego są spadające metraże i drożejące kredyty oraz mieszkania. A wszelkie programy rządowe typu kredyt 2% czy 0% tylko dokładają do pieca.

No i gorzej się mieszka. Przez ścianę słychać, jak sąsiad spuszcza wodę w toalecie.

– Nie wiem, czy to jedynie kwestia gorszych materiałów. Możemy przypuszczać, bo nie ma na to konkretnych danych, ale jest dużo przykładów z życia, że jakość mieszkań w nowych blokach nie przystaje do tego, czego byśmy oczekiwali. Szczególnie że ceny za metr kwadratowy są tak wysokie, że wiele osób traktuje zakup mieszkania jak nabycie luksusowego auta, a więc oczekiwania są bardzo wysokie. To też pokłosie tego, że deweloperzy nie muszą się starać, bo to klientom zależy bardziej ze względu na brak mieszkań.

Jak oceniasz kolejne programy mieszkaniowe? Komu tak naprawdę służą?

– Tu eksperci są zgodni: programy służą wyłącznie bankom i deweloperom. Te programy to działanie po linii najmniejszego oporu. Chyba nie ma nic prostszego od przelania

Pojęcie mieszkania musi być szerokie – bo to i lokale komunalne, i socjalne, i TBS, i każda inna sensowna forma działania, dzięki której przybędzie miejsc do życia.

Polacy mają jedne z najmniejszych mieszkań w Europie, jeśli chodzi o liczbę metrów kwadratowych na osobę, a ceny jedne z najwyższych w Unii.

eprasa.pl 7caae2c074

Byle więcej się zmieściło – przykład maksymalizacji na ul. Śródziemnomorskiej w Warszawie.

ludziom kasy. A że koszty społeczne z tego powodu jeszcze wzrosną? Na programie dopłat do kredytów skorzystają ci, którzy wezmą kredyt najwcześniej, bo za chwilę deweloperzy podniosą ceny, więc reszcie zainteresowanych ta dopłata po prostu nic nie da. Ceny wzrosną, więc znowu części w ogóle nie będzie stać na mieszkanie. A ci, którym uda się uciułać, zostawią tę nadwyżkę w kieszeniach deweloperów.

To co robić?

– Jedynym rozwiązaniem jest odpowiedzialna polityka mieszkaniowa, czyli taka, w której to państwo buduje mieszkania. I to państwo szeroko rozumiane, również jako samorządy. Pojęcie mieszkania także musi być szerokie – bo to i lokale komunalne, i socjalne, i TBS, i każda inna sensowna forma działania, dzięki której przybędzie mieszkań. Jednak na razie Polska przeznacza dramatycznie mało PKB na mieszkaniówkę. Tutaj znowu jesteśmy na końcu unijnych tabel.

Skoro już patrzymy na Unię, jak jest w innych krajach? Państwo pomaga czy gdzie indziej też panuje wolny rynek?

– Wolnego rynku takiego, jak rozumie się go w Polsce – czyli żadnych ograniczeń czynszu, żadnych podatków czy podatków katastralnych od nieruchomości – próżno szukać. Tylko u nas realizuje się politykę hulaj dusza, piekła nie ma. Gdy patrzy się na Europę Zachodnią, widać, że wszyscy mierzą się z galopującymi cenami. Część państw potrafi jednak pomagać lokatorom w sposób cywilizowany. Istnieją chociażby bezpieczne drogi wynajmu – ludzie mogą wynajmować i nie bać się, że czynsz skoczy z umowy na umowę o 100%. Następna sprawa to mieszkania budowane przez rząd, dostępne dla szerokiej grupy osób. Wreszcie samorządy wspomagają ludzi bez zdolności kredytowej, przy czym nie zawsze chodzi o najbiedniejszych. Ogólnie rzecz w tym, że mieszkania po prostu są. Polska nie musi wynajdywać koła na nowo. Rozwiązania są dostępne wszędzie. Wystarczy je wdrażać.

Wyrwiemy się z zaklętego kręgu patodeweloperki?

– Nie. O ile przy poprzedniej książce, „Wszyscy tak jeżdżą", byłem umiarkowanym, ale optymistą, o tyle kompletnie nie widzę nadziei na zmiany w przypadku polityki mieszkaniowej. Nic nie zacznie się zmieniać, przynajmniej dopóki u władzy są sami liberałowie, bo zarówno Trzecia Droga, jak i PSL to jednak ludzie, którzy chcą obniżać przedsiębiorcom składki zdrowotne. Tacy nigdy się nie zgodzą na dobry program mieszkaniowy. A nawet gdyby rządzący zaczęli budować w kolejnej kadencji mieszkania, to nie wiadomo, jak Polacy potraktują taki program. Jestem w stanie wyobrazić sobie głosy niezadowolenia tych, którzy są już zakredytowani na 30 lat i dopytują, dlaczego innym należy się za darmo, a oni muszą płacić. Inna rzecz, że jeśli tę kadencję mamy już straconą, to na jakiekolwiek efekty działań rządzących w kwestiach mieszkaniowych przyjdzie nam czekać ponad dekadę. Być może realnej zmiany doczeka pokolenie dzisiejszych 20-latków. Pewniejsze jest jednak to, że część osób do tego czasu odziedziczy mieszkanie po rodzicach lub dziadkach.

Na konferencji deweloperów największą popularnością cieszyły się panele o optymalizacji: jaką podmienić cegłę, jak zaoszczędzić na tynku i każdym materiale.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. MARCIN STĘPIEŃ/AGENCJA WYBORCZA.PL, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 7caae2c074

Elektorat łaknie krwi

Wybory prezydenckie wywołają ruchy tektoniczne na scenie partyjnej

Rozmawia Robert Walenciak

Czy wyborcy koalicji po pół roku jej rządów są zadowoleni? Jak to wygląda?

– O pełnym zadowoleniu trudno mówić. Na pewno jest połowiczne, i to nawet w twardym elektoracie Koalicji Obywatelskiej. Owszem, ten elektorat jest zadowolony z tego, że PiS wreszcie nie rządzi, że odzyskano media publiczne, cieszą go pewne upokorzenia, które spotykają liderów PiS czy samego prezesa. Ale do satysfakcji jest bardzo daleko. Myślę, że ten najbardziej platformerski elektorat łaknie krwi. Tymczasem młyny prokuratury mielą powoli. Rozliczenia są w trakcie i nie wiadomo, kiedy się ich doczekamy. Ale pierwszy efekt wyborczego triumfu już przeminął.

Ludzie pewnie woleliby działania w stylu Ziobry. Konferencja prasowa, telewizja, nawet areszt, wielki huk! A zarzuty, sprawa w sądzie, wyrok – to już mało kogo interesowało.

– Oczekiwanie na większą sprawczość jest duże. Wola rozliczeń tego, co robili poprzednicy, też jest, tylko że szacunek dla procedur, plus kadry odziedziczone w prokuraturze i w sądownictwie, na wiele nie pozwalają. Ale to stały defekt naszego wymiaru sprawiedliwości – powolność nadejścia kary. Natomiast ten bardziej labilny elektorat, zwłaszcza jego młodsza część, oczekiwałby raczej planu rządzenia. Czyli wizji, a z tym nasz premier zawsze miał problem. Tymczasem prace rządu oraz parlamentu grzęzną w doraźności i w wewnętrznych sporach. Brakuje jasnego i uczciwego przedstawienia, czego nie można zrobić, dopóki prezydentem jest Andrzej Duda, i jakie działania będą możliwe po zmianie na tym fotelu.

Płynnie wchodzimy w kampanię prezydencką.

– Myślę, że tryb trzech kampanii w krótkim czasie nie pozwala ekipie rządzącej wypracować jakiejś perspektywy działań w kilku sferach podstawowych dla interesów i życia codziennego Polaków. Począwszy od energetyki, która staje się rosnącym problemem.

PROF. LECH SZCZEGÓŁA
– socjolog polityki, profesor na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Zielonogórskiego. Autor książki „Droga do wojny kulturowej. Ideologia Dobrej Zmiany".

Gospodarstwa dostają rachunki grozy.

– Małe i średnie firmy też. Mamy rozregulowany przez osiem lat poprzednich rządów rynek gazu i prądu. Ale nie słyszymy o innych koncepcjach niż kontynuowanie działań, które kojarzą się z przyklejaniem plastra, a nie trwałą strategią reformy tego sektora.

Czyli zarzut elektoratu Platformy pod adresem obecnej koalicji jest taki, że nie za bardzo wiadomo, co oni chcą robić i po co rządzą?

– Tak! Koncepcja, że rządzimy po to, aby nie wróciło PiS, niestety nie wystarcza. A pamiętajmy mądre słowa Janusza Czapińskiego, który mówił kiedyś o ekonomii politycznej cierpliwości. Ona z każdym miesiącem będzie się wyczerpywać, szczególnie u tych mniej lojalnych wyborców, czego objawem mogła być niższa frekwencja w ostatnich wyborach. Jeżeli najpóźniej we wrześniu rząd nie przedstawi jakiegoś planu działań do wyborów i na ostatnie dwa lata przed kolejnymi, będzie miał kłopoty.

Potrzebna będzie także strategia na okres dwóch lat po wyborach prezydenckich?

– Tak, bo to będzie okres kluczowy. Zwłaszcza że po wyborze prezydenta zostanie bardzo mało czasu politycznego do kampanii parlamentarnej. Nowe otwarcie będzie zatem niezbędne. Natomiast nasz premier usiłuje robić wszystko sam – jest jednocześnie Mazowieckim, Balcerowiczem i Geremkiem, zajmuje się sprawami międzynarodowymi, bezpieczeństwem, jest zarazem rzecznikiem własnego rządu, bo nie ma do tej pory innego. To jego rozproszenie uwagi, przy bardzo średniej i rotującej ekipie rządowej, nie zapowiada, by cierpliwość w oczekiwaniu na wybory prezydenckie zachowała poziom korzystny dla rządu.

Mówi pan o wizji rozwoju Polski, którą rząd powinien przedstawić.

eprasa.pl 7caae2c074

Ale premier słynie z powiedzeń typu: masz wizję – idź do lekarza, ciepła woda w kranie... Czy jest szansa, że zmieni swoje przyzwyczajenia?

– Mam problem z Donaldem Tuskiem. Odnoszę wrażenie, że trochę cierpi na syndrom Boga, bardzo wierzy w swój instynkt. To czasem mu pomagało. Ale nie można zapomnieć o końcówce jego poprzednich rządów. Ani o tym, że premier Tusk nigdy nie słuchał ekspertów. Miał wręcz lekceważący stosunek do jajogłowych, no i otaczał się ludźmi raczej średniego formatu. To niestety wraca. Przy masie problemów, również zewnętrznych, które zajmują premiera, widać, że nie ma on tzw. prawej ręki, nie ma porządnego zastępcy. Bo wicepremierami zostali zgodnie z umową koledzy z partii sojuszniczych, którzy nie mogą wejść w rolę tego, kto wypracowuje koncepcję rządzenia.

Czy w tak podzielonej, różnorodnej koalicji jest w ogóle szansa na wypracowanie jakiejś wspólnej wizji na najbliższe lata?

– Gdyby te partie wytypowały ekspertów spoza grona posłów, to oni mogliby przygotować plan. Choćby na wzór Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju opracowanej przez ludzi Morawieckiego. To nie był głupi dokument. Można do niego wrócić jako do punktu wyjścia. Oczywiście ten plan został w formie papierowej, nie zrealizowano go. Ale istniała jakaś strategia rozwojowa, która miała pozwolić na wyjście z pułapki średniego rozwoju i pozycji państwa peryferyjnego. Strategia ta przyciągała wtedy do PiS ludzi środka, np. porządnych wcześniej socjologów, takich jak Andrzej Zybertowicz i Piotr Gliński, którzy wierzyli, że PiS chce zmienić Polskę w sposób potrzebny i głęboki. To zawiodło. Ale koncepcja leżała na stole i była sensowna.

Jak dziś wygląda elektorat PiS? Zamknął się w skorupie i trwa? Czeka na rewanż?

– Widzimy, że podział Polski na dwa obozy jest autentyczny, tu nie ma żadnych przepływów. To ciekawy fenomen, że poparcie dla Jarosława Kaczyńskiego jest tak stabilne mimo potężnych problemów, które ma jego partia. Za pomocą mediów i setek organizacji udało się PiS zsocjalizować ten elektorat w przekonaniu, że lewica, liberalizm, postkomunizm to główne źródła polskich problemów.

Koncepcja, że rządzimy po to, żeby nie wróciło PiS, niestety nie wystarcza.

Zsocjalizować – czyli wychować?

– Tak. Od katastrofy smoleńskiej, mimo wyraźnej depresji po serii porażek z Platformą, praca u podstaw przyniosła owoce.

I ten elektorat trwa, nic do niego nie dociera?

– On przede wszystkim nie ma dokąd pójść. Jedyną alternatywą jest zostanie w domu. Ale sytuacja zewnętrzna też sprzyja wierze, że tylko ten typ partii, jaką jest PiS, partii narodowej, jak przekonywano, może nas chronić przed Zachodem i Wschodem w sytuacji konfliktu wojennego i federalnych ambicji Brukseli.

Wszystkie te afery, które wychodzą na światło dzienne, takie jak Fundusz Sprawiedliwości – czy to działa na tych ludzi?

– Wyniki wyborów pokazują, że nie. Te osoby traktują to jako humbug i propagandę. Propagandyści poprzedniego rządu wypracowali jakąś skuteczną szczepionkę, opisując to jako rzeczy niewiarygodne. Każda strona sporu ma dzisiaj własne źródła prawdy i wiarygodności.

Czego się boją Polacy? Spotkałem się z określeniem, że w dzisiejszych czasach polityka to zarządzanie strachem. Wszyscy przecież nas straszą.

– Strach jest nierówno rozłożony w różnych segmentach społeczeństwa. Chyba bardziej podatni na niego są starsi wyborcy. Ten strach można podsycać retoryką i w tym kierunku – straszenia imigracją – będzie zmierzało Prawo i Sprawiedliwość. Już mamy pierwsze oznaki. Prezesowi ktoś lub coś podpowiada, że jest to klawisz, który warto naciskać, nawet skuteczniejszy niż zagrożenie atakiem ze strony Rosji.

I ten klawisz Kaczyński naciska.

– Jeżeli prezes tym straszy i planuje dążyć do referendum na temat imigracji, to znaczy, że sprawdzono, że ta kwestia nurtuje elektorat i pozwala go utwardzić.

A zagrożenie niemieckie?

– Mieszkam na Ziemiach Zachodnich. Tutaj zawsze stosunek do Niemców, mimo doświadczeń historycznych, był dużo łagodniejszy niż w Polsce centralnej czy wschodniej. My ich lepiej znamy. Granie kartą niemiecką chyba PiS nie wyszło już w październiku, w kampanii przedwyborczej. Każdy w miarę uważny obserwator widzi, że Niemcy same są w kryzysie politycznym. System partyjny się chwieje i trudno oczekiwać, żeby tam realizowano jakąś długofalową strategię kolonializacji Polski.

Brakuje jasnego i uczciwego przedstawienia, czego nie można zrobić, dopóki prezydentem jest Andrzej Duda.

Spotkałem się z opiniami, że dobry wynik koalicji na Ziemiach Zachodnich to w dużym stopniu właśnie efekt gry PiS kartą niemiecką. PiS przestraszyło wyborców na ścianie zachodniej, że wróci granica polsko-niemiecka.

– Możliwe. Mamy w pasie pogranicznym kontakty niemal codzienne, wyjazdy na zakupy czy po prostu do pracy. Jeździmy tam i widzimy, że ten pas po niemieckiej stronie jest zubożały i zacofany. Polacy nie mają żadnych kompleksów, jeżdżąc na drugą stronę. Ziemie wschodnie Republiki Federalnej są od lat w depresji – gospodarczej i społecznej. Kontakty handlowe i zawodowe powodują, że my, Lubuszanie, chcemy podtrzymania dobrych relacji, bo na nich zarabiamy i z nich korzystamy.

A socjal? Polacy boją się inflacji, nowych cen energii... Czy to nie będzie uderzało w rząd?

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 7caae2c074

– Na pewno to jest miękkie podbrzusze Platformy. Zwłaszcza że osoba, która w rządzie odpowiada za finanse i budżet, jest trochę enigmą. Nie wiemy, na ile ten minister ma podmiotową pozycję i jakie ma kompetencje, by wyprowadzić Polskę z dryfu inflacyjnego. Zadecydują więc twarde fakty, wskaźniki cen kluczowych produktów.

Obserwując elektoraty, można odnieść wrażenie, że wyborcy są na etapie przyglądania się. Na razie nie zmieniają preferencji politycznych.

– Scena polityczna zastygła. Układ sił wskazuje zarazem, że jest oczekiwanie na jakieś przesilenie. W mojej ocenie dopiero wybory prezydenckie wywołają ruchy wręcz tektoniczne na scenie partyjnej. Runie wrażenie stabilności, bo praktycznie trzy ugrupowania zaczną walczyć o swój byt parlamentarny. Oba tworzące Trzecią Drogę, no i przede wszystkim lewica. Układ sił po wyborach prezydenckich może bardzo się zmienić. Projekt Trzeciej Drogi może przestać istnieć, PiS – w zależności od wyniku kandydata tej partii – może przetrwać albo zacznie się dzielić.

Czego oczekują wyborcy od polityków PO? Większej twardości czy raczej uspokojenia, łagodzenia nastrojów?

– Najbardziej oczekują wyraźnych efektów i uczciwych słów. Szczególnie wśród młodzieży – a mam możliwość obserwowania ewolucji jej poglądów – narasta nieufność do całej elity politycznej, niewiara w słowa. Nasila się poczucie, że jesteśmy oszukiwani, że wszystko jest marketingiem. Tylko czyny mogą zmienić taki symetryzm, który z mojej perspektywy zaczyna dominować wśród młodych Polaków.

A sympatia do Konfederacji i do lewicy wśród młodych wciąż jest większa niż w społeczeństwie jako całości?

– Do Konfederacji – tak. Myślę, że profil liderów tej formacji odpowiada mentalności dużej części najmłodszego pokolenia obywateli. Konfederacja ma komfortową możliwość krytykowania wszystkich partii z pozycji tej, która jeszcze nigdy nie rządziła. Ten negatywizm i szyderstwo z wszystkich stron sceny politycznej przyciąga uwagę. Z lewicą jest niestety trudniej. Ma ona, przynajmniej w moim regionie i środowisku, wizerunek ugrupowania feministek i gejów. Młodzi mężczyźni nie dostrzegają tu dla siebie oferty.

Z powodu braku sprawczości, czy dlatego, że koncentruje się ona na sprawach gejów i feministek?

– Lewica zapracowała sobie na wizerunek formacji, która robi dużo szumu, ale głównie w kwestiach światopoglądowo-kulturowych. Atak na Kościół także przestaje działać, bo Kościół znika z horyzontu problemów młodych dorosłych. To nie jest żywy temat w tym środowisku.

Przywództwo! W PRZEGLĄDZIE napisano o tym wszystko. Mogę tylko powiedzieć, że z częstych spotkań z absolwentami uczelni wyłania się obraz samotności ludzi o lewicowych przekonaniach, którzy mieszkają w małych miejscowościach. Oni nie mają tam z kim się spotkać, porozmawiać. W terenie lewica nie posiada struktur. Ma wizerunek formacji wielkomiejskiej, wszak nawet Robert Biedroń łatwo porzucił Słupsk.

Wielkomiejskiej, czyli zadzierającej nosa i oderwanej od rzeczywistości. Żyjącej we własnej bańce.

– Sądzę, że elektorat lewicy, ten potencjalny, szacowany na 20%, jest rozproszony i przynajmniej w połowie mieszka w Polsce B i C, gdzie praktycznie lewicy instytucjonalnie już nie ma. A brak wsparcia innego niż wirtualne powoduje, że ci ludzie mają poczucie izolacji. Pogłębia się ich niewiara w lewicę jako formację wspólnotową i prospołeczną. Dlatego liderom lewicy doradzałbym, żeby ruszyli w rajd po Polsce powiatowej i próbowali reanimować pozostałości lewicowego elektoratu, rozproszone w małych i średnich miastach.

Sprawa PRL to już przeszłość?

– Nawet w starszej generacji to już echo dalekiej przeszłości. Tematy stanu wojennego, dekomunizacji, Jaruzelskiego itd. są chyba kwestią, która ten odchodzący krok po kroku elektorat zajmuje mniej niż dostępność usług medycznych czy ceny leków.

Czeka nas gorąca jesień? Start nowego sezonu?

– Zapewne tak, bo to będzie moment, w którym PiS przedstawi kandydata na prezydenta. Mogą być też inne niespodzianki. To już będzie długi rozbieg do tego ostatniego parlamentarnego skoku w pakiecie wyborów, które określą kształt polskiej polityki na najbliższe lata. Rok 2027 przyjdzie szybciej, niż nam się wydaje.

Robert Walenciak

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

To fenomen, że poparcie dla Jarosława Kaczyńskiego jest tak stabilne mimo potężnych problemów, które ma jego partia.

Potencjalny elektorat lewicy, szacowany na 20%, jest rozproszony i przynajmniej w połowie mieszka w Polsce B i C, gdzie lewicy już nie ma. Ci ludzie mają poczucie izolacji.

Z żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci 22 czerwca

dr. inż. Jerzego Stefańskiego,

człowieka lewicy, odznaczonego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, wiernego czytelnika „Przeglądu", wspomagającego nasz tygodnik.

Rodzinie Zmarłego składamy wyrazy współczucia

Jerzy Domański, Paweł Dybicz

eprasa.pl 7caae2c074

Z Galicji

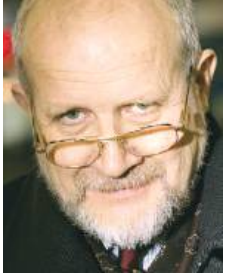

Jan Widacki

Sen o demokracji

Marzy mi się Polska jako państwo demokratyczne, prawne, czyli praworządne, urzeczywistniające zasady sprawiedliwości społecznej. To nie są jakieś wygórowane marzenia. Taka dokładnie Polska ma być zgodnie z konstytucją. Treść tego mojego marzenia pokrywa się dosłownie z treścią jej art. 2. Marzy mi się, bo naszej klasie politycznej zatarły się granice między demokracją a demagogią. Faktycznie w obu tych słowach jest demos, czyli lud. Tyle że demokracja to rządy ludu, a demagogia to schlebianie ludowi za pomocą niby prostych i przekonujących argumentów, odwołujących się często do najniższych instynktów; to opowiadanie oczywistych kłamstw – takich, aby spodobały się ludowi, by ten w najlepszej wierze akceptował pomysły, które służą nie jemu, lecz władzy, i jeszcze ją za to wielbił.

Ale nawet sama demokracja to za mało. Demokracja bez silnych zasad państwa prawa i bez trójpodziału władz to trochę tak jak samochód z potężnym silnikiem, lecz pozbawiony hamulców. Demokracja bez zasad prawa pozwoliłaby większości zamknąć mniejszość w obozach. Dlatego sama demokracja nie wystarcza, potrzebna jest jeszcze praworządność.

Przez ostatnie osiem lat rządów PiS niebezpiecznie oddaliliśmy się od konstytucyjnego wzorca. Polska była coraz mniej demokratyczna i praworządna, coraz bardziej demagogiczna i populistyczna. To zdumiewające, ale przy coraz lepszym dostępie do informacji społeczeństwa coraz bardziej ulegają populizmowi i demagogii. W całym świecie zachodnim rosną w siłę populiści i demagodzy. Od USA począwszy, przez Francję, Niemcy… Czy można się dziwić, że doszło to do Polski? Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, może wiedzą to socjolodzy? Nie znam mechanizmów, nie znam przyczyn, ale skutki są widoczne i namacalne. Czy to naprawdę schyłek liberalnej demokracji? Czy znaleźliśmy się na równi pochyłej, z której nie ma odwrotu?

Wierzę, że jest. Nie mam pewności, czy klasa polityczna jest takim odwrotem zainteresowana. Przede wszystkim nie wierzę, by demokrację mogły wprowadzić partie wodzowskie, będące szkołami niedemokratycznego działania. A wszystkie nasze najważniejsze partie polityczne są partiami wodzowskimi, w których wszystkie najważniejsze decyzje należą do przewodniczącego. To on decyduje, kto znajdzie się na liście wyborczej, w jakim okręgu i na którym miejscu. Już to narzędzie wystarczy, by trzymać partię i jej członków w ryzach. Nie ma w naszych partiach prawyborów, nie ma dyskusji, ich miejsce zajmuje podlizywanie się wodzowi. Nie liczy się głos struktur lokalnych, o wszystkim decyduje wódz.

W Sejmie, we wszystkich w zasadzie głosowaniach, obowiązuje dyscyplina klubowa. Dyskusje sejmowe nie mają więc żadnego znaczenia, obliczone są raczej na zewnętrznego słuchacza czy widza (tylko jaki procent społeczeństwa ogląda transmisje z obrad Sejmu czy Senatu?). Wewnątrz Sejmu i tak nikogo z innych klubów nie można do niczego przekonać, i tak będzie głosował, jak mu klub nakaże. Po co więc zwozić do Warszawy 460 posłów? Wystarczyłoby, aby bez żadnych debat na głosowania przyjeżdżali tylko szefowie klubów i głosowali „pakietami głosów". Na jedno by wyszło, a byłoby taniej.

Czy to naprawdę schyłek liberalnej demokracji?
Czy znaleźliśmy się na równi pochyłej, z której nie ma odwrotu?

Zadziwia słabość fachowa, a często niestety również intelektualna parlamentarzystów i ministrów. Na świecie mają oni fachowych doradców i całe think tanki. U nas posady doradców są dla aparatu partyjnego, nie dla ekspertów, a na think tanki nie ma pieniędzy, bo 100% dotacji każda partia wydaje na opłacenie aparatu i kampanie wyborcze.

Zmiana tego wymagałaby regulacji ustawowej. Ustawa (ordynacja wyborcza) powinna wymuszać na partiach prawybory. A także regulować, jaki procent dotacji można przeznaczyć na koszty kampanii, a jaki obowiązkowo na ekspertów. Warto też, by ustawa (regulamin Sejmu?) ustalała, w jakiej maksymalnie liczbie głosowań może być zarządzona dyscyplina klubowa. Co do takich rozwiązań musiałby być konsensus głównych sił politycznych, ale nie mam złudzeń, że na konsensus się zanosi. Pomarzyć jednak można. ■

Przegląd
DOŁĄCZ DO NASZEJ SPOŁECZNOŚCI
Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Instagramie, X, YouTubie i LinkedIn

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7caae2c074

Beata Dżon-Ozimek

Watchdog szczerzy kły

Niełatwo być aktywistką, szczególnie w najmniejszym województwie Polski

– Mam w sobie coś takiego, że okazuję sprzeciw. Tak było jeszcze za komuny, podczas strajków studenckich na Śląsku. Kiedy nastało PiS, poczułam ten sam zew, że tak być nie może, stąd KOD od 2016 r. Coraz więcej ludzi wtedy rezygnowało z aktywności, protesty niczego nie zmieniały, ale ja jestem uparta i konsekwentna – mówi Małgorzata Besz-Janicka, przewodnicząca i nowa twarz opolskiego KOD. Inżynierka środowiska, właścicielka pierwszych szkół językowych w Opolu, koordynowała obywatelską kontrolę wyborów w regionie. Począwszy od samorządowych pięć lat temu, przez europejskie, parlamentarne, po prezydenckie. Wszystko społecznie. – Sakramencka robota, tygodniami nie wiedziałam, jak się nazywam, ale wydawało się to cholernie ważne – stwierdza.

Opolski KOD występował ze wsparciem dla Strajku Kobiet, nauczycieli, imigrantów, monitorował sprawę zatrutej Odry, bronił niezależności lokalnej prasy. Członkini m.in. społecznej rady mediów cieszy się na Opolszczyźnie ogromnym zaufaniem. Wyważona, delikatna, ale nieustraszona. I torunianka, od lat na Śląsku. Uzupełnia się charakterologicznie z inną działaczką społeczną na tym terenie, Joanną Radzińską-Iwaszkiewicz. Łączy je poczucie sprawiedliwości, odwaga, poza tym miłość do koni i psów. Niechętnie mówią o sobie, ale skoro już się zdecydowały, to szczerze.

Joanna Radzińska-Iwaszkiewicz ściągnęła do Opola Alinę Czyżewską, aktywistkę wywodzącą się z Sieci Obywatelskiej Watchdog i Kultury Niepodległej, obywatelskiego ruchu ludzi kultury. Watchdog prawdopodobnie po raz pierwszy zawitał wtedy do Opola. – To było po wydarzeniach z 13 grudnia 2019 r. w oddziale Muzeum Śląska Opolskiego, czyli Muzeum Czynu Powstańczego w Górze Świętej Anny, skąd w skandaliczny sposób zwolniono wszystkich pracowników – opowiada Joanna Radzińska-Iwaszkiewicz. Nie ukrywa, że jednym z nich, kierownikiem muzeum z 11-letnim stażem, był jej mąż.

W wyniku współpracy z Czyżewską w 2020 r. powołała do życia Niepodległą Opolską Kulturę (NOK), założoną także z synem, wówczas studentem prawa, i kilkoma innymi osobami. – Bliskie są nam ideały Watchdoga, a instytucje kultury interesują nas szczególnie, bo działy się tam rzeczy, które nie podobają się nam, obywatelom. Od czterech lat sprawdzamy władzę. Stowarzyszenie NOK doprowadziło np. do unieważnienia posiedzenia komisji kultury urzędu marszałkowskiego – nie było kworum, co nie przeszkadzało w głosowaniu. Dzięki nam Opolska Izba Obrachunkowa wszczęła postępowanie wobec Muzeum Śląska Opolskiego, zwolniono też Monikę Ożóg, jego dyrektorkę, po ujawnieniu przez Alinę Czyżewską plagiatu, którym tamta posłużyła się w konkursie na stanowisko – mówi.

Władza pokazała, że nie lubi kontroli obywatelskiej. Były już marszałek województwa opolskiego Andrzej Buła, świeży europoseł, pozwał Czyżewską za naruszenie „dóbr osobistych województwa". Spektakularnie wygrała.

Lokalne watchdogi pozostają w większości incognito. „Gębę" dają Radzińska-Iwaszkiewicz i Besz-Janicka.

Za drobiazgowymi badaniami, wgryzaniem się w liczby, daty, za odnajdywaniem połączeń między wydatkami, decyzjami i postaciami stoją księgowi, prawnicy, działacze pro bono. Ze względu na bezprecedensowy pozew marszałka i próbę wywołania efektu mrożącego („województwo kontra aktywistka") lokalne watchdogi w większości pozostają incognito. „Gębę" dają Radzińska-Iwaszkiewicz i Besz-Janicka.

Nabrałyśmy wprawy

26 stycznia gruchnęła w Opolskiem wieść o nominacji dr hab. Moniki Ożóg, osoby uznanej przez sąd za winną plagiatu, na stanowisko opolskiego wojewódzkiego konserwatora zabytków. Watchdog wyszczerzył kły i zaczął pytać o procedurę powołania, o dokumenty. O tej nominacji było głośno w środowisku ludzi kultury i konserwatorskim, także w województwach ościennych. – Trudno się zgodzić na to, by osobę uznaną przez sąd za plagiatorkę obdarzyć publicznym zaufaniem, by decydowała o losach dziedzictwa materialnego i podejmowała decyzje nieraz warte miliony – zwracają uwagę aktywistki.

26 stycznia wysłały 250 mejli do posłanek i posłów, również tych z europarlamentu, z informacją o fatalnej nominacji. Jedyną osobą, która kurtuazyjnie odpowiedziała, był Jan Olbrycht. 28 stycznia informacja wraz z „Petycją w sprawie rozważnego obsadzenia stanowiska Opolskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków" trafiła do ówczesnego ministra kultury i dziedzictwa

eprasa.pl 7caae2c074

Od lewej: Małgorzata Besz-Janicka, KOD i Joanna Radzińska-Iwaszkiewicz, Niepodległa Opolska Kultura.

narodowego Bartłomieja Sienkiewicza, przełożonego wiceministry Bożeny Żelazowskiej, generalnej konserwator zabytków. Jedynie biuro poselskie Marceliny Zawiszy zainteresowało się sprawą. Lewica Razem przygotowała interpelację, zmienioną w zapytanie poselskie przez marszałka Sejmu. Wystosowała też pismo do wojewody o objęcie nadzorem działań wojewódzkiego opolskiego konserwatora zabytków.

21 lutego aktywistki spotkały się, wręczywszy jej wcześniej ową petycję, podpisaną przez 251 osób, z wojewodą opolską Moniką Jurek. – Ta powiedziała, że próbowała telefonicznie wytłumaczyć ministrze Bożenie Żelazowskiej, że to powołanie wywołuje w regionie protesty. Miała usłyszeć: „Proszę wykonać moje polecenie" – mówią społeczniczki. Badały dalej. – Przez lata obrony praworządności nabrałyśmy wprawy, czasem o trzeciej w nocy się zdzwaniałyśmy, żeby coś przedyskutować. Uzyskałyśmy dowody, że zostały złamane dwie ustawy. Pani Ożóg nie spełnia wymogów art. 91 ust. 3, pkt 3 Ustawy o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami – nie ma co najmniej pięcioletniego stażu pracy w zakresie ochrony zabytków, jak wynika ze świadectw pracy. Nie przepracowała również ani jednego dnia w jednostkach administracji publicznej przy ochronie zabytków – podkreślają aktywistki, dodając, że art. 3 pkt 3 Ustawy z 16 września 1982 r. o pracownikach urzędów państwowych wymaga nieskazitelnego charakteru i nieposzlakowanej opinii. A tego przymiotu, jak mówią, pani Ożóg nie posiada – udowodniono jej przecież w sądzie plagiat.

Czwarta rano, wyprawa po głos

1 marca pierwsza wyprawa do Warszawy na posiedzenie Komisji Kultury i Środków Przekazu. Dla Joanny 390 km, 330 dla Małgorzaty, wyjazd o czwartej rano. Szef komisji Bogdan Zdrojewski zapewnił aktywistkom możliwość zabrania głosu jako stronie społecznej. Frontmenką, najbardziej doświadczoną w podobnych wystąpieniach, jest Alina Czyżewska. Towarzyszyła im także posłanka Marcelina Zawisza. – Każda miała swoją działkę: Alina miała mówić o nieprawidłowościach powołania konserwatorki i o naruszeniu ustawy; Małgosia o standardach, o które tak walczyła przez osiem lat, zdzierając gardło i kolejne buty; a ja o najmniej seksownej stronie, czyli o pieniądzach i niegospodarności Moniki Ożóg – wyjaśnia Joanna Radzińska-Iwaszkiewicz.

Debatę zdominował jednak temat… bobrów. Aktywistki z odległego miasta usłyszały, że nie będzie czasu dla strony społecznej. – Poczułyśmy się upokorzone. Partia, na którą głosowałam, nie chce nam udzielić głosu, a posłanka Joanna Lichocka z PiS staje w naszej obronie – wytyka Radzińska-Iwaszkiewicz. Do walki o ich prawo wypowiedzenia się dołączyły Marcelina Zawisza, Daria Gosek-Popiołek i Paulina Matysiak. Aktywistki dostały trzy minuty.

Wielki Czwartek, 28 marca, ministra Żelazowska na prośbę posłanki Zawiszy przyjmuje aktywistki w MKiDN. – To było dla mnie najbardziej traumatyczne 15 minut. Pani Żelazowska przywitała nas zapytaniem: „Jakiego panie macie kandydata?". Wtedy już nie twierdziła, że na stanowisko konserwatora wojewódzkiego w Opolu było kilku kandydatów, jak mówiła wcześniej, ale że Ożóg jest świetną konserwator zabytków, ma kwalifikacje, tytuły naukowe – wspomina Joanna. Pamiętają też jej słowa, że jeśli są „żywo zainteresowane swoim terenem i konserwacją zabytków", to mają sprawdzić, gdzie są 3 mln przeznaczone na prace w katedrze i co tam wykonano…

9 maja, trzecia wyprawa do stolicy. Znowu czwarta rano, zmieniają się

FOT. ALINA CZYŻEWSKA

eprasa.pl 7caae2c074

za kierownicą. Uczestniczą w posiedzeniu połączonych komisji w Sejmie (Komisji Kultury i Środków Przekazu oraz Komisji Finansów). To pierwsze czytanie poselskiego projektu o dodatkowym wynagrodzeniu rocznym dla pracowników instytucji kultury. Tego samego dnia złożyły w prokuraturze przy ulicy Kruczej doniesienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez ministrę Żelazowską. – W Sejmie miałyśmy umówioną konferencję prasową na ten temat, przed nami występował Grzegorz Braun i krzyczał: „Precz z Europą!" i „Eurokołchoz!" – opowiadają. Jego okrzyki nie przeszkodziły PAP w przygotowaniu solidnego tekstu, informację tego samego dnia zamieściły Radio Opole i „Gazeta Prawna". – Minęło kilka dni, nim cokolwiek napisały media opolskie, pierwszy był Piotr Zapotoczny z „Gazety Wyborczej" – mówią społeczniczki. W jednym z programów Polsat News, „Studio parlament", wyemitowano rozmowę z ministrą Żelazowską. Pytana o kontrowersje wokół nominacji Moniki Ożóg wspomniała o „tych paniach", które do niej „po coś tam przyszły".

19 maja Stowarzyszenie NOK wystosowało apel do wojewody opolskiej z prośbą o wszczęcie procedury odwoławczej – gwarantuje to Ustawa o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami, art. 91. Autorzy napisali m.in.: „Apel ma na celu przywracanie standardów praworządności w naszej Ojczyźnie po wyborach 15 października 2023 r.".

Dzięki działaczkom społecznym straciła posadę opolska wojewódzka konserwator zabytków, której udowodniono plagiat.

4 czerwca pojawiła się informacja o odwołaniu Moniki Ożóg ze stanowiska wojewódzkiego konserwatora zabytków.

Poszukiwany, poszukiwana

– Spoglądano na mnie jak na kogoś, kto się zawziął, wyrównuje prywatne rachunki, bo chodzi o osobę, która zniszczyła dobre imię i odebrała ukochaną pracę mojemu mężowi. Takie wytłumaczenie byłoby najwygodniejsze – przyznaje Joanna Radzińska-Iwaszkiewicz. I zaraz pyta: – Właściwie co w tym złego, że żona staje w obronie męża, który nie przyznawał się do tego, że jest mobbingowany przez szefową, latami płacił za to zdrowiem?

A jednak ta żona, ale przede wszystkim watchdog, wykazała wraz z innymi osobami ewidentne nieprawidłowości i zaniechania przy nominacji wojewódzkiej konserwator zabytków w Opolu. Przekonała do współpracy ikonę praworządności w regionie, Małgorzatę Besz-Janicką, Alinę Czyżewską, grono prawników i sprzymierzeńców. To nie prywata, to robota dla społeczności. – Występuję jako pełnomocnik stowarzyszenia Niepodległa Opolska Kultura, nie ukrywam nazwiska. Zarzucono mi, że działamy rodzinnie, że to „państwo Iwaszkiewiczowie" tak długo robili złą robotę, aż Monika Jurek uległa. Nie jesteśmy cudotwórcami. Wystarczy zauważyć, że od samego początku zostały złamane dwie ustawy – wskazuje Radzińska-Iwaszkiewicz. Monika Ożóg zyskała status lokalnego Obajtka, bo podobnie jak byłemu szefowi Orlenu nie można było skutecznie doręczyć jej wezwania, tak jak nie można było wręczyć dymisji. Grała z wojewodą w „poszukiwany, poszukiwana", przebywała na zwolnieniu lekarskim.

– Nic nie jest dane raz na zawsze i władza z ideałami na ustach wcale nie gwarantuje, że będzie lepiej. Każdy powinien interesować się polityką i patrzeć władzy na ręce, zwłaszcza lokalnie, bo tu nie ma niezależnych mediów, nie ma kontroli. Ludzie się znają, bardzo trudno jest się przeciwstawić – podkreśla Besz-Janicka.

Cena za patrzenie władzy na ręce jest wysoka. Takie akcje przyprawiają o ból głowy, niespokojne noce, sprawiają, że topnieje grono znajomych. Małgorzacie i Joannie jako feministkom wcale nie było łatwo występować przeciwko kobiecie. Zaznaczają jednak: – Praworządność nie ma płci. Jeżeli wierzycie w prawo i umiecie je czytać, chodźcie z nami, nie bójcie się. Władza potrafi się cofnąć i to jest obiecujące – uważają. Watchdog skutecznie obnażył kły – pokazał, że się nie boi i wie, jak pilnować władzy dla dobra społeczeństwa.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7caae2c074

Nawiasem mówiąc

Stanisław Filipowicz

Błaganie o mit

Rollo May, amerykański psychiatra i psychoterapeuta, przekonywał, że nasze życie to „błaganie o mit". Taki tytuł nadał jednej ze swoich książek. Na czym polega wielkość mitu? Mit prowadzi nas za rękę, pozwala dotknąć rzeczy najważniejszych, przyjąć dar istnienia, wyrwać się z szamotaniny i niepewności. Kto potrafi usłyszeć mowę mitów? Terapeuci, artyści, pisarze. Tak jak Francis Scott Fitzgerald, autor nieśmiertelnej powieści „Wielki Gatsby", który, wprowadzając na scenę swojego bohatera, zawiódł nas do źródeł amerykańskiego snu, pokazał świat, który przemierzają bogowie: dzieci Sukcesu i Sławy.

Mit – jak tłumaczył Mircea Eliade, wielki znawca zaklętej mowy mitów – ma zaspokoić nasz głód istnienia. Czyni to, stawiając nas na krawędzi ostateczności – pomiędzy dobrem i złem, rozkładem i restytucją, unicestwieniem i ocaleniem: pokazując rozdarty świat, w którym napierają na siebie wrogie żywioły. Oddzielając życie od śmierci, wraz z obrazami walki, mity przynoszą obietnicę ocalenia.

W tym miejscu zaczyna się polityka. Mit – jak powiedzielibyśmy dzisiaj – jest platformą komunikacyjną. Biada tym, którzy tego nie rozumieją. Są skazani na porażkę, utracą oddech, osłabną i przeminą. Polityczne mity są narzędziem autokreacji. Mają nas zmobilizować – pokazać przepaść, poprowadzić na progi ostateczności. Magowie świata polityki – przywódcy – muszą uzbroić swój język w schematy transmitujące mowę mitów.

Obajtek personifikuje przesłanie pisowskiego mitu odnowy i obfitości. Proste – to Gatsby z Pcimia.

Kto tego nie rozumie, niech się nie bierze do polityki, zwłaszcza dziś, gdy debata publiczna zmienia się w pośmiewisko i zewsząd słyszymy: „Liczą się tylko emocje"! Po części jest to prawda – polityka nigdy nie była przytułkiem dla rezonerów, żadne społeczeństwo nie jest grupą seminaryjną. W spektaklu władzy musimy ujrzeć walkę żywiołów i usłyszeć głos sławiący jej bohaterów. W demokracji marketingowej zdolności narracyjne straciły znaczenie, ale czasami tu i ówdzie widzimy jakieś przebłyski.

Z kreowaniem aury ostateczności najlepiej sobie radzi na naszej scenie PiS. Zręcznie porusza się na płaszczyźnie mitu – potrafi zderzyć kosmiczne przeciwieństwa, pokazać przepastne różnice. Na afiszu umieszcza wykrzykniki – widzimy zdrajców, nieudaczników, siewców zamętu. Najrozmaitszych szalbierzy prowadzących nas na krawędź upadku. Była już „Polska w ruinie", dziś jest Polska zdradzona i opuszczona. Zagrożona w sposób najbardziej dramatyczny – wpychana przez zdrajców w objęcia naszych wrogów. W płomieniach konfliktu widzimy odszczepieńców, którzy pracują na rzecz „obcych" (to oczywiście Berlin i Bruksela). Właśnie w tym miejscu zaczyna się polityka zmieniająca pisowskich wyborców w wyznawców.

Co jest po drugiej stronie? Martwa cisza. Twitterowa szamotanina i trud urzędowania nie zastąpią mitu. Gdzie są płomienie, gdzie jest scena dramatu? Demokraci wypadają tu blado. Ot, niedawno minister Sikorski potraktował mit protekcjonalnie: posługując się tym słowem, napiętnował przeciwników. Postanowił stanąć na wyżynach „czystej" prawdy oddzielonej od mitu. Wylądował w próżni. Mentorskie zadufanie nie zastąpi bowiem ewokacji pozwalającej podziwiać bohaterów uczestniczących w zmaganiach żywiołów.

Demokraci, rozejrzyjcie się, może macie w swoich szeregach Homera? Bez czarodziejskiej różdżki zmieniającej słowa w pociski nie poradzicie sobie. Mity można tworzyć, nie posługując się tym określeniem. Trzeba tylko rozumieć ich mowę: grać najmocniejszymi kartami, pokazując świat w ostrym świetle błyskawic.

Przeciwnikowi trzeba zaś nasunąć na głowę czapkę hańby. Wywołać skojarzenia budzące niechęć i zgrozę – pokazać smoka ziejącego ogniem, pokonać go. Kto tego nie potrafi, przegra. Ludzie przecież błagają o mit, chcą przeżyć wtajemniczenie – dotknąć szat proroka. Kaczyński od dawna stosuje ten patent i w taki sposób „betonuje" swój elektorat. Pochwała „ciepłej wody w kranie" to nie to.

Popatrzmy na wybory do europarlamentu. Obajtek, Kamiński, Wąsik – atakowani, napiętnowani, przetrwali napór, zdobyli mandaty. Są bowiem częścią pisowskiego mitu, w którym ścierają się wrogie żywioły i dobro walczy ze złem. Obajtek? Lud pisowski będzie w nim zawsze wielbił herosa, który podbijał świat i zaznał chwały na Olimpie biznesu. Wszelkie obciążające go zarzuty zostaną potraktowane jako polityczna zemsta. Obajtek personifikuje przesłanie pisowskiego mitu odnowy i obfitości – uczestniczy w wizji wielkiej przemiany. Proste – to Gatsby z Pcimia. Nasz kum, ziomal, który zamieszkał w niebiosach.

No dobrze, powoli kończę, zajrzałem do czarodziejskiej kuli, co zobaczyłem, opowiedziałem. Jest jeszcze jedna rzecz – przypadek Trzeciej Drogi. W polityce trzeciej drogi nie ma – jest tylko ciężar pytań zasadniczych. Ich pominięcie oznacza, że głodującym odmawiamy kromki chleba. Życie to nieprzerwane błaganie o mit. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7caae2c074

POLSKA NA BECZCE PROCHU

Miliony ludzi żyją na tykających bombach, które w każdej chwili mogą wybuchnąć

Andrzej Sikorski

Na dnie Morza Bałtyckiego w pobliżu polskiego wybrzeża zatopionych jest kilkaset statków – pozostałości głównie po II wojnie światowej. Około stu wraków zalega tylko w Zatoce Gdańskiej, gdzie znajdują się największe porty i gdzie każdego dnia na plażach wypoczywają tysiące ludzi.

Zatopione statki rdzewieją, a ich zbiorniki wypełnione paliwem w każdej chwili mogą się rozszczelnić, powodując katastrofę ekologiczną na niewyobrażalną skalę. Największe zagrożenie stanowi pięć wraków: statki ewakuacyjne Wilhelm Gustloff, Steuben i Goya, statek szpitalny Stuttgart i tankowiec Franken. Z pozostałości Stuttgartu, który leży na dnie Zatoki Puckiej, cieknie paliwo. Już w 2019 r. dr inż. Benedykt Hac z Instytutu Morskiego w Gdańsku alarmował, że paliwo z wraku rozlało się na powierzchni ok. 40 ha, a stężenie substancji toksycznych przekracza normy czystości 20-30 tys. razy. Sytuacja w zatoce jest dramatyczna. Rybacy i ekolodzy informują o martwych, chorych i zniekształconych rybach, martwych fokach, łabędziach, mewach i kaczkach.

Kilka mniejszych wraków zalega w Zalewie Wiślanym, gdzie, jak wskazują eksperci, z uwagi na zamknięty ekosystem środowisko jest dużo bardziej wrażliwe na zanieczyszczenia niż na otwartym morzu, przez co nawet niewielka ilość paliwa z zatopionego statku może spowodować katastrofę ekologiczną.

Gaz musztardowy

Bałtyk jest wielkim składowiskiem nie tylko paliwa, ale i zatopionej broni chemicznej. Szacuje się, że to ok. 50 tys. ton tzw. bojowych środków trujących, głównie gazu musztardowego (iperytu siarkowego) i nawet 500 tys. ton broni konwencjonalnej. Taka mieszanka materiałów niebezpiecznych sprawia, że polskie wody terytorialne są bombą z opóźnionym zapłonem. Nie wiadomo kiedy, ale na pewno wybuchnie.

Szczególnie niebezpieczny jest gaz musztardowy, stanowiący zagrożenie nie tylko dla ludzi kąpiących się w morzu, ale i dla załóg kutrów rybackich i innych jednostek, pracowników portów oraz nurków wykonujących prace podwodne. Każdy kontakt z iperytem może spowodować skażenie części ludzkiego ciała, złowionych ryb, sieci i pokładu kutra – ujawnia się to dopiero po kilku godzinach. Gazem musztardowym (i innymi chemikaliami) skażone mogą być ryby, a brak kontroli weterynaryjnej nie daje pewności, że liczni amatorzy dorsza, flądry czy śledzia nie spożywają produktów rozpadu bojowych środków trujących.

Zdarzały się przypadki poparzenia gazem musztardowym. W 1955 r. na plaży poszkodowanych zostało 120 dzieci z Żywca przebywających na koloniach w Darłówku. W 1966 r. poparzonych zostało czterech rybaków z Darłowa, w 1977 r. 12 rybaków z Darłowa, Kołobrzegu i Ustki, w 1979 r. czterech rybaków z Darłowa i Ustki, a w 1997 r. ośmiu rybaków z Władysławowa. Polskie służby

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7caae2c074

Statki na dnie Bałtyku rdzewieją, a ich zbiorniki wypełnione paliwem mogą się rozszczelnić.

nie są przygotowane do działania w sytuacjach kryzysowych, o czym świadczy ta ostatnia historia.

W styczniu 1997 r. załoga kutra rybackiego wyłowiła z Bałtyku niemal sześciokilogramową bryłę iperytu. W pierwszej chwili rybacy byli przekonani, że trafili na bursztyn, gdy jednak okazało się, że znalezisko jest bezwartościowe, zawlekli je na ląd i wyrzucili na wysypisku śmieci. Czterech z ośmiu poparzonych rybaków zatrzymano w szpitalu, pozostałych po opatrzeniu wypisano do domów. O zdarzeniu poinformowano wszelkie możliwe służby: Państwową Wojewódzką Inspekcję Sanitarną w Gdańsku, Inspekcję Pracy w Gdańsku, Urząd Morski w Gdyni, Instytut Medycyny Morskiej i Tropikalnej w Gdyni, Weterynaryjną Inspekcję Sanitarną w Pucku, Kapitanat Portu we Władysławowie, Straż Graniczną. Do wypadku doszło w piątek, a reakcja służb ujawniła brak jakiejkolwiek wiedzy w kwestii zasad postępowania w podobnych sytuacjach – niektórzy przyjmujący zgłoszenie radzili, żeby zaczekać do poniedziałku, bo było po godz. 15 i zbliżał się weekend. Dopiero po sześciu godzinach od zdarzenia do akcji przystąpili specjaliści z 55. Kompanii Chemicznej w Rozewiu.

Według oficjalnej wersji wojskowi zdezynfekowali kuter i port, a na wysypisku zabezpieczyli iperyt i skażone śmieci. Odzież rybaków, zdemontowane z kutra wyposażenie oraz odpady z wysypiska zostały przewiezione do jednostki wojskowej, a następnie zakopane w rowie w pobliżu magazynu, niedaleko jednostki. Iperyt zamknięto w hermetycznej beczce. Co się z nią stało, nie wiedzą ani wojsko, ani służby cywilne odpowiedzialne za bezpieczeństwo i ochronę ludności (sic!).

Jednym z żołnierzy, którzy brali udział w zakopywaniu skażonych śmieci, był Karol Piernicki. Według jego relacji wojskowi nie mieli odzieży ochronnej. Kilka miesięcy po „unieszkodliwianiu" skażonych przedmiotów u Piernickiego wykryto sarkoidozę płuc. Mężczyzna został uznany za niezdolnego do służby i przeniesiony do rezerwy. Lekarze orzekli, że choroba nie miała związku ze służbą wojskową. Piernicki nie chciał dać za wygraną, próbował zainteresować najważniejsze osoby w państwie swoją chorobą, zaginięciem iperytu i nieprzestrzeganiem procedur przez dowódców wojskowych. W efekcie uznano go za niebezpiecznego i zamknięto w zakładzie psychiatrycznym.

Bezradne państwo

Od kilku lat Najwyższa Izba Kontroli alarmuje, że rząd nie robi nic, aby się zabezpieczyć na wypadek katastrofy. Pomimo posiadanych informacji administracja morska nie dokonała kompleksowej identyfikacji niebezpiecznych materiałów zatopionych w Bałtyku ani nie rozpoznała skali związanych z tym zagrożeń. Nie prowadzono monitoringu wód pod względem stężeń bojowych środków trujących ani paliwa i produktów ropopochodnych z wraków statków. Rządowi PiS nie chciało się nawet objąć monitoringiem już rozpoznanych miejsc zatopień gazu musztardowego i wraków. Zdaniem NIK „stwierdzone zaniechania administracji morskiej i ochrony środowiska (…) zwiększały ryzyko wystąpienia katastrofy ekologicznej wskutek uwolnienia bojowych środków trujących lub paliw z wraków, w związku z postępującą korozją broni chemicznej i wraków statków zalegających na dnie Morza Bałtyckiego".

Gdy dojdzie do tragedii, służby nie będą miały nawet jak zebrać niebezpiecznych substancji. W 2019 r. ogłoszono przetarg na budowę nowoczesnej jednostki wielozadaniowej, czyli statku przystosowanego m.in. do usuwania zanieczyszczeń chemicznych. Na inwestycję przewidziano ok. 275 mln zł, z czego 85% miała dać Unia Europejska. Przetarg został unieważniony, gdyż odpowiedzialny za gospodarkę morską minister Marek Gróbarczyk uznał, że „wykonanie zamówienia nie leży w interesie publicznym".

W 2021 r. odbyło się posiedzenie sejmowej Komisji Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej, na którym posłowie wysłuchali informacji przedstawicieli rządu „na temat działań podejmowanych w celu przeciwdziałania zagrożeniom wynikającym z zalegania materiałów niebezpiecznych na dnie Morza Bałtyckiego". Zamiast rzeczowej dyskusji decydenci przerzucali się odpowiedzialnością. Wiceminister obrony narodowej Wojciech Skurkiewicz oświadczył, że „najbardziej merytoryczny jest Minister Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej, dlatego że wybitnie jest to temat, który jest w kompetencji, w odpowiedzialności tego resortu".

Wiceminister infrastruktury Grzegorz Witkowski powiedział, „że nie uchyla się od odpowiedzialności", ale sprawa jest skomplikowana i „wymaga wielopłaszczyznowej współpracy członków wspólnoty międzynarodowej, a także wielu resortów i podmiotów". Wiceminister spraw zagranicznych Marcin Przydacz zakomunikował, że „sprawa dotyczy wielu różnych ministerstw", a rola MSZ „jest stosunkowo ograniczona". Najkonkretniejszy był poseł PiS Czesław Hoc, który stwierdził, że „to nie Polacy zatapiali broń chemiczną ani konwencjonalną", tylko „robili to albo Niemcy, albo Rosjanie, albo alianci" – i to oni wraz z Unią Europejską powinni zająć się problemem.

Od kilku lat NIK alarmuje, że rząd nie robi nic, aby zabezpieczyć się na wypadek katastrofy.

Bomby ekologiczne

Podobny stosunek jak do zatopionych wraków i broni w Bałtyku rząd PiS miał do nielegalnych składowisk odpadów niebezpiecznych. Te rozrzucone są po całej Polsce i stanowią

eprasa.pl 7caae2c074

zagrożenie dla zdrowia i życia milionów ludzi. Chodzi o niemal 800 tzw. bomb ekologicznych – najczęściej pozostałości po fabrykach i zakładach przemysłowych, które działały w PRL. Po 1990 r. większość przedsiębiorstw została zlikwidowana lub przeszła w ręce prywatne, ale terenów, na których składowano odpady, nie zrekultywowano. Często składowiska nadal działały i nielegalnie gromadzono na nich niebezpieczne materiały sprowadzane z zagranicy. Szacuje się, że w tych 800 miejscach zmagazynowano ok. 4 mln ton odpadów, w tym 800 tys. ton odpadów niebezpiecznych.

Dramatyczna sytuacja panuje w Bydgoszczy, gdzie teren po dawnych Zakładach Chemicznych Zachem jest jednym z najbardziej zanieczyszczonych obszarów poprzemysłowych nie tylko w Polsce, ale i na świecie. Przez kilkadziesiąt lat w zakładach produkowano m.in. trotyl dla wojska i górnictwa, pianki, kleje oraz barwniki. Na składowisku Zielona (ok. 12 ha terenu) zmagazynowano kilkaset tysięcy metrów sześciennych odpadów pościekowych – najbardziej toksycznych związków chemicznych, które, jeśli nie zabijają w krótkim czasie, to powodują choroby nowotworowe. Niestety, substancje te przedostały się do wód gruntowych i przemieszczają się w stronę Wisły i Brdy. Jeśli trafią do Bałtyku, czeka nas katastrofa ekologiczna na niespotykaną dotąd skalę.

Gdy dojdzie do tragedii, służby nie będą miały jak zebrać niebezpiecznych substancji.

W mającym ponad 56 tys. mieszkańców Zgierzu istnieją co najmniej trzy składowiska odpadów – pozostałości po Zakładach Przemysłu Barwników „Boruta". Pierwsze znajduje się nad Bzurą. Przez kilkadziesiąt lat składowano na nim m.in. odpady niebezpieczne. Obecnie składowisko porośnięte jest drzewami i chaszczami i nigdy nie było zabezpieczone przed podmyciem w razie powodzi. Nie było również zabezpieczone przed przedostawaniem się wód opadowych przez warstwy odpadów do wód powierzchniowych i podziemnych. Badania wody pobranej z Bzury wykazały przekroczenia norm zawartości azotu, fosforu oraz wysokie wartości chociażby siarczanów, chlorków i azotanów.

Drugie składowisko odpadów poprodukcyjnych zawiera popioły paleniskowe, gips i sól wapniową pochodzące z produkcji kwasów. Dodatkowe zagrożenie stwarzają częste pożary. Jednym z produktów rozkładu beztlenowego odpadów jest metan. W wyniku rozkładu materii organicznej rośnie zaś temperatura składowanych odpadów, co często prowadzi do samozapłonu metanu.

Na trzecim składowisku znajduje się ponad 40 tys. ton odpadów poprodukcyjnych w kontenerach, beczkach lub pojemnikach. Odpady te zostały przykryte warstwą popiołów, piasku lub gruzu. Oprócz tego na składowisku nielegalnie zdeponowano ogromne ilości odpadów różnego pochodzenia, w tym komunalnych. Znajduje się tu także ok. 200 tys. beczek z niezidentyfikowanymi dokładnie substancjami, prawdopodobnie niebezpiecznymi.

Bomby ekologiczne tykają, bo kolejne rządy bagatelizowały problem, uważając, że sam się rozwiąże. Koszty rekultywacji terenów i unieszkodliwienia niebezpiecznych substancji liczone są w miliardach złotych.

Opinia publiczna wie tylko o części lokalizacji składowisk. Szczegółowymi informacjami dysponują Główny Inspektorat Ochrony Środowiska oraz nadzorujące go Ministerstwo Klimatu i Środowiska. Gdy rządziło PiS, posłanka Gabriela Lenartowicz (PO) zwróciła się do ministra Michała Kurtyki, aby ujawnił lokalizacje składowisk i podał, jakie substancje niebezpieczne są tam przechowywane. W odpowiedzi wiceminister Jacek Ozdoba stwierdził, że nie może tego zrobić, gdyż lista „bomb ekologicznych" jest wewnętrznym dokumentem i nie stanowi informacji publicznej. Dodał, że ujawnienie takiej listy może naruszyć dobra osób i firm, na terenach których znajdują się nielegalne składowiska, a jak wiadomo, „prywatność i dane osobowe objęte są szczególną ochroną".

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 7caae2c074

Polski uczony potrafi… tylko za granicą?

Bez postępu technologicznego, bez rodzimych spółek skutecznie konkurujących na polu nowoczesnych rozwiązań w przemyśle czeka nas stagnacja

Dyskusja PRZEGLĄDU o stanie polskiej nauki

Grzegorz Rudnik

Nasz kraj w unijnym rankingu European Innovation Scoreboard, dotyczącym innowacyjności, stanu badań naukowych oraz postępu technologicznego, od 29 lat regularnie okupuje trzecie lub czwarte miejsce… od końca. Co jest smutną ilustracją stanu polskiej nauki i rodzimego przemysłu. Gorzej od nas wypadają tylko Rumuni i Bułgarzy. Wychodzi na to, że młodzi naukowcy, jeśli chcą się rozwijać, powinni jak najszybciej wyjechać z kraju i szukać szczęścia najlepiej za oceanem. Daje to czasem fantastyczne efekty.

Wojciech Zaremba, 36-latek z Kluczborka, dzięki talentowi i umiejętnościom zrobił niezwykłą karierę za oceanem.

Szanse w USA

Jesienią 2022 r. amerykańska fundacja OpenAI, założona m.in. przez właściciela Tesli Elona Muska i miliardera Petera Thiela, w celu przyśpieszenia prac nad sztuczną inteligencją uruchomiła chatbot o nazwie ChatGPT. To program komputerowy, który za pośrednictwem internetu umożliwia użytkownikom konwersację z nim. ChatGPT okazał się ważnym etapem w rozwoju sztucznej inteligencji, można by rzec – wskazał kierunek rozwoju. Jego odpowiedzi na pytania i wykonywanie poleceń w stylu: „Napisz wiersz" lub „Napisz opowiadanie" sprawiły, że poważnie zaczęto się zastanawiać, czy w przyszłości komputery nie staną się mądrzejsze od ludzi i czy w końcu nas nie wyeliminują, niczym roboty w filmie „Terminator".

Tajemnicą sukcesu chatbota była i jest możliwość korzystania z ogromnej bazy wiedzy. Dzięki nowym algorytmom i superwydajnym procesorom ChatGPT potrafi odpowiadać na najróżniejsze, często skomplikowane pytania. Jest też bardzo pomocny w tworzeniu zarówno krótkich informacji, jak i obszernych referatów. W USA już korzystają z niego niektóre redakcje.

Z czasem pojawiły się inne zastosowania chatbota, takie jak wspomaganie programistów w ich pracy. Pierwszy milion użytkowników ChatGPT zyskał zaś w ciągu zaledwie pięciu dni (dla porównania – Netfliksowi zajęło to 10 miesięcy). 100 mln użytkowników pojawiło się po dwóch miesiącach.

Mało kto wie, że w opracowywaniu programu, który stał się niemal synonimem sztucznej inteligencji, wzięło udział kilku niezwykle uzdolnionych Polaków. W pierwszej dziesiątce najwybitniejszych naukowców zajmujących się nowym oprogramowaniem, których fundacja OpenAI zaprosiła do udziału w pracach, znalazł się pochodzący z Kluczborka

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 7caae2c074

36-letni Wojciech Zaremba. Dzięki swoim talentom zrobił on za oceanem niezwykłą karierę.

W roku 2007, mając 19 lat, jako reprezentant Polski zdobył srebrny medal na Międzynarodowej Olimpiadzie Matematycznej w Wietnamie. Studiował matematykę i informatykę na Uniwersytecie Warszawskim i w École polytechnique pod Paryżem. W 2012 r. zrobił licencjat z informatyki i magisterkę z matematyki na Uniwersytecie Warszawskim. Cztery lata później obronił doktorat na New York University.

W trakcie prac nad doktoratem Zaremba znalazł się w grupie naukowców zajmujących się sztuczną inteligencją, o nazwie Google Brain. Nazwa nieprzypadkowa, gdyż zespół działał pod patronatem firmy będącej właścicielem najpopularniejszej przeglądarki internetowej świata. Polak pracował także w zespole Facebook Artificial Intelligence Research, który robił dla FB to, co Google Brain.

Nic dziwnego, że mając 27 lat, rok przed obroną doktoratu, Wojciech Zaremba trafił do grona 10 czołowych naukowców zajmujących się sztuczną inteligencją, zaproszonych do współpracy przez fundację OpenAI.

W pracach nad programem ChatGPT, który stał się niemal synonimem sztucznej inteligencji, wzięło udział kilku niezwykle uzdolnionych Polaków.

Dziś w tej fundacji pracuje jeszcze trzech naszych rodaków – Szymon Sidor, Aleksander Mądry oraz 33-letni Jakub Pachocki, który niedawno objął stanowisko głównego naukowca w OpenAI, zastępując na tym miejscu Rosjanina Ilyię Sutskevera z czołówki najzdolniejszych badaczy zajmujących się sztuczną inteligencją.

O Pachockim, pochodzącym z Gdyni absolwencie Uniwersytetu Warszawskiego i Carnegie Mellon University, Sam Altman, dyrektor generalny fundacji, powiedział: „Jakub jest jednym z najwybitniejszych umysłów naszego pokolenia. Jestem zachwycony, że przejmuje tutaj pałeczkę". Mimo młodego wieku Pachocki kierował już kilkoma dużymi projektami.

Młodszy od niego o rok Szymon Sidor dostał się po maturze na Cambridge, skąd trafił na Massachusetts Institute of Technology, a w roku 2016 znalazł pracę w OpenAI. On także uchodzi za geniusza.

Większość profesorów żyje nie z badań, ale z grantów i prowadzenia wykładów. Najchętniej na prywatnych uczelniach.

Jest coś krzepiącego w tym, że młodzi Polacy odnoszą takie sukcesy za oceanem. Bo nad Wisłą nie mieliby na to szans.

Ci, którym się udało

Nie bez powodu od dziesięcioleci panuje w Polsce przekonanie, że prawdziwą karierę można zrobić wyłącznie za granicą. Najlepiej w Stanach Zjednoczonych, bo tam ceni się zdolnych uczonych i stwarza im warunki do rozwoju. Wielu naszych rodaków wykorzystało tę szansę.

Pochodzący ze Lwowa matematyk Stanisław Ulam był wspólnie z węgierskim fizykiem Edwardem Tellerem współtwórcą pierwszej bomby wodorowej. Fizyk Leopold Infeld przez lata w Stanach Zjednoczonych współpracował z Albertem Einsteinem i był nominowany do Nagrody Nobla. Zmarł w Warszawie w roku 1968. W roku 1996 Nagrodę Nobla otrzymał związany z Uniwersytetem Sussex chemik Sir Harold Walter Kroto, bardziej znany jako Harry Kroto. Jego rodzina pochodziła z Bojanowa w Wielkopolsce, a ojciec nazywał się Krotoschiner (Krotoszyński).

Urodzony w Wilnie Andrew Schally w 1977 r. otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny, za odkrycie zjawiska wydzielania hormonów w podwzgórzu mózgu i za badanie ich czynności oraz budowy. Schally, którego ojcem był gen. Kazimierz Schally, szef gabinetu prezydenta Ignacego Mościckiego, jest uważany za prekursora neuroendokrynologii.

W 2004 r. Nobla otrzymał Frank Wilczek, matematyk oraz fizyk teoretyk, profesor Massachusetts Institute of Technology. Doktor honoris causa m.in. uniwersytetów Jagiellońskiego w Krakowie oraz Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. W Stanach Zjednoczonych świetnie znany i ceniony jest fizyk teoretyk prof. Tomasz Dietl, twórca nowej dziedziny nauki – spintroniki półprzewodnikowej. Jego odkrycia znalazły zastosowanie w budowie przezroczystych przewodników, światłowodów oraz źródeł światła laserowego. Tylko jedna z jego prac naukowych była cytowana niemal 10 tys. razy. Dietl należy dziś do najwybitniejszych polskich fizyków. Pracował m.in. w podparyskiej Ecole polytechnique i uczelniach takich jak Uniwersytet Techniczny w Monachium, Uniwersytet Johannesa Keplera w Linzu, Université Joseph Fourier w Grenoble, Uniwersytet Tohoku czy wreszcie Université Paris-Sud w Orsay.

W Stanach Zjednoczonych prace polskiego fizyka są cenione ze względu na ich praktyczne zastosowanie. Ameryka przoduje we wdrażaniu odkryć uczonych, zwłaszcza jeśli chodzi o półprzewodniki i nanotechnologię.

Tomasz Wierzbicki, obecnie emerytowany profesor Massachusetts Institute of Technology, absolwent Politechniki Warszawskiej, zajmował się badaniami odporności różnych materiałów na uderzenia i zderzenia, badał plastyczność metalu oraz absorpcję energii w metalowych konstrukcjach. Wierzbicki przyczynił się do rozwoju inżynierii mechanicznej, zwłaszcza w zakresie zrozumienia zachowania materiałów i konstrukcji w warunkach ekstremalnych. Jego badania znalazły praktyczne zastosowanie w motoryzacji, lotnictwie, budowie urządzeń do wierceń podmorskich oraz nowoczesnych

eprasa.pl 7caae2c074

akumulatorów stosowanych w samochodach elektrycznych.

Prof. Wojciech Matusik studiował grafikę komputerową w Massachusetts Institute of Technology. W 2003 r. uzyskał tytuł doktora. Pracował w Adobe Systems i Mitsubishi Electric Research Laboratories. Jego zainteresowania obejmują bezpośrednią produkcję cyfrową i grafikę komputerową. W roku 2004 „MIT Technology Review" uznał go za jednego ze 100 najlepszych młodych innowatorów na świecie. Matusik posiada ponad 40 patentów w Stanach Zjednoczonych. Obecnie jest profesorem nadzwyczajnym elektrotechniki i informatyki w Computer Science and Artificial Intelligence Laboratory w Massachusetts Institute of Technology, jednej z najlepszych uczelni technicznych na świecie.

Nie sposób pominąć jednego z najczęściej cytowanych chemików na świecie – Krzysztofa „Krisa" Matyjaszewskiego, absolwenta Politechniki Łódzkiej i moskiewskiego Instytutu Petrochemicznego, dziś profesora Carnegie Mellon University w Pittsburghu, autora 20 książek i ponad tysiąca recenzowanych artykułów. Jego odkrycia znalazły zastosowanie w praktyce przemysłowej, co sprawiło, że mówi się o nim jako o kandydacie do Nagrody Nobla. Matyjaszewski wyjechał z Polski w latach 80. i choć jego kariera rozwinęła się na Carnegie Mellon University, nie zapomniał o kraju. W 1999 r. uzyskał w Polsce tytuł profesora. Jest zagranicznym członkiem rzeczywistym Polskiej Akademii Nauk, otrzymał kilka doktoratów honoris causa.

W ostatnim czasie sławę w Dolinie Krzemowej zyskały również dwie Polki: Joanna Hoffman i Anne Wojcicki. Pierwsza, córka reżysera Jerzego Hoffmana, była bliską współpracowniczką Steve'a Jobsa, twórcy Apple. Osobą, która, nie zważając na jego apodyktyczny styl zarządzania, mówiła mu, co myślała. W jednym z filmów poświęconych Jobsowi postać Joanny zagrała Kate Winslet. Anne Wojcicki natomiast to wnuczka Franciszka Wójcickiego, działacza ludowego, prawnika oraz posła na Sejm w latach 1947-1952, córka profesora fizyki Stanleya Wojcickiego. Z wykształcenia jest biolożką. W roku 2007 wyszła za mąż za Sergeya Brina, jednego z założycieli i współwłaściciela Google'a. Rok później założyła własną spółkę o nazwie 23andMe, zajmującą się badaniami genetycznymi. Jej siostra Susan Wojcicki, z wykształcenia ekonomistka, w latach 2014-2023 była prezeską YouTube'a.

Polska to nie Ameryka

Od dawna nikt nie narzekał na stan nauki polskiej. I nikt się nie spodziewa nadzwyczajnych sukcesów ani przełomowych odkryć. W efekcie większość profesorów żyje nie z badań, ale z grantów i prowadzenia wykładów. Najchętniej na prywatnych uczelniach. Także rodzimy przemysł nie potrzebuje innowacyjnych rozwiązań. A jeśli już, to zamawia je za granicą. Są jeszcze pokaźne pieniądze unijne, które w założeniach miały wspierać badania i rozwój. Tylko że ich dzieleniem zajmują się takie instytucje jak Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, które ma fatalną prasę i problemy z organami ścigania.

Idąc dalej, jeśli nawet na Wydziale Matematyki, Informatyki i Mechaniki UW bardzo dobrze kształcą, to możliwości zrobienia przez absolwentów kariery w kraju są ograniczone. Głównie z powodu braku ambitnych wyzwań. Rozumiem, że w konkursach grantowych organizowanych przez NCBR roi się od spółek zajmujących się „sztuczną inteligencją i uczeniem maszynowym", co nie oznacza, że ludzie, którzy w nich pracują, potrafią coś więcej, niż poprawnie napisać wniosek, zgarnąć kasę, a potem sprawnie ją rozliczyć.

Warto też uświadomić sobie, że w państwowych instytutach naukowo-badawczych pracują ludzie, którzy kariery naukowe zaczynali dawno temu. A od tamtych czasów zmieniło się tylko to, że pieniądze są większe, a wymagania wobec badaczy mniejsze. Ważne, by w papierach panował porządek.

Kilka lat temu mówiło się i pisało o „pułapce średniego wzrostu", w której może utknąć Polska. Bez postępu technologicznego w rodzimych firmach i bez spółek konkurujących na polu najnowocześniejszych rozwiązań w przemyśle nie unikniemy stagnacji. Bo nasz kraj do czołówki rozwiniętych państw Europy nie należy. Tymczasem urzędników rozlicza się z „alokacji" – czyli z tego, ile unijnych środków wydali. Im więcej, tym lepiej.

Grzegorz Rudnik

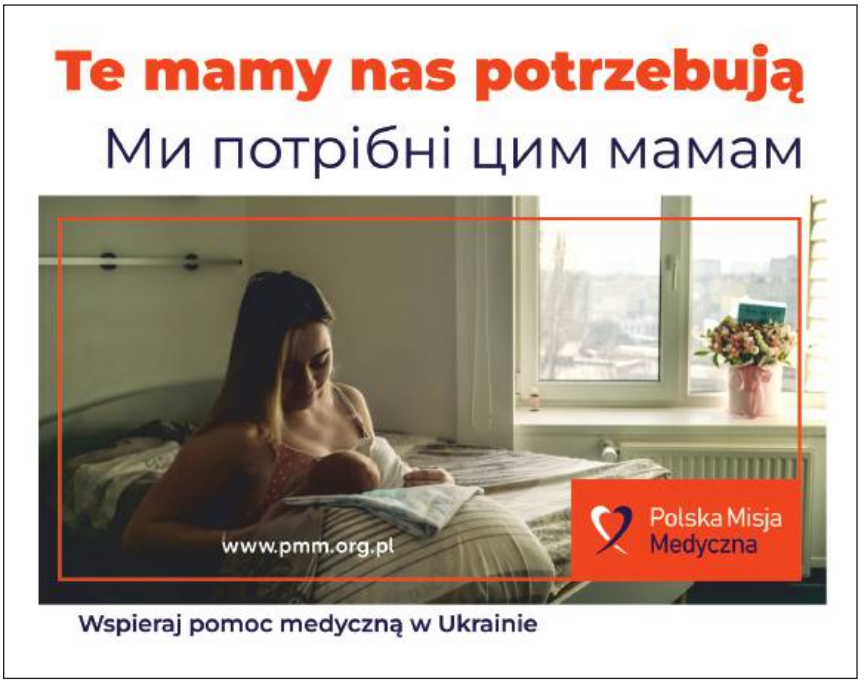

eprasa.pl 7caae2c074

Mateusz Mazzini

Spokojny pan od wojny

Mark Rutte był i jest bardzo dobrym politykiem z europejskiego centrum. Czy to wystarczy, by uratować NATO przed starciem z Rosją?

Oficjalna intronizacja nastąpi zapewne w okolicach najbliższego szczytu NATO, który odbędzie się w Waszyngtonie 9-11 lipca. Pod wieloma względami będzie to impreza newralgiczna. Sojusz jest wprawdzie liczniejszy niż kiedykolwiek, ale też pierwszy raz w pozimnowojennej historii w podejmowaniu decyzji bierze pod uwagę realną perspektywę bezpośredniej wojny z wrogim mocarstwem. W dodatku wbrew zapewnieniom sprzed dekady zaledwie 11 państw członkowskich wydaje co najmniej 2% swojego PKB na obronność.

Szczyt odbędzie się także na podwórku Joego Bidena, którego listopadowa walka o reelekcję ma silniejszy niż kiedykolwiek wymiar multilateralny. Od jego zwycięstwa zależy nie tylko wszystko, co kluczowe w amerykańskiej polityce krajowej, ale również, bez cienia przesady, przetrwanie powojennego liberalnego systemu międzynarodowego. Jeśli do Białego Domu wróci Donald Trump, USA nie opuszczą NATO całkowicie – głównie dlatego, że wcale nie muszą. Wystarczy, że wstrzymają lub ograniczą swoje zaangażowanie, w krytycznym momencie przysyłając np. okrojone siły wojskowe do Europy Wschodniej zaatakowanej przez Rosjan. Dla mniejszych krajów członkowskich byłby to wyrok śmierci, dla Trumpa triumf izolacjonizmu w białych rękawiczkach.

Na nowego szefa NATO trzeba było wybrać kogoś wyważonego. Sojusz to nadal konstrukcja defensywna, nie ofensywna.

Twój ugodowy sąsiad

Tę listę można długo rozwijać. Wojna hybrydowa, coraz wyraźniejsza aktywność rosyjskich agentów wpływu na terytorium NATO, mnożące się zagrożenia na Południu. Choć teoretycznie nie jest to obszar działalności Sojuszu Północnoatlantyckiego, nikt w jego dowództwie nie może sobie pozwolić na całkowite ignorowanie eskalacji konfliktu na Bliskim Wschodzie. Ewentualne kłopoty Izraela pochłoną niemałą część amerykańskiej uwagi politycznej i zasobów militarnych, a coraz bardziej prawdopodobne włączenie się w konflikt Hezbollahu grozi migracją terroryzmu do krajów europejskich. To ostatnie byłoby już natowskim kłopotem.

Na tę gęstą mapę wyzwań i zagrożeń nakłada się krucha konstrukcja polityczna. Viktor Orbán, naczelny hamulcowy rozwoju NATO, musi być nieustannie przekupywany, by łaskawie zgodził się na wpuszczenie nowego członka sojuszu czy na kolejny transfer broni i pieniędzy dla Kijowa.

Wschodni członkowie są też wyraźnie sfrustrowani opieszałością Zachodu w podejmowaniu decyzji na rzecz Ukrainy, co najlepiej widać na dość niespodziewanej osi konfliktu między Tallinem a Berlinem. Estońska premierka Kaja Kallas wielokrotnie uderzała w niemieckiego kanclerza Olafa Scholza, twierdząc, że nie rozumie on realności ani skali niebezpieczeństwa czającego się za wschodnią granicą państw bałtyckich. A ona akurat robi swoje, Estonia jest liderem NATO w przekazywaniu Ukrainie pomocy, proporcjonalnie do krajowego PKB.

Tak z grubsza przedstawia się sytuacja Sojuszu Północnoatlantyckiego w momencie, w którym stery przejmuje w nim Mark Rutte. „Polityk z teflonu", „zaklinacz Trumpa", „ktoś, kto wygląda jak twój sąsiad" – to najczęstsze określenia pojawiające się w mediach. Dziennikarze zwracają uwagę w pierwszej kolejności na jego spokojny ton, koncyliacyjną naturę i umiejętność podejmowania dialogu nawet z politykami o skrajnie innych poglądach.

Choć, biorąc pod uwagę czasy, otoczenie międzynarodowe i ogólną potrzebę raczej śmiałych decyzji niż cichych konsensusów, mogłoby się wydawać, że to wybór nie najlepszy, Rutte ma jednak wszystkie przymioty, by pokierować NATO we właściwy sposób. Przede wszystkim dlatego, że w ogóle chciał to zrobić.

Wyścig z Estonią

Rok temu jego prywatny mikrokosmos wyglądał zupełnie inaczej. Rutte już się żegnał z zawodową polityką, tak przynajmniej twierdził. Po 13 latach szefowania holenderskiemu rządowi jego czwarty z rzędu gabinet tracił większość w parlamencie i zaufanie wyborców. Perspektywy dla Holandii były niewesołe, już wtedy w sondażach rosła w siłę skrajna prawica, a ponieważ w tym kraju nie istnieje próg wyborczy, wiadomo było, że nowa legislatura będzie rozdrobniona. Geert Wilders wracał z politycznych zaświatów jako rycerz

eprasa.pl 7caae2c074

Mark Rutte nazywany jest „politykiem z teflonu" i „zaklinaczem Trumpa".

na białym koniu. Do tego dochodziły nowe wersje antyliberalnego trendu, np. populistyczny Ruch Rolniczo-Obywatelski (BoerBurgerBeweging, BBB), budujący swój elektorat na sprzeciwie wobec unijnego Zielonego Ładu. W ubiegłe wakacje Rutte wyglądał na kogoś, kto swoje już zrobił i niespecjalnie chciał jeszcze boksować się z rzeczywistością. Ogłosił więc odejście z polityki bez względu na to, kto wygrałby listopadowe wybory.

Zakończyły się one zwycięstwem Wildersa, ale to już dla Ruttego były kwestie poboczne. Jego kandydatura pojawiła się bowiem w debatach na temat następcy Jensa Stoltenberga, odchodzącego w 2024 r. sekretarza generalnego NATO. Na giełdzie nazwisk Holender znalazł się z kilku powodów. Po pierwsze, nie miał żadnych zobowiązań, a więc jego odejście do NATO nie naruszałoby kruchej architektury politycznej na kontynencie. Między innymi z tego względu nigdy na poważnie nie byli brani pod uwagę politycy z Polski. Wprawdzie w ostatnich tygodniach PiS rozpuszczało wśród dziennikarzy plotki, jakoby do przejęcia władzy w NATO szykował się Donald Tusk, ale było to jedynie myślenie życzeniowe ekipy Kaczyńskiego. Podobnie rzecz miała się wcześniej z Radosławem Sikorskim, który na pierwszy rzut oka do tej roli pasowałby idealnie, ale raczej nie w tych czasach i nie przy perspektywie objęcia ważnego stanowiska w nowej Komisji Europejskiej.

Na nowego szefa NATO trzeba było wybrać kogoś wyważonego. Sojusz to w końcu nadal konstrukcja defensywna, nie ofensywna. Ma przede wszystkim zapewniać bezpieczeństwo własnym członkom, także poprzez dyplomację. Zdecydowana obrona swoich granic i wartości – tak. Prowokacje, zaczepny ton – niekoniecznie. Wydaje się, że właśnie w wyniku takiego rozumowania wybrany został Mark Rutte, a nie jego największa konkurentka Kaja Kallas.

Właściwie przez pierwsze trzy miesiące tego roku szli łeb w łeb, a niekiedy estońska liberałka wysuwała się wyraźnie na prowadzenie. Jej kandydatura była jednak w silny sposób, może nawet za bardzo, powiązana z wydarzeniami na froncie ukraińskim. Im gorzej szła mobilizacja Zachodu na rzecz Kijowa, tym głośniej mówiło się, że to Kallas powinna przejąć stery w Sojuszu Północnoatlantyckim. Młoda, z werwą, kobieta, w dodatku z Europy Wschodniej. Estonia do NATO weszła zaledwie 20 lat temu, nominacja premierki tego kraju byłaby więc nie tylko docenieniem nowszych członków, ale i pokazaniem, że pozostali wcale nie lekceważą alarmistycznych głosów płynących spod rosyjskiej granicy.

Odblokowanie w Kongresie amerykańskiej pomocy dla Ukraińców zmieniło nieco stan rzeczy, nawet jeśli na froncie to Rosja nadal ma inicjatywę. Rutte, od początku popierany przez Waszyngton i Londyn, zaczął zyskiwać przewagę nad Kallas, choć teoretycznie jego kandydatura nie powinna mieć większych szans z powodu zachodniej opieszałości.

„Pozycja Estonii od początku pozostaje jasna i niezmienna. Poprzemy kandydata, który wywodzi się z kraju spełniającego kryterium 2% PKB wydawanych na obronność", mówił pod koniec marca estoński minister obrony narodowej Hanno Pevkur. Sama Kallas, kiedy jej szanse na triumf w starciu z Ruttem były już iluzoryczne, obracała sytuację w żart, mówiąc, że „podobno nowy sekretarz generalny powinien być kobietą, wydawać 2% na obronność i wywodzić się z jednego z nowszych krajów członkowskich. Wiadomo, że Mark Rutte spełnia wszystkie kryteria". Zwłaszcza komentarz o wydatkach okazał się uszczypliwy, bo Holendrzy dopiero w tym roku mają doskoczyć do wymaganego poziomu. Wcześniej tamtejsza armia miała tak wielkie braki w zaopatrzeniu, że według holenderskiej prasy niektórzy żołnierze musieli ćwiczyć na poligonach bez nabojów, a dowódcy radzili im, by imitowali dźwięki wystrzałów. Premierem odpowiedzialnym za to był rzecz jasna Mark Rutte.

Kallas ostatecznie przypadła wcale nie najgorsza nagroda pocieszenia.

FOT. ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 7caae2c074

W nowym rozdaniu w Brukseli zostanie wysoką komisarz ds. polityki zagranicznej, a więc jedną z czterech najważniejszych osób w Unii Europejskiej. To salomonowy wyrok, bo w tej roli będzie mogła głośno krytykować Putina, bez poważniejszych konsekwencji dla Wspólnoty. Unia nie ma w końcu prawie żadnych kompetencji w obszarze obronności, więc grożenie palcem Kremlowi nikogo do niczego nie sprowokuje.

Mistrz przekonywania

Rutte kupił pozostałych natowskich przywódców głównie zdolnością cichego budowania koalicji. Miesiącami przekonywał do swojej kandydatury niechętnych mu Viktora Orbána i Recepa Erdoğana. Jako ostatni wycofał sprzeciw rumuński prezydent Klaus Iohannis, który sam marzył o posadzie sekretarza generalnego. Rutte – polityk centroprawicowy, niespecjalnie kontrowersyjny, ale też umiejętnie podążający za głównym nurtem – ostatecznie okazał się surowy dla wszystkich. Kiedy trzeba, potrafi podnieść głos. Ukraińcy pamiętają przede wszystkim jego zdecydowaną, wręcz konfrontacyjną postawę wobec Władimira Putina w 2014 r. Wtedy samolot pasażerski Malaysia Airlines został zestrzelony w czasie przelotu nad wschodnią Ukrainą przez separatystów wspieranych przez Rosję. Dwie godziny wcześniej maszyna wystartowała z amsterdamskiego lotniska Schiphol. W ataku zginęli wszyscy znajdujący się na pokładzie, 298 osób. Rutte powiedział wtedy Putinowi, że ciała ofiar mają zostać zwrócone Holandii, bo według niego odpowiedzialność za to zdarzenie jest oczywista, ponosi ją Moskwa. Do dziś, jak pisze anglojęzyczny portal Kiev Independent, holenderski ekspremier cieszy się dzięki temu reputacją polityka, wobec którego rosyjski przywódca nie może pozwolić sobie na wiele.

Relację z Trumpem zbudował swoją bezpośredniością, np. komentarzem, że biurko w Gabinecie Owalnym jest małe i prezydent powinien sobie sprawić większe. Ale też wchodzeniem mu w słowo na wspólnych konferencjach prasowych, udowadnianiem, że izolacjonizm na dłuższą metę szkodzi i Europie, i Stanom Zjednoczonym. W czasach, gdy na Starym Kontynencie coraz więcej mówi się i pisze o konieczności stworzenia polisy ubezpieczeniowej na wypadek drugiej kadencji populistów w Białym Domu, właśnie umiejętność skupiania uwagi Trumpa może się okazać kluczowa dla przyszłości NATO.

Rutte kupił natowskich przywódców głównie zdolnością cichego budowania koalicji.

Jednocześnie Rutte wydaje się człowiekiem zdolnym do współpracy z Donaldem Trumpem. Już w czasie jego pierwszej kadencji mówił, że Europa „musi umieć dogadać się z każdym, kto jest na parkiecie i chce tańczyć". Teraz także nie przebiera w słowach. W czasie tegorocznej edycji monachijskiej konferencji bezpieczeństwa stwierdził publicznie, że jest zmęczony „narzekaniem Europy na widmo powrotu Trumpa". Nie znaczy to, że nie uważa drugiej kadencji republikańskiego kandydata za ryzyko. Bardziej chodzi o pragmatyzm typowy dla polityki, ale i życiowej filozofii Ruttego.

Mocno doświadczony przez los, najmłodszy z szóstki dzieci, Mark Rutte wywodzi się z rodziny naznaczonej przez europejską i globalną historię. Jego rodzice spędzili młodość na Sumatrze, będącej wówczas kolonią holenderską. Ojciec przeżył tam japoński obóz koncentracyjny. Gdy jego pierwsza żona zmarła, ożenił się z jej siostrą, matką Marka. Jak piszą o nowym sekretarzu generalnym Eva Hartog i Stuart Lau w portalu Politico, opowieści o tamtych wydarzeniach ukształtowały osobowość Ruttego. Nauczył się, że w życiu pracować trzeba z tym, co się dostaje od losu, a nie z tym, czego się pragnie w idealnym scenariuszu.

Funkcjonujący w polityce międzynarodowej od półtorej dekady Rutte wydaje się odporny na upływ czasu. Wielbiciel rutyny, muzyki Bacha i U2, jeżdżenia rowerem do pracy – nawet jako szef rządu – wciąż zachowuje tę samą prezencję. Spokojny, wyważony, z uśmiechem wyglądającym na mieszankę sarkazmu i pewności siebie. W interesie wszystkich krajów członkowskich byłoby, żeby akurat teraz się nie zmienił. Ten uśmiech, sarkazm, pewność siebie i umiejętność dogadywania się nawet z wybuchowymi politykami w stylu Erdoğana czy Trumpa będą mu potrzebne do przetrwania kolejnych dni na czele Sojuszu Północnoatlantyckiego. Rowerem do siedziby NATO już mu raczej nikt nie pozwoli przyjeżdżać, ale żarty z amerykańskiego prezydenta i jego mebli mogą pozostać w arsenale dozwolonych zagrań. O ile oczywiście przyjdzie Ruttemu pełnić funkcję w czasach pokoju. Bo jeśli to perspektywa Kai Kallas okaże się rzeczywista i Putin jednak uderzy w kraje członkowskie, umiejętność „tańczenia z każdym, kto jest na parkiecie", może nie wystarczyć do zapewnienia Europie bezpieczeństwa. Ani teraz, ani na najbliższe lata.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7caae2c074

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Wolność dla Assange'a, wstyd dla Zachodu

Po 14 latach perypetii aresztowo-prześladowczych, które stały się jego udziałem na żądanie USA, po tym jak ujawnił tysiące dokumentów na temat m.in. amerykańskich zbrodni w Iraku i Afganistanie, Julian Assange – dziennikarz, haker, programista, założyciel i szef portalu WikiLeaks – odzyskał wolność w ubiegłą środę i odleciał do Canberry w ojczystej Australii.

Epopeja Assange'a wchodzi już na zawsze do historii walki o wolność słowa i przeciw nadużywaniu prawa pod politycznym naciskiem USA (w tym wypadku przez rząd i sądy Wielkiej Brytanii, gdzie przez lata przetrzymywany był w więzieniu bez żadnego wyroku). Wcześniej Assange uzyskał azyl i schronienie w ambasadzie Ekwadoru w Londynie, w której przebywał przez siedem lat w czymś w rodzaju aresztu domowego. Po zmianie władzy w Ekwadorze nowy prezydent Lenin Moreno, którego wcześniejsze publikacje WikiLeaks oskarżały o nadużycia finansowe i pranie brudnych pieniędzy, odebrał Assange'owi obywatelstwo i wycofał azyl polityczny, a policja brytyjska aresztowała dziennikarza w budynku ambasady.

WikiLeaks jest dziełem życia Juliana Assange'a, sygnalisty i twórcy wolnego oprogramowania, aktywisty internetowego. Witryna, która umożliwiała publikowanie tajnych dokumentów z zachowaniem anonimowości źródeł, miała służyć i służyła innym dziennikarzom, blogerom, aktywistom. Upubliczniła miliony tajnych dokumentów w czystej, nieprzetworzonej, nieopracowanej formie. Wśród najgłośniejszych publikacji były raporty amerykańskiej armii z wojny w Iraku i Afganistanie, ujawniające szokujące materiały o zbrodniach wojennych, w tym filmy, np. słynny „Collateral Murder", zapis ataku helikoptera na grupę cywilów w Bagdadzie, w której było dwóch dziennikarzy Agencji Reutera. Zamieszczone zostały również dokumenty wywiadu na temat więźniów przetrzymywanych w Guantanamo czy ponad 250 tys. depesz z amerykańskich ambasad z całego świata.

W końcu, w 2010 r., wojna świata Zachodu z WikiLeaks ruszyła na dobre. Amerykański serwis płatności internetowych PayPal zablokował możliwość wpłacania datków na konto organizacji. Do tej błyskawicznej i morderczej ofensywy dołączyły gigantyczne korporacje: Apple, Amazon, Visa, Master Card, obejmując serwis „blokadą bankową" i niemal całkowicie pozbawiając go finansowania.

Podczas kampanii prezydenckiej w 2016 r. Donald Trump wykrzykiwał, że uwielbia Assange'a, gdyż WikiLeaks publikowała dokumenty ze sztabu Hillary Clinton, które doprowadziły do bezpardonowych ataków na kandydatkę demokratów. Cieniem na reputacji sygnalisty położyło się oskarżenie WikiLeaks o udostępnienie danych wykradzionych przez cyberwywiad Rosji i tym samym wpłynięcie na wynik wygranych przez Trumpa wyborów. Amerykanie oskarżali Assange'a, że naraziło to konkretne osoby na śmierć lub zdekonspirowanie.

Assange, który śmiertelnie obawiał się ekstradycji do USA i stanięcia przed tamtejszym sądem, gdzie groziło mu równoznaczne z wyrokiem śmierci dożywocie, walczył z całych sił, żeby do tego nie doszło. Wspierany był przez organizacje na całym świecie (w tym Amnesty International) i wiele „znaczących" postaci, takich jak Ken Loach, Janis Warufakis, Noam Chomsky czy Pamela Anderson. Specjalny sprawozdawca ONZ ds. tortur Nils Melzer napisał, że przetrzymywanie Assange'a w długotrwałym odosobnieniu stanowi torturę psychiczną.

W ostatnich latach Australijczyk przebywał w owianym bardzo złą sławą brytyjskim więzieniu Belmarsh. We wtorek opuścił je i odleciał na Mariany Północne, wyspy na Oceanie Spokojnym, 6 tys. km na zachód od Hawajów, pod amerykańskim protektoratem, gdzie w sądzie USA na Saipanie doszło do rozprawy. Założyciel WikiLeaks przyznał się do jednego zarzutu i został skazany na 62 miesiące więzienia – dokładnie tyle, ile przesiedział w brytyjskim więzieniu. Decyzją sędzi Ramony Manglony wyszedł z sądu jako wolny człowiek. Wyrok był de facto odzwierciedleniem umowy Departamentu Stanu z Assange'em. Sędzia powiedziała mu, że „czas ma znaczenie" i 10 lat temu byłaby mniej skłonna do przyjęcia wniosku. Zaznaczyła też, że w tej sprawie nie było żadnej konkretnej ofiary – działanie Assange'a „nie doprowadziło do żadnych znanych obrażeń fizycznych kogokolwiek".

Assange był od lat najbardziej znanym więźniem politycznym Zachodu. Debata na temat jego uwolnienia była przede wszystkim dyskusją nad rolą „sygnalistów", którzy ujawniają np. zbrodnie czy przestępstwa armii, w tym wypadku amerykańskiej. Polska, także jej organizacje dziennikarskie, nie zabierała głosu w kwestii wolności dla Assange'a. Polski polityczny koktajl proamerykańskości i antyrosyjskości nie pozwalał na taki śmiały gest.

Teraz, kiedy Assange wylądował w Australii, rozpocznie się batalia o uniewinnienie. Ma on też najprawdopodobniej zwrócić rządowi Australii koszty lotu z Saipanu do Canberry. O przyszłości WikiLeaks trudno na razie coś powiedzieć. Mam nadzieję, że uwolnienie Assange'a nie będzie oznaczało pacyfikacji portalu. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7caae2c074

Jan Opielka

Długa batalia, dwuznaczny wynik

Najsłynniejszy sygnalista świata po wielu latach uwięzienia ostatecznie został zwolniony

W środę, 26 czerwca, Julian Assange po raz pierwszy od ponad 14 lat postawił stopę w ojczystym kraju, Australii. Kilkanaście godzin wcześniej stanął po raz ostatni przed sądem, a zarazem po raz pierwszy przed sądem amerykańskim.

Na wyspie Saipan, stolicy Marianów Północnych na Pacyfiku, w ramach wynegocjowanej wcześniej ugody (tzw. *plea deal*) przyznał się do jednego z 18 zarzutów stawianych mu przez prawników rządu USA: do spiskowania w celu pozyskania niejawnych dokumentów dotyczących obronności Stanów Zjednoczonych. W zamian przedstawiciele Waszyngtonu porzucili resztę zarzutów, za które 52-letniemu obecnie Australijczykowi groziło 175 lat za kratami. Uznali ponad pięć lat spędzonych w brytyjskim więzieniu o zaostrzonym rygorze Belmarsh za wystarczającą i odbytą karę.

Przed sądem Assange powiedział: „Pracując jako dziennikarz, zachęcałem moje źródło do dostarczenia informacji, która była niejawna, w celu opublikowania jej". Co istotne, dodał: „Wierzę, że pierwsza poprawka (amerykańskiej konstytucji – przyp. JO) chroniła to działanie, ale akceptuję fakt, że było to naruszenie przepisów o szpiegostwie". Konkretnie chodzi o szpiegostwo według tzw. Espionage Act z 1917 r.

Cierpiał pod parasolem prawa

Wilk syty i owca cała? Mało kiedy to porzekadło tak trafnie opisuje istotę rzeczy. Bo z jednej strony rząd USA może być zadowolony. Od 2012 r., gdy Assange uzyskał schronienie w ambasadzie Ekwadoru w Londynie, Waszyngton domagał się ekstradycji założyciela platformy WikiLeaks. Teraz Assange częściowo przyznał się do przestępstwa, za które Stany Zjednoczone uważały największy w historii USA wyciek drażliwych i demaskujących danych dotyczących działań m.in. wojsk amerykańskich podczas wojen w Iraku i Afganistanie oraz okupacji tych krajów. Dlatego władze USA mogą przedstawiać się na arenie międzynarodowej jako co prawda twarde, ale praworządne – odbył się przecież proces i zapadł wyrok, do którego trudno się przyczepić. Wygrał też prezydent Joe Biden. W trakcie kampanii wyborczej nie będzie musiał się obawiać, że sprawa Assange'a wybuchnie. Bliscy sygnalisty oraz eksperci ds. tortur twierdzili bowiem, że z powodu złego traktowania stan Assange'a w więzieniu był tak fatalny, że wiązał się z ryzykiem popełnienia samobójstwa.

> WikiLeaks jest dziś wszędzie. W Ukrainie, Gazie, Sudanie, Jemenie, Etiopii, Birmie. Wszędzie tam, gdzie są telefony komórkowe, które mogą dokumentować zbrodnie wojenne.

Assange, ojciec dwójki nieletnich dzieci, wyszedł na wolność także dzięki zaangażowaniu jego niezłomnej żony Stelli Moris. „To historyczny dzień, kulminacja wieloletniej kampanii na rzecz sprawiedliwości i zwycięstwo wolności prasy", skomentowała Rebecca Vincent z międzynarodowej organizacji dziennikarskiej Reporters Without Borders (RSF). Podczas długich lat izolacji twórcy WikiLeaks w ambasadzie, a od 2019 r. w celi więziennej, sprawa zyskała międzynarodowy rozgłos, zwłaszcza że nad Australijczykiem wisiał miecz Damoklesa, a brytyjskie sądy latami przeciągały postępowanie. Zwolennicy Assange'a, obrońcy praw człowieka i wolności prasy słusznie wskazywali, że gnębiąc Assange'a, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania chcą zamknąć usta wszystkim, którzy odważą się działać jak on – ujawniać zbyt krytyczne (źródłowe) informacje na temat przestępstw popełnianych przez wojska i służby państwowe. To ten wielki ruch sprzeciwu, niezliczone petycje i demonstracje, głosy ekspertów, organizacji dziennikarskich i broniących praw człowieka ostatecznie skłoniły liczne parlamenty i rządy krajów zachodnich do zajęcia stanowiska i domagania się od USA zakończenia tej sprawy. Ukazały faktyczne bezprawie demokratycznego rządu.

Także dlatego po długich latach milczenia parlament Australii 15 lutego br. większością głosów przyjął wniosek wzywający USA i Wielką Brytanię do zakończenia postępowania sądowego i umożliwienia Assange'owi powrotu do ojczystego kraju. Urzędujący od 2022 r. premier Anthony Albanese z Australijskiej Partii Pracy (ALP) czynnie uczestniczył w wypracowaniu porozumienia ze Stanami. Na konferencji prasowej prawniczka sygnalisty Jennifer Robinson poinformowała o pierwszych słowach, jakie Assange – który ze względu na swój stan nie chciał rozmawiać z dziennikarzami – miał wypowiedzieć po powrocie do kraju. Miały one paść w rozmowie telefonicznej z premierem i brzmieć: „Uratowałeś mi życie".

Zdaniem krytyków Assange'a, którzy widzą w nim narcyza, jest w tym element patetycznej inscenizacji i przesady. Niemniej cechy

eprasa.pl 7caae2c074

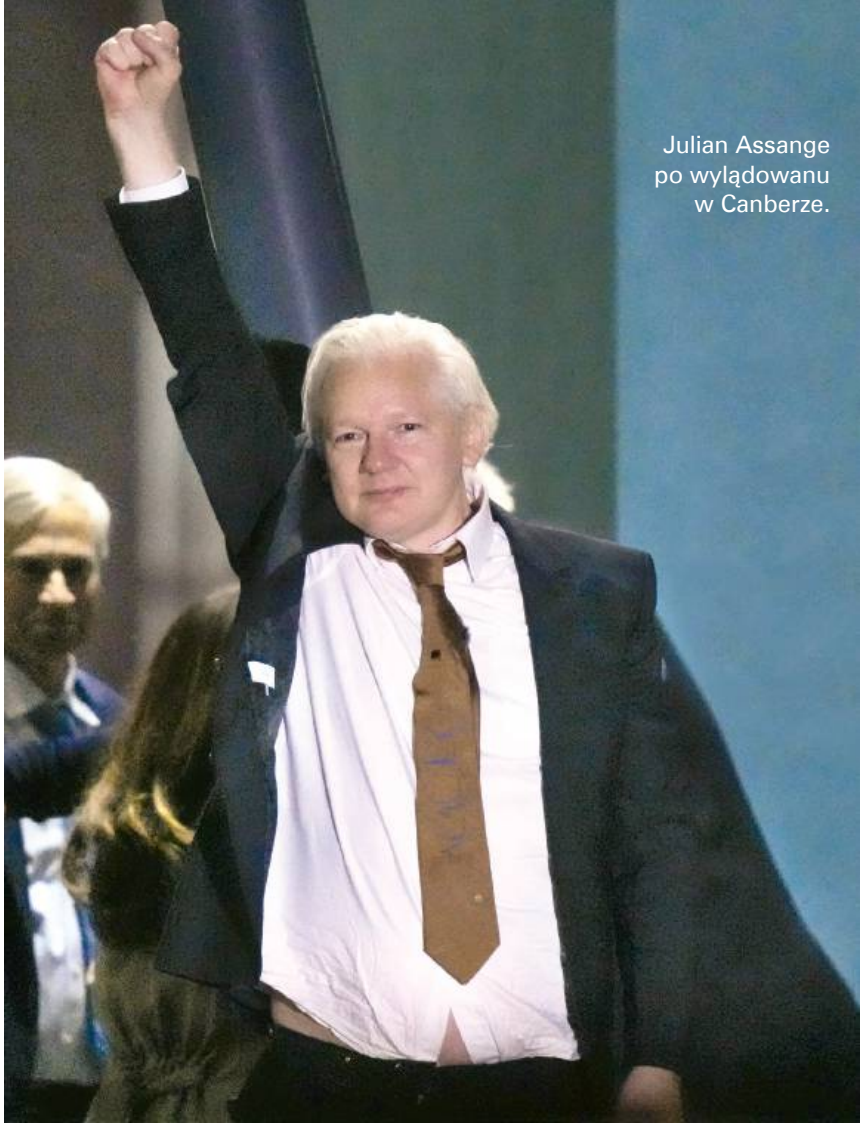

Julian Assange po wylądowanu w Canberze.

charakteru whistleblowera nie powinny odwracać uwagi od sedna sprawy – wolności słowa i prasy, jak również prawa obywateli do wiedzy o działaniach, a nieraz i przestępstwach dokonywanych przez demokratycznie wybrane rządy, podległe im instytucje, służby i wojska. Sposób, w jaki USA i Wielka Brytania traktowały Assange'a, który współpracował z największymi tytułami prasowymi świata: „New York Timesem", „Spieglem", „Guardianem", „Le Monde", nasuwał skojarzenia z rządami autokratycznymi. Z tą różnicą, że autokracje swoich przeciwników zazwyczaj zabijają, Assange pod parasolem prawa cierpiał zaś w więzieniu. Przebywając tam, zdradzał oznaki stosowania wobec niego tzw. białych (psychicznych) tortur, co wskazywał Nils Melzer, w latach 2016-2022 specjalny sprawozdawca ONZ ds. tortur.

Między dziennikarstwem a szpiegostwem

Obserwatorzy długoletniej batalii twierdzą, że sposób, w jaki został potraktowany sygnalista, miał na celu odstraszenie innych śmiałków, rozważających publikowanie drażliwych dokumentów. Zresztą wpływowe media – m.in. te, które w 2010 r. współpracowały z WikiLeaks – zachowują dziś dystans do Assange'a, nawet jeśli cieszą się z jego uwolnienia. Jedynie „Guardian", który nie jest częścią wielkiego koncernu medialnego, nadal bezwzględnie komentuje sprawę. Po wypuszczeniu Assange'a na wolność Julian Borger napisał na łamach brytyjskiego dziennika: „Ustawa o szpiegostwie nadal będzie wisiała nad głowami dziennikarzy zajmujących się kwestiami bezpieczeństwa narodowego, nie tylko w USA". Dlaczego? Bo Assange przyznał się do winy właśnie w tej kwestii – szpiegostwa. „Przecież prawnicy USA mieli możliwość wynegocjowania ugody w sprawie innych zarzutów, np. poprzez skłonienie Assange'a do przyznania się do winy za niewłaściwe obchodzenie się z informacjami niejawnymi", pisze Borger. „Mogli też zdecydować się na oskarżenie o hakerstwo, co nie miałoby takiego samego wpływu na dziennikarstwo".

Stronie USA po prostu zależało na tym, by zakwalifikować czyny Assange'a jako szpiegostwo. I właśnie to jest łyżką dziegciu w tej beczce miodu. Dzisiaj, gdy wojny toczą się w Ukrainie i w strefie Gazy, a państwa Zachodu pośrednio uczestniczą w nich poprzez dostawy broni czy danych od tajnych służb – ujawnianie informacji uderzających w te kraje byłoby dla dziennikarzy ryzykiem.

Czy w związku z tym częściej działa autocenzura? Pytań jest więcej i dotyczą wielu granicznych sytuacji, np. kiedy można napisać coś, co jest wbrew interesowi własnego kraju, tak by nie zostać okrzykniętym „szpiegiem Putina"? Nie ma wątpliwości, że dziennikarstwo się zmienia, także pod wpływem sprawy australijskiego whistleblowera, i niekoniecznie są to zmiany na lepsze.

Jednak jest też odrobina nadziei, o której na łamach niemieckiego tygodnika „Freitag" pisze Wolfgang Michal. „WikiLeaks jest dziś wszędzie. W Ukrainie, w Gazie, w Sudanie, w Jemenie, w Etiopii, w Birmie. Wszędzie tam, gdzie są telefony komórkowe, które mogą dokumentować zbrodnie wojenne. Julian Assange był tylko prekursorem. Tym, który wskazał wszystkim drogę".

Michal podkreśla jeszcze inny fakt, który, miejmy nadzieję, nie okaże się symboliczny. Otóż z miejsca ostatniej rozprawy Assange'a, z Marianów Północnych, USA podczas II wojny światowej zadały Japonii decydujący cios. To stąd w sierpniu 1945 r. wystartowały bombowce Enola Gay i Bockscar, by zrzucić bomby atomowe „Little Boy" i „Fat Man" nad Hiroszimą i Nagasaki. Oby wyrok wobec Assange'a nie był sygnałem do niszczenia źródeł prawdy, jakimi są sygnaliści i dziennikarze. ■

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 7caae2c074

Paweł Siergiejczyk

Stracone mandaty

W Europie Polska jest ewenementem – miejsce lewicy i liberalnego centrum zajęło ugrupowanie Donalda Tuska

Chociaż III Rzeczpospolita powstała głównie dzięki ludziom lewicy (tej rządzącej w PRL i tej opozycyjnej), którzy potrafili się porozumieć przy Okrągłym Stole – dominują w państwie elity o przekonaniach prawicowych, co w polskich warunkach oznacza przede wszystkim antykomunizm i klerykalizm, a coraz częściej także nacjonalizm. Zaczęło się to już w pierwszej dekadzie III RP, choć jeszcze wtedy możliwe było dwukrotne zwycięstwo Aleksandra Kwaśniewskiego w wyborach prezydenckich i SLD w parlamentarnych. Jednak po 20 latach polską scenę polityczną całkowicie zdominowały różne odmiany prawicy – od umiarkowanej spod znaku PO i PSL, przez coraz bardziej radykalne PiS, po różne odmiany prawicowej skrajności, które obecnie zgromadziły się pod szyldem Konfederacji.

Po 20 latach członkostwa w UE polska scena polityczna pozostaje zdominowana przez dwa odłamy prawicy: umiarkowaną i radykalną, za którą nadciąga trzecia – skrajna.

Najbardziej wymowną ilustracją coraz większego przechyłu polskiej polityki w prawą stronę są wybory do Parlamentu Europejskiego. To akurat ten rodzaj wyborów, który nie decyduje bezpośrednio o losach Polski, dlatego stanowi znakomitą okazję do „policzenia swoich zwolenników" i zapewnienia partyjnym działaczom synekur bez konieczności odpowiadania za przyszłość państwa.

9 czerwca Polacy po raz piąty wybrali swoich przedstawicieli do Parlamentu Europejskiego. I pomimo upływu 20 lat od pierwszych eurowyborów, w których mogliśmy głosować, obraz Polski jako kraju zdominowanego przez prawicę pozostaje niezmienny, a nawet się umacnia. Bo właśnie w 2004 r. – mimo że Polską rządzili prezydent Aleksander Kwaśniewski i premier Marek Belka – wybory europejskie po raz pierwszy wygrały siły opozycyjne wobec lewicy. Pierwsze miejsce zajęła Platforma Obywatelska, której liderami – obok Donalda Tuska – byli wtedy Jan Rokita i Zyta Gilowska. Wśród jej pierwszych 15 europosłów prawdziwą gwiazdą okazał się były premier Jerzy Buzek, który raptem trzy lata wcześniej sromotnie przegrał wybory parlamentarne jako lider powszechnie znienawidzonej Akcji Wyborczej Solidarność i autor „czterech wielkich reform". Ale w 2004 r. Buzka wskazało już 173 tys. mieszkańców Górnego Śląska – co stanowiło rekord w skali kraju – i w kolejnych trzech głosowaniach wynik ten się poprawiał (w 2019 r. – 422 tys. osób). Dopiero w tym roku 84-letni Buzek odszedł na polityczną emeryturę.

Magnes PiS

Drugie miejsce w pierwszych polskich eurowyborach zajęła Liga Polskich Rodzin, czyli jedyna formacja, która wprost sprzeciwiała się wejściu naszego kraju do UE. A jednak wyborcy LPR zostali zmobilizowani przez Radio Maryja i dzięki temu do Brukseli pojechało aż dziesięcioro przedstawicieli tej partii, wśród nich prof. Maciej Giertych, znany działacz katolicko-narodowy, ojciec ówczesnego lidera Ligi Romana Giertycha (dziś posła KO), były poseł PSL, a późniejszy senator PiS Bogdan Pęk, obecny poseł Konfederacji z Przemyśla Andrzej Zapałowski czy prof. Mirosław Piotrowski, historyk z KUL, który potem jeszcze dwa razy wygrywał wybory europejskie na Lubelszczyźnie jako kandydat popierany przez Radio Maryja na liście PiS.

Trzecie miejsce w 2004 r. przypadło Prawu i Sprawiedliwości, które wprowadziło zaledwie siedmioro europosłów, w tym dwóch ówczesnych przyjaciół – Michała Kamińskiego (dziś wicemarszałka Senatu z PSL) i Adama Bielana (który pozostał wierny Jarosławowi Kaczyńskiemu), późniejszą minister spraw zagranicznych Annę Fotygę czy prof. Wojciecha Roszkowskiego, historyka, ostatnio znanego jako autor tendencyjnych podręczników do przedmiotu historia i teraźniejszość.

W tej pierwszej kadencji europarlamentu z udziałem Polaków to partia Kaczyńskiego okazała się jednak siłą najbardziej przyciągającą deputowanych z innych ugrupowań. Jako partia rządząca Polską w latach 2005-2007 próbowała dokonać „wrogiego przejęcia" zarówno Samoobrony, jak i Polskiego Stronnictwa Ludowego. W tym pierwszym przypadku narzędziem w rękach PiS okazał się Ryszard Czarnecki, były prezes Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego i minister w rządzie Jerzego Buzka, którego Andrzej Lepper uczynił europosłem z ramienia swojej partii i przez którego został w 2007 r. zdradzony. Pozostałych pięciu przedstawicieli Samoobrony w PE nie odegrało żadnej roli, za to Czarnecki potem jeszcze trzy razy zdobywał mandat z listy PiS – aż do tegorocznych wyborów, w których przegrał.

Natomiast pierwsza brukselska reprezentacja PSL okazała się wielkim nieporozumieniem. Do europarlamentu kandydowało bowiem całe ówczesne kierownictwo ludowców – prezes Janusz Wojciechowski oraz wiceprezesi Zbigniew Kuźmiuk i Zdzisław Podkański. I wszyscy

eprasa.pl 7caae2c074

trzej weszli (do tego Czesław Siekierski, obecny minister rolnictwa), by już w 2006 r. dokonać rozłamu i stworzyć PSL „Piast", które stało się przybudówką PiS. Dało to potem Kuźmiukowi miejsce w Sejmie, a Wojciechowskiemu nawet fotel komisarza UE ds. rolnictwa na całą kadencję 2019-2024 (choć w tym roku partia Kaczyńskiego odcięła się od jego działań).

Nieprawicowa dwunastka

Wśród 54 pierwszych Polaków w Parlamencie Europejskim znalazło się jedynie pięcioro przedstawicieli koalicji SLD-UP: Marek Siwiec, Bogusław Liberadzki, Adam Gierek, Andrzej Szejna i Lidia Geringer de Oedenberg, troje reprezentantów nowo powstałej wtedy Socjaldemokracji Polskiej Marka Borowskiego: Dariusz Rosati, Józef Pinior, Genowefa Grabowska, jak również czworo polityków Unii Wolności, która co prawda była już poza Sejmem, ale w eurowyborach zdobyła ponad 7% głosów: Bronisław Geremek (gdy zmarł w 2008 r., zastąpił go Andrzej Wielowieyski), Janusz Onyszkiewicz, Jan Kułakowski, Grażyna Staniszewska. I tylko ta dwunastka nie miała nic wspólnego z prawicą, co wymownie wpisywało się w ówczesną atmosferę polityczną, zdecydowanie niekorzystną dla sił centrolewicowych.

Drugie wybory do PE odbyły się w 2009 r., gdy premierem był już Donald Tusk. I to jego partia zdecydowanie w nich wygrała, zdobywając 25 z 50 mandatów (ponadto trzy mandaty przypadły koalicyjnemu PSL), dzięki czemu przez pierwszą połowę tamtej kadencji przewodniczącym Parlamentu Europejskiego mógł być Jerzy Buzek jako przedstawiciel Europejskiej Partii Ludowej – chadeckiej grupy politycznej, do której należą PO i PSL. PiS wprowadziło wtedy 15 posłów, jednak w trakcie tamtej kadencji Bruksela stała się miejscem dwóch kolejnych rozłamów w partii Kaczyńskiego: w 2010 r. Paweł Kowal, Marek Migalski i Michał Kamiński (początkowo wraz z Adamem Bielanem) utworzyli bardziej umiarkowane ugrupowanie Polska Jest Najważniejsza, a rok później Zbigniew Ziobro i Jacek Kurski założyli bardziej radykalną Solidarną Polskę.

Lewica znów miała jedynie symboliczną reprezentację, złożoną z siedmiorga posłów (Marek Siwiec, Bogusław Liberadzki, Adam Gierek, Lidia Geringer de Oedenberg, Janusz Zemke, Wojciech Olejniczak i Joanna Senyszyn). Stopniała ona zresztą w kolejnej kadencji, po wyborach w 2014 r., gdy zostało ledwie pięcioro polityków lewicy (odpadli Siwiec, Olejniczak i Senyszyn, a doszła Krystyna Łybacka). Tamte wybory – ostatnie, do których Platformę poprowadził Tusk przed swoim wyjazdem do Brukseli, na stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej – były już faktycznym remisem w pojedynku między PO a PiS, gdyż obie partie zdobyły po 19 mandatów. Do tego PSL wzięło swoje cztery mandaty – tyle samo, ile największa niespodzianka tamtych wyborów, czyli skrajnie antyeuropejska Nowa Prawica Janusza Korwin-Mikkego.

Wspólna lista

W 2019 r. wybory do PE odbywały się już w zupełnie innych warunkach, po niemal czterech latach samodzielnych rządów PiS, kilka miesięcy przed wyborami parlamentarnymi. W tej sytuacji słaba i rozbita opozycja utworzyła wspólną listę Koalicji Europejskiej, która zapewne wygrałaby z partią Kaczyńskiego, a przynajmniej zremisowała, gdyby nie nowa inicjatywa Roberta Biedronia pod nazwą Wiosna, która odebrała opozycji 6% głosów, zdobywając przy tym zaledwie trzy mandaty. W rezultacie PiS odnotowało swój największy triumf (ponad 45% głosów i 27 mandatów), Koalicja Europejska zaś rozpadła się zaraz po wyborach, dzieląc 22 mandaty na trzy ugrupowania: 14 przypadło Koalicji Obywatelskiej, trzy ludowcom, pięć zaś lewicy (dostali je byli premierzy Leszek Miller, Włodzimierz Cimoszewicz i Marek Belka, a także Bogusław Liberadzki i Marek Balt).

I wreszcie tegoroczne wybory, które stanowią największą porażkę i kompromitację polskiej lewicy w całej jej europarlamentarnej historii (trzy mandaty, w tym dwa dla pary Robert Biedroń i Krzysztof Śmiszek). Zarazem są symbolicznym zamknięciem historycznej roli dawnego SLD, gdyż po raz pierwszy wśród europosłów nie ma nikogo, kto wywodziłby się z partii Kwaśniewskiego, Millera i Oleksego. Jakby tego było mało, dzieje się to w sytuacji, gdy ponownie – tak jak 10 i 20 lat temu – sukces odniosła skrajna prawica. Dwa razy więcej głosów i dwa razy więcej europosłów dla antyeuropejskiej Konfederacji (z Grzegorzem Braunem na czele) niż dla proeuropejskiej lewicy to fakt niezwykle wymowny. I nie może być żadnym pocieszeniem znów tylko symboliczne zwycięstwo partii Tuska nad partią Kaczyńskiego (21 do 20 mandatów), w dodatku przy wyraźnym osłabieniu PSL (dwa z trzech mandatów Trzeciej Drogi).

> Tegoroczne wybory stanowią największą porażkę i kompromitację polskiej lewicy w całej jej europarlamentarnej historii oraz symboliczne zamknięcie historycznej roli SLD.

Po 20 latach członkostwa w UE polska scena polityczna pozostaje zdominowana przez dwa odłamy prawicy: umiarkowaną i radykalną, za którą nadciąga trzecia – skrajna. Ta ostatnia nie jest niczym niezwykłym w dzisiejszej Europie, jednak we wszystkich starych demokracjach naszego kontynentu skutecznie równoważą ją tradycyjne partie socjalistyczne lub socjaldemokratyczne, a także liberalne. Polska jest ewenementem, gdyż miejsce lewicy i liberalnego centrum zajęło ugrupowanie Donalda Tuska, które ratuje pozycję naszego kraju w UE dzięki swojej istotnej roli wśród europejskiej centroprawicy. Natomiast większość polskich posłów w Brukseli – zwłaszcza z PiS i Konfederacji, które nie należą do żadnej istotnej grupy w PE – znów nie będzie miała wpływu na losy Polski w Unii. To po prostu zmarnowane mandaty. ■

eprasa.pl 7caae2c074

Już zawsze

Znów okazaliśmy się mistrzami meczów pożegnalnych, bo honor jest u nas pierwszy po Bogu, przed Ojczyzną nawet

Wojciech Kuczok

Nie ma nas, a jakoby nikogo nie ubyło. Nikt po nas nie płacze. Nawet polscy kibice nie płaczą, nie pomstują, ba, sterczą tłumnie na Okęciu, póki rudzik nie zakwili, by powitać powracających bohaterów.

Nie przegrali wszystkiego, zajęli przedostatnie miejsce w mistrzostwach Europy, w dodatku na pożegnanie utarli nosa wicemistrzom świata. Cel minimum, który zarazem był naszym wyzwaniem maksymalnym, udało się zrealizować! Odpadli, ale się nie zbłaźnili! Znów okazaliśmy się mistrzami meczów pożegnalnych, bo honor jest u nas pierwszy po Bogu, przed Ojczyzną nawet, a zatem w dziedzinie zmagań o honor nie możemy mieć sobie równych! Parafrazując skrzydlatą frazę św. Marcina: już zawsze! Reprezentacja Polski już zawsze będzie miała takie wyniki. Wiadomo jest bowiem, że kiedy nie ma już o co grać, polscy piłkarze grają najlepiej. Na Euro wybiegliśmy na dwa mecze bez presji i oba były stosunkowo udane. Z Holandią, gdy porażka była niejako wkalkulowana i spodziewana, nasi bez lęku stawili czoła rywalom i zabrakło im kilku minut do remisu; z Francją, kiedy już było pozamiatane, bez stresu zremisowali na do widzenia pomimo obiektywnej przewagi wicemistrzów świata.

Tylko mecz kluczowy z teoretycznie równorzędnym przeciwnikiem, kiedy naród oczekiwał zwycięstwa i awansu, zawalili po całości. Nie pierwszy raz okazuje się, że tutaj trzeba nie trenera, tylko poważnej i długotrwałej psychoterapii. Są bowiem przesłanki ku temu, by sądzić, że Polacy grać w piłkę potrafią, ale z całą pewnością nie umieją spełniać oczekiwań. Pierwszy kwadrans przeciw Austriakom to była zupełna katastrofa, nasza kadra zachowywała się jak stado cieląt zaatakowane przez wilczą watahę, szybko stracony gol zdawała się przyjmować z ulgą, że drapieżnik dostał ofiarę i być może się uspokoi. Skądinąd nawet trener Probierz już przed meczem stracił głowę i wystawił błędny skład. Napięcie, widać, było za duże, bo znowu do naszej szatni wdarła się zatęchła myśl szkoleniowa: w decydujących chwilach stawiamy na „twardzieli", a nie artystów. Tylko że w przypadku składu na Austriaków była to twardość drewniana – jak technika Piotrowskiego i Slisza, którzy okazali się najgorsi w drużynie i osłabili środek pola. Żeby chociaż, jak na kłody przystało, zwalali się na drodze rozpędzonych rywali, tymczasem pozwalali się mijać, ewentualnie faulowali i obaj byli do zmiany już w przerwie.

O ile piłkarz bułgarskiego klubu Łudogorec Razgrad został zdjęty w porę, fakt, że Slisz dograł do 75. minuty, poważnie obciąża intuicję Probierza. Podobnie jak wpuszczenie rewelacyjnego Kacpra Urbańskiego dopiero na alibi, w samej końcówce. Znowu przekonanie, że rywalom słynącym z gry na pograniczu faulu musimy przeciwstawić boiskowych brutali, zabrało nam szanse na podjęcie walki. Dobrze, że w kadrze nie ma już Jacka Góralskiego, bo pewnie i on znalazłby się w składzie wyjściowym, przez godzinę musielibyśmy grać w dziesiątkę, Austria stuknęłaby nam jeszcze ze dwa gole i w końcowej tabeli Euro nie wyprzedzilibyśmy nawet Szkotów.

Nie wiem, skąd przekonanie, że skoro nie umiemy grać lepiej od rywali, to przynajmniej umiemy lepiej od nich faulować. Że niby jak się zamiast błyskotliwych technicznie i wybieganych pomocników wystawi dwóch zakapiorów, to przeciwnicy padną ze strachu. Probierz poddał się tej iluzji, a kiedy mimo wszystko jakoś nasza ekipa się podniosła po wstępnych tarapatach, wyrównała grę, a nawet wynik, a rywale faktycznie zaczęli się bać, że nie wygrają – selekcjoner dokonał zmiany samobójczej. Wydało mu się, że jak wprowadzi ozdrowieńca Lewandowskiego na podmęczonych rywali, to ich rozstrzelamy. Tyle że to myśmy byli zmęczeni, a nawet udręczeni/wyczerpani, tymczasem Austriacy z taką Polską mogliby zagrać dwa mecze z rzędu i nie oddychać rękawami.

Oblicze Luki Modricia, który nerwowo gryzie koszulkę kilka chwil przed końcem meczu, jakby przeczuwał, że Włosi zdążą zadać zabójczy cios, pozostanie jedną z ikon tego turnieju.

Wszedł Lewy i natychmiast nastąpiła całkowita awaria systemu – drużyna uważna, zmobilizowana, nagle całkowicie straciła czujność, poczuła się uwolniona od odpowiedzialności. „Tata wrócił, uff, jesteśmy bezpieczni, można się wyluzować". Lewandowski zadziałał jak wirus, od jego wejścia straciliśmy dwie bramki, a powinniśmy co najmniej cztery, tymczasem nasz lider zdobył tylko żółtą kartkę. W kolejnym meczu z Francją Lewy zagrał od początku i jakoś się wkomponował w przeciętność, był nawet pożyteczny w pomocy i obronie, ale ostatecznie i tak otarł się o zupełną kompromitację.

eprasa.pl 7caae2c074

Rzut karny Lewego podczas meczu Francja-Polska.

Toczka w toczkę powtórzył się incydent z ostatniego mundialu.

Jedenastki Lewego są coraz bardziej irytujące, to już w zasadzie autoparodia. Owszem, jest to sprytne, wciąż na granicy legalności – wiadomo, że większość bramkarzy nie wytrzymuje napięcia i przy arytmicznych ewolucjach podbiegającego do piłki napastnika odrywa się wcześniej od linii, więc sędzia musi nakazać powtórkę w razie obrony. W pewnym sensie to metoda doskonała, ale zaczyna być drażniąca, zwłaszcza że cała para idzie w ten dziwaczny taniec przed strzałem, na samo uderzenie nie starcza sił. Historia z mundialu powtórzyła się – znowu Lewy dostał drugą szansę i ją wykorzystał, ale stał się bohaterem szyderczych memów, bo bezstronni kibice nie lubią takich „queerowych" balecików na boisku. Jak wykorzystywać karne bez kontrowersji, pokazał chociażby niejaki Georges Mikautadze – sensacyjny król strzelców fazy grupowej, którą równie sensacyjnie przeszli Gruzini. Grali otwartą piłkę, pokonali Portugalię, wyszli z grupy i choć pechowo trafili w jednej ósmej na swoich prześladowców, rewelacyjną Hiszpanię, i tak skradli serca europejskich kibiców. My serc nie kradniemy, jesteśmy nielubiani, dla wielu odpadnięcie Polski oznacza, że turniej tak naprawdę się zaczyna, nie będzie już męczenia buły ani tanecznych rozbiegów przed jedenastką.

Przytrafiło mi się osobliwe przeżycie: tuż po pierwszym nieudolnym strzale Lewego z 11 m zerwała mi się transmisja, chwilę próbowałem ją przywrócić, a potem przełączyłem na kanał radiowy, gdzie właśnie komentator wrzeszczał wniebogłosy, że… Lewandowski wykorzystał karnego. Tak czy owak, zdążyłem przeżyć rozczarowanie i skląć naszego lidera – fakt, że jednak trafił dla kadry po raz 83. nie zmienia mojego zniechęcenia. Twierdzę, że Lewandowski powinien przestać być piłkarzem pierwszego wyboru, drużyna nie może już liczyć na to, że zawsze jakoś to będzie, bo Lewy coś wymyśli. Wieloletni mesjasz tej kadry zdaje się teraz jej hamulcowym.

Nie pierwszy raz okazuje się, że tutaj trzeba nie trenera, tylko poważnej i długotrwałej psychoterapii.

Jesienią zagramy w Lidze Narodów UEFA i musimy powalczyć o punkty, żeby nie spaść do drugiego koszyka przed losowaniem eliminacji mundialowych. Na pierwszy ogień idzie ekipa, dzięki której nie zakończyliśmy Euro jako najgorsza reprezentacja – czyli bardzo kiepscy Szkoci, którzy zdobywali bramki wyłącznie po samobójczych strzałach rywali. Skądinąd największą ciekawostką fazy grupowej była zagadkowa, rekordowa liczba samobójów, i to nie jakichś przypadkowych rykoszetów (te są zaliczane napastnikom), ale prawdziwych aktów piłkarskiej niepoczytalności, jak gol tureckiego obrońcy w meczu z Portugalią. Takiej rewii strzałów do własnej bramki nie przeżywaliśmy nigdy wcześniej, być może to sławetna pocovidowa mgła mózgowa powoli daje się we znaki i rozkojarzenie staje się chorobą społeczną wszystkich narodów.

We wrześniu zagramy w odstępie kilku dni z największymi przegrywami tego turnieju – po Szkocji przyjdzie pora na Chorwatów, czyli drużynę, by tak rzec, zmierzchającą, która odpadła tuż po nas, nie zdoławszy wygrać żadnego meczu. Oblicze Luki Modricia, który nerwowo gryzie koszulkę kilka chwil przed końcem meczu, jakby przeczuwał, że Włosi zdążą zadać zabójczy cios, pozostanie jedną z ikon tego turnieju. Jeśli coś nas może autentycznie cieszyć po przegranych mistrzostwach, to obsada bramki. Od lat renoma naszych golkiperów jest równie dobra jak marka naszych operatorów filmowych w Hollywood, polski bramkarz jest jak bordoskie grand cru – pewniak w każdym roczniku. Szczęsny mógłby sobie karierę reprezentacyjną spokojnie zakończyć – Skorupski zasłużył na numer jeden, czekał długo, bo to prawie jego rówieśnik, a talentem mu nie ustępuje. Tylko że Szczęsny obstawał przy pożegnaniu z kadrą, dopóki czuł, że odejdzie w glorii niezastąpionego, a teraz, kiedy jego zmiennik niemal w pojedynkę zatrzymał Francję, żałoby narodowej po Wojtku nikt nie ogłosi. Ego naszego najsłynniejszego golkipera się zagotowało i nagle zaczął się tłumaczyć, że jeszcze nie jest gotowy, że może jednak pogra jeszcze w narodowych barwach. Niech i tak będzie, niech śrubuje rekordy, obyśmy mieli tylko takie kłopoty – wybór między dwoma wybitnymi piłkarzami na konkretnej pozycji. ■

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl 7caae2c074

Pierwszy rząd powojennej Polski

Zarówno Stalin, jak i Churchill z Rooseveltem mieli „swoich Polaków", co stanowiło gwarancję odrodzenia państwa polskiego

Paweł Siergiejczyk

Słowo Jałta ma w Polsce fatalne konotacje. Dominujące u nas polonocentryczne podejście do historii, często przechodzące wręcz w megalomanię narodową, nie bierze pod uwagę globalnego znaczenia spotkań przywódców Wielkiej Koalicji w latach 1943-1945, której nadrzędnym celem było pokonanie hitlerowskich Niemiec i sprzymierzonej z nimi Japonii. Sprawa polska stanowiła kwestię drugorzędną – jedną z wielu na mapie Europy – której rozstrzygnięcie było konieczne, ale dopiero po zakończeniu wojny. Józef Stalin, Winston Churchill i Franklin D. Roosevelt spotykali się zatem nie po to, by decydować o losach Polski, lecz aby jak najskuteczniej wygrać wojnę i ustanowić stabilny porządek świata powojennego.

Tę jakże oczywistą prawdę należy przypominać tym wszystkim, którzy konferencję jałtańską, obradującą na Krymie w lutym 1945 r., uważają za „zdradę Polski" przez zachodnich aliantów. W Jałcie bowiem przywódcy USA i Wielkiej Brytanii mieli ostatecznie „sprzedać Polskę" Stalinowi. Mało kto zwraca uwagę na fakt, że krymskie spotkanie odbyło się w momencie, gdy wszystkie ziemie polskie – i te przedwojenne, i te przeznaczone dla przyszłego państwa polskiego na zachodzie i północy – były już zajęte przez Armię Czerwoną. Churchill i Roosevelt nie mogli więc „sprzedać Polski" Stalinowi, bo jej po prostu nie mieli. Co więcej, jako doświadczeni politycy (a nie naiwniacy „oszukani przez Stalina", jak często u nas się ich przedstawia) zdawali sobie sprawę, że ich wpływ na dalsze losy narodu polskiego jest znikomy.

A jednak Polacy w Jałcie mieli więcej szczęścia, niż zwykle się uważa – zwłaszcza w dominującej dziś prawicowej narracji historycznej. Trzeba bowiem pamiętać, że mimo klęski II Rzeczypospolitej z 1939 r., pod koniec wojny obu głównym częściom Wielkiej Koalicji (zarówno mocarstwom zachodnim, jak i ZSRR) wyraźnie zależało na tym, by mieć u swojego boku Polaków. Dlatego Brytyjczycy przez cały czas utrzymywali władze RP w Londynie i podległe im Wojsko Polskie. Sowieci zaś zaczęli od utworzenia w 1943 r. Związku Patriotów Polskich i dywizji kościuszkowskiej, by po przekroczeniu linii Curzona w lipcu 1944 r. zainstalować w Lublinie Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, przekształcony na początku 1945 r. w Rząd Tymczasowy z siedzibą w wyzwolonej Warszawie.

Ustalenia z Jałty

Można oczywiście zastanawiać się nad kwestią „legalności" jednego i drugiego ośrodka polskiej władzy, ale w warunkach wojennych liczyły się fakty dokonane, nie zaś dyskusje akademickie, na które mogą sobie pozwolić dzisiejsi historycy. A fakty były takie, że w 1945 r. zarówno Stalin, jak i Churchill z Rooseveltem mieli „swoich Polaków", co stanowiło gwarancję odrodzenia państwa polskiego po wojnie. Niech o tym pamiętają zwłaszcza miłośnicy „historii alternatywnej" z kręgów skrajnej prawicy, którzy usilnie przekonują, że w 1939 r. Polska powinna była stać się sojusznikiem Adolfa Hitlera i wspólnie z nim uderzyć na Moskwę. Ładnie by wtedy wyglądała sytuacja Polaków na konferencji zwycięzców w Jałcie (lub gdzie indziej), do której bez wątpienia by doszło, bo III Rzesza nie miała szans na pokonanie koalicji skupiającej największe mocarstwa świata.

Stalin, Churchill i Roosevelt spotykali się nie po to, by decydować o losach Polski, lecz aby jak najskuteczniej wygrać wojnę i ustanowić stabilny porządek świata.

Na szczęście wiedzieli o tym polscy politycy w czasie wojny i to dzięki ich niezłomnej postawie i trwaniu przy sojusznikach – na Zachodzie i na Wschodzie – przyszłość Polski stała się przedmiotem ostatecznych ustaleń jałtańskich. W przyjętej tam deklaracji trzech mocarstw napisano: „W Polsce nowa sytuacja powstała na skutek jej zupełnego oswobodzenia przez Armię Czerwoną. Wymaga to utworzenia Tymczasowego Rządu Polskiego, który będzie mógł być oparty na szerszej podstawie, niż to było możliwe przed niedawnym oswobodzeniem Polski zachodniej. Działający obecnie w Polsce Rząd Tymczasowy powinien być wobec tego przekształcony na szerszej

eprasa.pl 7caae2c074

Krymskie spotkanie odbyło się w momencie, gdy wszystkie ziemie polskie były już zajęte przez Armię Czerwoną. Churchill i Roosevelt nie mogli „sprzedać Polski" Stalinowi, bo jej nie mieli.

podstawie demokratycznej z włączeniem przywódców demokratycznych z samej Polski i od Polaków z zagranicy. Ten nowy rząd powinien wtedy otrzymać nazwę Polskiego Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej".

W deklaracji krymskiej zapowiedziano również, że nowy rząd przeprowadzi szybko demokratyczne wybory do Sejmu, który wyłoni właściwy rząd polski. W celu realizacji tych postanowień powołano specjalną komisję w osobach radzieckiego ministra spraw zagranicznych Wiaczesława Mołotowa, amerykańskiego ambasadora w Moskwie Averella Harrimana i jego brytyjskiego odpowiednika Archibalda Clarka Kerra.

Działalność komisji szybko jednak utknęła w martwym punkcie, gdyż Stalin inaczej interpretował ustalenia jałtańskie niż przywódcy mocarstw zachodnich. Amerykanie i Anglicy twierdzili, że w Jałcie uzgodniono, iż zostanie powołany tymczasowy polski rząd w drodze kompromisu między zwalczającymi się obozami politycznymi, a dopiero po przeprowadzeniu wyborów do Sejmu powstanie rząd właściwy. Strona radziecka natomiast chciała powstania nowego rządu na podstawie istniejącego już w Warszawie Rządu Tymczasowego, do którego miało zostać włączonych kilku polityków demokratycznych z kraju i zagranicy. Przy czym nie wchodził w grę nawet były premier z Londynu Stanisław Mikołajczyk, już nie mówiąc o jego następcy Tomaszu Arciszewskim i innych antysowieckich przedstawicielach polskiej emigracji.

Proces 16

W tej sytuacji ustalenia dotyczące powołania Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej stały się przedmiotem korespondencji wymienianej przez całą wiosnę 1945 r. między przywódcami Wielkiej Koalicji. Pisane w coraz ostrzejszym tonie listy, które w tym czasie wystosowali do Stalina Roosevelt i Churchill, zadają kłam wysuwanym wobec nich oskarżeniom o cyniczne „sprzedanie Polski" sowieckiemu dyktatorowi.

Warto przy tym pamiętać, że możliwości działania przywódców zachodnich w sprawie Polski były wówczas bardzo ograniczone, również ze względu na znacznie ważniejsze kwestie, w których musieli szukać porozumienia z Moskwą, takie jak ustalenie warunków dyktowanych pokonanym Niemcom i dalsza wojna z Japonią. Dodatkowo sytuację skomplikowała niespodziewana śmierć prezydenta Roosevelta 12 kwietnia 1945 r. Jego następca Harry Truman nie był zorientowany w dotychczasowych ustaleniach między przywódcami USA i ZSRR.

Równocześnie obie strony starały się wzmocnić pozycję „swoich Polaków" przed przyszłymi rozmowami o powołaniu nowego rządu. 15 kwietnia 1945 r. Stanisław Mikołajczyk zdecydował się wziąć udział w tych rozmowach, o czym Churchill natychmiast poinformował Stalina. Ten zaś zażądał, by Mikołajczyk złożył jednoznaczne oświadczenie o pozytywnym stosunku do ZSRR i nowej polskiej granicy, co były premier uczynił. Z kolei 21 kwietnia władze radzieckie zawarły z warszawskim Rządem Tymczasowym układ o przyjaźni, pomocy wzajemnej i współpracy na 20 lat.

W maju 1945 r. sprawa rozmów o nowym polskim rządzie stanęła w martwym punkcie, gdyż Stalin nie wyrażał zgody na kolejne warunki mocarstw zachodnich, m.in. na uwolnienie 16 przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, podstępnie aresztowanych przez NKWD i wywiezionych do Moskwy dwa miesiące wcześniej. Przełomem okazała się dopiero moskiewska misja Harry'ego Hopkinsa, zaufanego doradcy prezydenta Roosevelta, dzięki której przyjęto kompromisowe ustalenia dotyczące listy polskich polityków zaproszonych na rozmowy w sprawie nowego rządu. Rozmowy te rozpoczęły się 18 czerwca 1945 r. w Moskwie, tam też doszło do zawarcia porozumienia, w wyniku którego 28 czerwca został powołany w Warszawie Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej.

Grono uczestników tych obrad nie było przypadkowe. Władze warszawskie – Rząd Tymczasowy i Krajową Radę Narodową, czyli tymczasowy parlament – reprezentowali prezydent KRN Bolesław Bierut, socjalistyczny premier Edward Osóbka-Morawski, sekretarz generalny PPR Władysław Gomułka i jeden z liderów prorządowego Stronnictwa Ludowego, pisarz Władysław Kowalski. Spośród demokratycznych polityków z kraju zaproszono do Moskwy ludowców: Stanisława Bańczyka i Władysława Kiernika (w miejsce chorego już wówczas Wincentego Witosa), krakowskiego socjalistę Zygmunta

eprasa.pl 7caae2c074

Żuławskiego, związanego ze Stronnictwem Demokratycznym ekonomistę z Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. Adama Krzyżanowskiego, prof. Stanisława Kutrzebę – historyka z tej samej uczelni, prezesa Polskiej Akademii Umiejętności, bezpartyjnego, wreszcie Henryka Kołodziejskiego – również bezpartyjnego, działacza spółdzielczego, przedwojennego dyrektora Biblioteki Sejmowej i czołową postać polskiej masonerii. Demokratów z Londynu reprezentowali Stanisław Mikołajczyk jako lider Stronnictwa Ludowego oraz Jan Stańczyk, minister opieki społecznej w rządach emigracyjnych z ramienia PPS.

Nietrudno zauważyć, że wśród uczestników rozmów moskiewskich najwięcej było ludowców i socjalistów. Te dwa najstarsze polskie środowiska polityczne z jednej strony miały najbardziej „elastyczny" stosunek do ZSRR (choć trzeba pamiętać, że w Londynie byli także „niezłomni" działacze Polskiej Partii Socjalistycznej pod przywództwem premiera Tomasza Arciszewskiego), a z drugiej – reprezentowały najbardziej postępową część przedwojennej sceny politycznej, zarówno jeśli chodzi o program społeczno-gospodarczy, jak i stosunek do dyktatury sanacyjnej, prawicy narodowej i wszelkich odmian faszyzmu. Z punktu widzenia ówczesnych demokracji zachodnich najlepszym rozwiązaniem byłby zatem centrolewicowy, ludowo-socjalistyczny rząd w Polsce. Natomiast dla Stalina ludzie z PPS i SL od początku jego samodzielnej polityki polskiej (czyli od zerwania stosunków z rządem RP w Londynie w kwietniu 1943 r.) stanowili najlepszy parawan, za którym mógłby stopniowo przygotowywać jednopartyjną dyktaturę polskich komunistów. Stąd rola takich postaci jak przedwojenna socjalistka Wanda Wasilewska w Związku Patriotów Polskich czy brat przywódcy ludowców Andrzej Witos w Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego.

Członkowie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej wracają z Moskwy. Nz. od lewej minister informacji i propagandy Stefan Matuszewski, wicepremier Stanisław Mikołajczyk i premier Edward Osóbka-Morawski. Warszawa, czerwiec 1945 r.

Ludowcy, socjaliści i inni polscy demokraci, którzy zdecydowali się na rozmowy moskiewskie, od razu zostali postawieni przez Stalina w dwuznacznej sytuacji. Oto bowiem tego samego dnia, 18 czerwca 1945 r., w tej samej Moskwie, przed Kolegium Wojskowym Sądu Najwyższego ZSRR rozpoczął się proces 16 przywódców Polski Podziemnej, wśród których byli ich partyjni koledzy: Kazimierz Pużak z PPS, Adam Bień, Kazimierz Bagiński i Stanisław Mierzwa ze Stronnictwa Ludowego. Trzy dni później, gdy finalizowano rozmowy w sprawie powołania Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, zapadły wyroki od czterech miesięcy do dziesięciu lat więzienia dla polskich przywódców oskarżonych o to, że „brali udział w pracy wywrotowej polskich organizacji podziemnych na terytorium Polski na tyłach Armii Czerwonej".

Słowa Gomułki

Organizując taki proces, Stalin wyraźnie pokazał, że to on będzie decydował, którzy politycy mogą się znaleźć w nowym polskim rządzie, a którzy trafią do radzieckiego więzienia. Negocjacje prowadzone w takiej atmosferze mogły przynieść tylko jeden rezultat – skład rządu całkowicie zgodny z wolą Kremla, choć z wyraźnym ustępstwem na rzecz aliantów zachodnich, czyli obecnością kilku polityków związanych dotąd z rządem emigracyjnym.

Najważniejszą postacią był tu oczywiście Stanisław Mikołajczyk, który został wicepremierem oraz ministrem rolnictwa i reform rolnych. Zanim to nastąpiło, Mikołajczyk i inni demokraci usłyszeli w Moskwie od Władysława Gomułki znamienne słowa: „Myśmy Polskę budowali i pracujemy po 18 godzin na dobę i nie można traktować Rządu Tymczasowego i p. Mikołajczyka jako jakieś dwie równorzędne strony. My tylko ofiarujemy demokratom emigracyjnym miejsce w naszym domu i przez to samo podkreślamy, że jeszcze dzisiaj nie zeszliśmy z linii zmierzającej do porozumienia. Wymaga tego interes Polski, związane jest to z koniecznością likwidacji tej fikcji rządowej, która jeszcze istnieje i działa na emigracji w postaci p. Arciszewskiego. Nie obrażajcie się, panowie, że my wam tylko ofiarujemy miejsce w rządzie, takie jakie sami uznajemy za możliwe. Myśmy bowiem gospodarze. Wy zaś możecie się stać współgospodarzami Polski, jeśli zrozumiecie wasze błędy i pójdziecie po drodze, którą idzie Rząd Tymczasowy. Porozumienia chcemy z całego serca. Lecz nie myślcie, że

Gomułka przedstawił politykom z Londynu alternatywę: albo przyłączycie się do nas, i tak rządzących w kraju, albo stracicie wpływ na losy Polski.

FOT. LIBRARY OF CONGRESS, PAP

eprasa.pl 7caae2c074

jest to warunek naszego istnienia. Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy. Nie dlatego, aby ktokolwiek z nas pragnął dla siebie tej władzy. Każdy z nas z wielką chęcią pozbyłby się osobiście tego ciężaru, który na nim spoczywa w tym najcięższym okresie gospodarczym, w jakim znajduje się Polska. Władzy nie oddamy dlatego, aby naród polski nie spotkała nowa zguba, która mu grozi w wypadku fałszywej linii politycznej, którą próbuje narodowi narzucić reakcja. Spotykamy się ze sobą po raz trzeci, lecz bodaj i po raz ostatni. Jeśli do porozumienia nie dojdziemy, to wrócimy do kraju bez was. Bądźcie pewni, że za dwa, trzy miesiące nastąpi uznanie naszego rządu przez państwa zachodnie, które przez wasze wstąpienie do Rządu może nastąpić natychmiast. A gdyby nawet przyszło poczekać dłużej – to poczekamy, lecz władzy nie oddamy. Wy zaś zdajecie egzamin jako Polacy i patrioci".

Z tego przemówienia pamięta się jedynie wyrwane z kontekstu zdanie: „Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy". A przecież Gomułka jasno i uczciwie przedstawił politykom z Londynu alternatywę: albo przyłączycie się do nas, którzy i tak rządzimy w kraju, albo stracicie jakikolwiek wpływ na losy Polski i zostaniecie porzuceni przez mocarstwa zachodnie. Mikołajczyk tę alternatywę zrozumiał i z Moskwy pojechał wprost do Warszawy, gdzie przez następne dwa lata będzie stał na czele Polskiego Stronnictwa Ludowego – największej legalnej organizacji niezależnej od władzy aż do czasu Solidarności w latach 1980-1981.

To prawda, że przegrał, bo licząc na zwycięstwo w demokratycznych wyborach, nie docenił stalinowskiego modelu zdobywania władzy, opartego na terrorze i zastraszaniu społeczeństwa. Ale zanim to się stało, miał udział w największym polskim sukcesie tamtego czasu – wraz z polską delegacją udał się na konferencję Wielkiej Koalicji w Poczdamie, która obradowała na przełomie lipca i sierpnia 1945 r., by walczyć o naszą granicę zachodnią. Akceptacja jej ostatecznego kształtu przez Brytyjczyków i Amerykanów to niewątpliwa zasługa przywódcy PSL, a także socjalisty Jana Stańczyka cieszącego się zaufaniem przywódców brytyjskiej Partii Pracy, która właśnie wtedy wygrała wybory i przejęła ster rządów po Churchillu.

Warto w tym miejscu przypomnieć fakty, o których niechętnie wspominają dzisiejsi historycy, nie tylko ci z IPN. Oto bowiem już 29 czerwca 1945 r. Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej został oficjalnie uznany przez francuski rząd gen. Charles'a de Gaulle'a, 5 lipca przez rządy Stanów Zjednoczonych (prezydenta Harry'ego Trumana), Wielkiej Brytanii (Winstona Churchilla) i Chin (Czang Kaj-szeka), 6 lipca przez Norwegię, 7 lipca przez Kanadę, Szwajcarię, Szwecję i Włochy, 9 lipca przez Danię i Meksyk, 14 lipca przez Finlandię, 16 lipca przez Bułgarię, 18 sierpnia przez Turcję, a 22 września przez Luksemburg, Rumunię i Syrię.

Uznanie TRJN oznaczało automatyczne cofnięcie poparcia dla rządu RP na uchodźstwie, który odtąd będzie odgrywał rolę wyłącznie symboliczną. „Niezłomni z Londynu" to środowisko ludzi niewątpliwie zasłużonych dla Polski do 1945 r., ale ich późniejszy opór wobec Polski Ludowej nie miał żadnego znaczenia dla losów narodu mieszkającego między Bugiem a Odrą.

Można patrzeć na Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej – rząd Edwarda Osóbki-Morawskiego, Władysława Gomułki i Stanisława Mikołajczyka – jak na formę kamuflażu dla instalowania w Polsce stalinowskiego systemu władzy. Taką rolę odegrał na pewno, co potwierdziły sfałszowane referendum w czerwcu 1946 r. i wybory do Sejmu w styczniu 1947 r. Ale ten sam rząd intensywnie odbudowywał Polskę z wojennej ruiny, przeprowadzał reformę rolną i nacjonalizację przemysłu, zagospodarowywał Wybrzeże i inne ziemie poniemieckie, odtwarzał polskie szkolnictwo i walczył z analfabetyzmem, umożliwiał na nowo rozwój kultury i nauki. Był to zarazem pierwszy polski rząd, który powstał po II wojnie światowej oraz pierwszy rząd, któremu przyszło kierować Polską w nowych granicach, uznanych przez wszystkich zwycięzców tej wojny. Już choćby dlatego warto o nim pamiętać i oddać mu historyczną sprawiedliwość.

Paweł Siergiejczyk

KSIĄŻKI

OSZUSTWO POPULIZMU

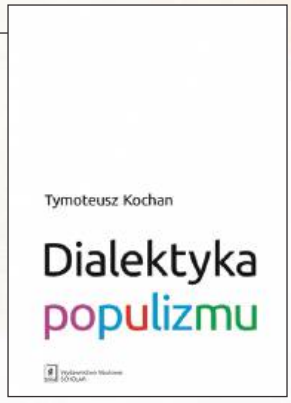

Tymoteusz Kochan, *Dialektyka populizmu*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2024

„Dialektyka populizmu", książka filozofa i publicysty Tymoteusza Kochana, to rzadka praca z tradycji teorii krytycznej i współczesnej filozofii marksistowskiej. Zdaniem autora populizm to maska ideologiczna, którą neoliberalizm posługuje się, by winą za swoje klęski i w konsekwencji za późniejsze rządy autorytarnej prawicy obarczyć „bezrozumny" lud, przedstawiany jako niezdolny do racjonalnego pojmowania rzeczywistości. Populistyczność w tym rozumieniu to ideologiczny straszak służący do wykluczania wszelkich alternatyw systemowych.

Nowa kapitalistyczna rzeczywistość to Era Podziału – następująca po Erze Wzrostu epoka ekonomiczna, którą cechują coraz mniejsza stopa zysku i coraz większa presja na obniżenie oczekiwań ekonomicznych ludzi pracy. Ich rosnące niezadowolenie będzie piętnowane i odrzucane pod wygodnym szyldem walki z populizmem, który dla systemu stał się „epitetem codzienności" w konfrontacji z żądaniami pracowników.

W książce zawarta jest także szersza prognoza współczesnego kapitalizmu, który zdaniem autora zmienia się w kapitalizm katastroficzny: pogrążony w kryzysie klimatycznym, skazujący coraz szersze masy na biedę system zamkniętych i uprzywilejowanych twierdz.

eprasa.pl 7caae2c074

Przyjaźń mimo wszystko

Panny z Genewy, czyli historia nieprzeciętnych kobiet

Rafał Skąpski

11 sierpnia 1942 r. po południu Christopher Silverwood Cope „Kit" przyjechał na ulicę Topolową 8, aby pożegnać się przed planowanym „przerzutem" za granicę.

Około godziny 17 doktor Zofia Garlicka usłyszała gwałtowny i głośny kaszel dozorcy Kaczyńskiego. Taka była między nimi umowa, gdyby dozorca domu zobaczył niepokojące zachowanie hitlerowców, chęć wejścia do budynku, na klatkę schodową – miał zacząć głośno kaszleć. I tak właśnie było.

Zofia starała się uspokoić i w najwłaściwszej kolejności wydawać dyspozycje:

– Nata, do swojego pokoju, opanuj się, papiery masz dobre, powtarzaj sobie to nowe nazwisko…

– Kit, ukryj się w ostatnim pokoju, lepiej, by cię nie zobaczyli.

– Zosiu, pozbieraj szybko papiery z mojego biurka i… i wyrzuć je przez balkon…

Odgłos gwałtownego stukania, wręcz łomotania do drzwi odwrócił role. Gestapowcy weszli do mieszkania i teraz oni zaczęli wydawać polecenia, a silna i dzielna Zofia musiała się im podporządkowywać. Szybko odkryli, że w mieszkaniu są dwie niezameldowane w nim osoby. Zofię Garlicką i jej córkę Zofię Jankowską znali już z poprzednich kilku rewizji. Ich powodem były trwające wciąż poszukiwania zięcia Garlickiej, a męża Zosi, Stanisława Jankowskiego, który nocą z 3 na 4 marca 1942 r. został, jako cichociemny, zrzucony w okolicach Wyszkowa. I tym razem on był powodem przeszukania, ale gestapowcy musieli mieć informację, że w mieszkaniu Zofii przebywają, kiedyś często, teraz już sporadycznie, dwaj angielscy jeńcy zbiegli z oflagu Fort VII w Poznaniu.

Dr Natalia Zand, wybitna neurolożka o bogatym dorobku naukowym i publicystycznym.

Olga Krzyżanowska, ok. 1943 r.

W mieszkaniu tym krzyżowały się różne formy oporu, różne podziemne inicjatywy i rodzaje działalności. Wystarczająco dużo pretekstów do zainteresowania, szczególnie gdy ktoś „życzliwy" nakieruje okupanta na ten adres.

Uwagę jednego z gestapowców zwróciła od razu wyraźnie zdenerwowana, roztrzęsiona 60-latka. Wykonując polecenie, wręczyła Niemcowi kenkartę i w tym momencie uzmysłowiła sobie, że nie zdążyła spojrzeć na wpisane w dokumencie nazwisko, jej nowe nazwisko. Przecież przez ostatnie kilkanaście dni często je sobie w myśli powtarzała, nie było trudne, nawet jej się podobało, ale teraz… Teraz usłyszała pytanie, na które nie mogła, nie umiała odpowiedzieć. (…) Pytanie o nazwisko. Dla hitlerowca było to jednoznaczne potwierdzenie, że stojąca przed nim rozdygotana kobieta jest Żydówką.

W tym czasie drugi gestapowiec odnalazł zbiegłego z obozu jenieckiego i długo poszukiwanego Anglika. Był to Christopher Silverwood Cope zwany „Kitem".

Niemcy nie kryli satysfakcji, nareszcie jest powód aresztowania Zofii Garlickiej, której tak długo pobłażali, jakby udając, że przymykają oko na jej podziemną działalność. Jej córkę, Zosię Jankowską, aresztowano w pewnym sensie „w zastępstwie" nieuchwytnego męża. Żydówka, która nie wydusiła z siebie ani słowa, była niespodziewanym, przypadkowym i dodatkowym trofeum[1].

Zofia Garlicka wywieziona została wraz z córką 14 października 1942 r. do obozu Auschwitz; starała się tam pomagać chorym więźniarkom.

eprasa.pl 7caae2c074

Od prawej: Natalia Zand z Marią i Klementyną Sągajłło, babką autora, Kraków 1935 r.

•

Do dziś nie ma pewności, co naprowadziło tego dnia Gestapo na mieszkanie przy Topolowej. Według jednych relacji Niemcy przyszli tropem Natalii, według drugich tropem Anglików. Możliwa jest też wersja, że Zofia została zadenuncjowana z powodu jej intensywnej i różnorodnej działalności w podziemiu.

Gdy Niemcy byli już na schodach, kierując się do mieszkania Zofii, mieszkająca w tym samym pionie, na parterze, u swojej babci Stanisławy Łopińskiej, trzynastoletnia Ola[2] zauważyła przez okno sfruwające z góry kartki papieru. Po latach, w rozmowie z córką[3] tak wspominała to zdarzenie:

„Pod oknami rósł rząd krzewów, był trawnik i dalej chodnik, a za nim ulica. Tych krzewów już dzisiaj nie ma. Było lato, lipiec. Otwarte okna, upał. Patrzę, a na te krzaki pod oknami sfruwają z góry jakieś białe kartki. Byłam chuda okupacyjną chudością, nieduża, bardzo sprawna fizycznie. Wyskoczyłam z okna, zebrałam te kartki. I inne, które leżały przed gałęziami. I w tym momencie wychodzi z naszego podwórza Niemiec w mundurze i krzyczy do kogoś na górze! Miałam szczęście, że go zobaczyłam w chwili, gdy już się zbierałam, żeby wrócić do domu z tymi papierami. Zmięłam je i schowałam. Gdy się odwrócił, ja hyc do domu. Mówię, »Babciu zobacz te papiery…«. Okazało się, że wyżej, na drugim piętrze Gestapo przyszło aresztować doktor Garlicką – mieszkała tam z córką. Złapali wcześniej Anglika, który uciekł z obozu i się u nich ukrywał. Wszystko Niemcom wychlapał. Wejście do kamienicy było od ogrodu, panie Garlickie nie wiedziały, że idą Niemcy. Ale któraś z nich stała na balkonie i dozorca dał znak, że dzieje się coś niebezpiecznego. Niczego już by nie zdążyły spalić, więc zaczęły wyrzucać papiery przez okno. Dokumenty, które znalazłam, to był zapis drogi przerzutu Anglików przez Europę do Portugalii. Gdyby wpadły w ręce Niemców, ucierpiałoby mnóstwo ludzi. […] Babcia zapakowała dokumenty do torebki, wzięła mnie pod rękę i spokojnym tonem powiedziała: »Wychodzimy«. Włożyła kapelusik, zaniosła to wszystko do któregoś z licznych AK-owskich znajomych. […] Po kilku tygodniach przyszedł na bibułce rozkaz Komendy Głównej, że za mój czyn otrzymuję Krzyż Walecznych”.

W wywiadzie, udzielonym Katarzynie Bielas cztery lata wcześniej, relacja Olgi Krzyżanowskiej różni się tylko tym, że krzyczący Niemiec nie jest na parterze, a „na górze”, czyli w mieszkaniu Zofii lub na balkonie tego mieszkania.

Nieco inaczej relacjonuje to zdarzenie w jeszcze wcześniej wydanej książce córka Oli, czerpiąc swą wiedzę z rozmów z matką. Kartki miały sfrunąć z balkonu nie od strony ulicy, a od ogrodu. (…)

Maria Ciesielska, relacjonując słowa Olgi Krzyżanowskiej podczas sesji poświęconej 70-leciu śmierci dr Garlickiej, w listopadzie 2012 r., zanotowała:

„…z balkonu mieszkania dr Garlickiej spadały do ogrodu papiery, które zbierała i zanosiła do domu. Aby ukryć część kompromitujących materiałów, wyniosła wraz z babcią zebrane dokumenty poza mieszkanie”.

Stanisław Jankowski „Agaton” napisał, że w pokoju z balkonem „ogrodowym” mieszkała Natalia, to przemawia za tym, iż papiery wyrzucone były przez balkon od ulicy z pokoju zajmowanego przez Zofię. Dodatkowym dowodem na to są słowa Jankowskiego:

„Zrzucone luzem kartki spadały wolno. Schwytała je w locie mała Olga Krzyżanowska […] Ukryła złapane kartki, potem wyniosła je na Pole Mokotowskie i zakopała w kartoflisku. Nie zauważyli tego stojący na chodniku przy samochodzie gestapowcy. Zauważyli jednak dwie kartki, które wiatr zaniósł na chodnik, opodal samochodu. Te dwie kartki maszynopisu […] będą najbardziej obciążającym dowodem w czasie przesłuchań aresztowanych kobiet”.

Wytłumaczeniem tej drobnej nieścisłości może być fakt, że wówczas budynek od ulicy odgradzał, poza chodnikiem, gęsty szpaler krzewów. Mógł sprawiać po latach wrażenie ogrodu.

W Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego znajduje się zaledwie jeden dokument, w którym pojawia się nazwisko Natalii Zand. To kopia rejestru więźniów z Pawiaka.

eprasa.pl 7caae2c074

Zdjęcia obozowe Zofii Jankowskiej (góra) i Zofii Garlickiej (dół), Auschwitz 1942 r. wykonane przez Edwarda Brassego (1917-2012), więźnia obozu.

•

Aresztowane trzy kobiety oraz Anglika „Kita" osadzono w siedzibie Gestapo w alei Szucha, tam byli przesłuchiwani. Do „Kita" dołączył aresztowany na Topolowej nieco później John Arison Crawford. Był to drugi Anglik przechowywany w mieszkaniu Zofii na przełomie 1941/1942. Z dostępnych źródeł wynika, że ani Zofia, ani jej córka niczego nie ujawniły. Całą winę wzięła na siebie córka Garlickiej – Zofia Jankowska, a postępowanie matki tłumaczyła względami humanitarnymi. O tym, czy przesłuchiwana była także Natalia, nie ma pewnych wiadomości. Następnego dnia kobiety przewieziono na Pawiak. Zofia podczas przewożenia karetką więzienną na Pawiak zażyła truciznę, lecz odratowały ją lekarki ze szpitala na Pawiaku-Serbii. Tam nawiązały kontakt z aresztowanymi Anglikami. W jednym z grypsów wysłanych z Pawiaka Zofia zanotowała słowa „Kita": „W Anglii nie ma pewnie ani jednego człowieka, który zrobiłby dla kogokolwiek to, co wyście zrobiły dla mnie!".

Z dostępnych źródeł wynika, że ani Zofia, ani jej córka po aresztowaniu niczego nie ujawniły. Winę wzięła na siebie córka Garlickiej – Zofia Jankowska.

Zofia chciała uzgodnić z „Kitem" i Johnem wspólną treść zeznań. Otrzymała zdumiewającą odpowiedź, że „oficer niemiecki dał mu słowo, że nie wykorzysta jego zeznań i że on, oficer angielski nie może kłamać". Niedługo później obaj Anglicy zostali zwolnieni z Pawiaka i odesłani do oflagu IVC w Colditz.

Zofia wywieziona została wraz z córką 14 października 1942 r. do niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz; starała się tam pomagać chorym więźniarkom. Według urzędowego zawiadomienia Zofia zmarła 18 listopada 1942 r. po zarażeniu się tyfusem. Zosia niecały miesiąc później – 13 grudnia. Wedle pisarki Seweryny Szmaglewskiej, więźniarki Auschwitz, która poznała w obozie Zofię i Zosię, daty te są fałszywe i to Zofia przeżyła córkę.

W Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego znajduje się zaledwie jeden dokument, w którym pojawia się nazwisko Natalii Zand. To kopia rejestru więźniów z Pawiaka. W tabeli „data przyjęcia" wpisano 12.08.1942, rubryka „data zwolnienia z więzienia", jest pusta. Daje to prawie pewność, że Natalia została rozstrzelana w dniu przybycia na Pawiak. Maria Ciesielska pisze, że Natalia została rozstrzelana „prawdopodobnie następnego dnia" po aresztowaniu. Źródła tej informacji nie podają. Jankowski pisze nieco inaczej: „Rozstrzelali ją [dr Zandową] w kilka dni po aresztowaniu". Na czym oparł tę informację, nie wiadomo.

[1] Według relacji najstarszej córki Zofii Garlickiej – Jadwigi Putowskiej, prawdopodobna jest także wersja, że Gestapo dotarło do mieszkania dr Garlickiej nie tyle tropiąc Anglików, ile w ślad za dr Natalią Zand.

[2] Olga Krzyżanowska, pseudonim „Żabusia" (1929--2018), po wojnie ukończyła medycynę, pracowała jako lekarka, zaangażowała się w politykę, będąc ważną działaczką Solidarności, a w odrodzonej Polsce dwukrotnie pełniła funkcję wicemarszałka Sejmu. Jej ojciec to Aleksander Krzyżanowski pseudonim „Wilk", dowódca okręgu wileńskiego Armii Krajowej.

[3] Magdalena Krzyżanowska-Mierzewska, ur. 1957, radca prawny, w latach 1993-2018 zatrudniona w Kancelarii Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu.

Fragmenty książki Rafała Skąpskiego *Panny z Genewy*, Austeria, Kraków 2024

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE (4)

eprasa.pl 7caae2c074

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Zdobycie Paryża

Pierwsza część meczu Polska-Austria. Kibicuję Austrii, to już nawyk z czasu, gdy wszystko, co narodowe, kojarzyło się z PiS. Trochę cierpię, że przegapię drugą połowę meczu, musimy jechać na kolację. Udaje nam się szczęśliwie zaparkować w Alejach Jerozolimskich. Idąc ulicą, mijamy pub, szeroko otwarte panoramiczne okno, w środku wielki telewizor i gęsty tłum w oparach piwa oglądający drugą połowę. Kilka osób podgląda mecz z ulicy, w tym grupka bezdomnych. Widzę, że Austriacy już prowadzą 2:1. Trafiamy, co za historia, właśnie na moment, gdy austriacki zawodnik jest sam na sam z bramkarzem i Szczęsny go fauluje. Rzut karny, celnie wykonany. „To koniec!", jęknęli bezdomni.

Dobra kolacja w Starej Kamienicy, serdeczne towarzystwo, Krystyna i Grzegorz Rosiński, autor słynnych komiksów. Daję im mój „Alfabet polifoniczny", Grzegorz jest jednym z jego bohaterów. Przybył ze Szwajcarii, fetowany, nieustanne spotkania, występy, hołdy. Jeśli jest narcyzem, to skromnym.

Jan Bokiewicz, też obecny na kolacji, podczytuje mojego bloga, więc niepokojąco wiele o mnie wie. Przez pół wieku pięknie projektował okładki Czytelnika. Ciekawe, że Janek, podobnie jak ja, skaleczony przez władze PiS, nauczył się kibicować przeciwnikom naszej drużyny narodowej. I pomyśleć, jak oni nas ogłupili. Klęska polskiej drużyny, wzmocniona meczem o honor z Francją, nakłada się boleśnie na wszystkie nasze klęski narodowe i na nasz kompleks niższości, który już się zagoił, ale niezupełnie. Ten remis z Francją, szczęśliwie wydręczony, potraktowany jako niebywały sukces, zdobycie Paryża, mimo że odpadamy z mistrzostw. A ja jakimś cudem przeformatowałem się i kibicowałem Polsce. Już był czas, minęło tyle miesięcy od wygranych wyborów.

•

Moi synkowie, Antek, lat prawie 18, i Franek, prawie 14-latek, kłócą się. Tak kochani przez nas, zdają się czasami siebie nie lubić. Tak jest od kilku miesięcy. Jakby nie dosyć było innych strapień. I jak się spodziewać, że państwa sąsiadujące ze sobą będą żyć w pokoju, skoro tak kłócą się bracia. Minie im to, ale bardzo się tym trapię.

Franio ma ostatnio etap strojenia się, tylko markowe ubrania, dobiera style, kolory, jest pięknym nastolatkiem, więc to miłe dla oka, ale bolesne dla portfela. Obaj chłopcy w dużej mierze żyją w świecie wirtualnym, nie czytają książek. Antek mówi, że książki przestały być atrakcją, jest tyle innych. Zauważają to już niestety wydawcy.

•

Odziedziczyłem po Antku iPhone'a, kupił sobie nowy, lepszy model; ja miałem smartfona z innym systemem i bieda z przestawieniem się. W sekundę Antek ustawia mi tryb identyfikacji twarzy, wygodne, ale tak się zaczyna świat Orwella. Sprawność, z jaką dzieci poruszają się po wirtualnym świecie, i bezradność nas, z innej epoki…

•

Czytam dzienniki Tadeusza Kwiatkowskiego, nazwisko tak częste, że myli się z innymi Kwiatkowskimi. Zupełnie go nie kojarzyłem mimo studiów polonistycznych i tego, że od dziecka byłem osadzony w środowisku literackim. A był ceniony i popularny w latach 60. i 70. Scenarzysta, prozaik, twórca krakowskiego kabaretu Jama Michalika. Jego dzienniki, dwa grube tomy, obejmują lata 1953-1998. Dokonano karkołomnego skrótu, by to jego życie zmieścić w dwóch tomach, a przy okazji wyrugowano całą sferę prywatną, została tylko ta społeczna. Najciekawsze zaś są dzienniki, które łączą obie sfery. Tak załatwiono dzienniki Woroszylskiego, zostawiając tylko zapis jego działalności politycznej w opozycyjnych czasach.

Odziedziczyłem po Antku iPhone'a.
W sekundę syn ustawia mi tryb identyfikacji twarzy, wygodne, ale tak się zaczyna świat Orwella.

Wracając do Kwiatkowskiego, ten dziennik nie ma walorów literackich, właściwie nie trafiłem choćby na jedno zdanie, w którym jest poezja, czasami tak potrzebna w prozie, ale jest ciekawy jako świadectwo czasu, to moja młodość, a potem burzliwe lata 80. Przypomina, jak istotna była literatura. I artyści w czasach PRL, kneblowani przez cenzurę, ale jakże ważni. Pogłos czasów stalinowskich, gdy pisarze mieli być „inżynierami ludzkich dusz", co wymyślił sam Stalin. Polscy „inżynierowie" przestali wierzyć w radziecki komunizm, ale reżimowi nadal wydawało się, że rządzą duszami, dlatego tak się z nimi liczono, nawet prześladując ich, gdy stali się przeciwnikami ustroju.

Autor zapisuje na koniec dnia krążące dowcipy polityczne, a było ich mrowie. Często świetne. Ironią broniliśmy się przed absurdami tamtego czasu. Dowcip polityczny ma się dobrze w umiarkowanej dyktaturze, w demokracji zdycha, bo już nie odgrywa roli terapeutycznej. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7caae2c074

Helena Kowalik

NA WYRWĘ

Nie ma tygodnia, aby gdzieś w Polsce nie okradziono bankomatu. Złodzieje czują się bezkarni, bo ich procesy ciągną się latami

Bankomat w Wiszni Małej pod Wrocławiem to metalowy baraczek. Z tyłu niewielkie pomieszczenie dla dostarczających pieniądze. W środku miejsce na jedną osobę.

Łukasz W., „Czarny", mózg akcji okradania bankomatów, do Wiszni przymierzał się ze swoimi kompanami dwukrotnie. Zawsze nocą. Za pierwszym razem zamalowali kamery ulicznego monitoringu, uszkodzili lampy oświetleniowe i już, już mieli w rękach kasetkę z prawie 60 tys. zł, gdy włączył się alarm. Przywieziona przez nich zagłuszarka okazała się niesprawna. Musieli uciekać. Następnej nocy – 2 grudnia 2017 r. – pojawili się ponownie. Bankomat zastawili od strony ulicy kubłami na śmieci, wywiesili kartkę, że jest nieczynny, i wyłączyli kamery. Zostało to, co najtrudniejsze – wycięcie otworu w ścianie urządzenia.

Policjanci wiedzieli o drugim planowanym skoku, ale chcieli zatrzymać złodziei in flagranti. Grupę uderzeniową wspierało 12 antyterrorystów. Kiedy o północy przyjechali nieoznakowanym autem do Wiszni, Łukasz W. już siedział w kantorku na tyłach metalowego baraku.

Zgodnie z przyjętą strategią jedna z sześcioosobowych grup antyterrorystów wybiegła w kierunku ulicy. Tam czekał w samochodzie Jacek S., wspólnik Łukasza W. Druga grupa ruszyła na bankomat. Kiedy antyterroryści zbliżyli się, jeden złapał za klamkę drzwi, za którymi stał „Czarny" z kałasznikowem. Funkcjonariusze nie spodziewali się, że herszt złodziei będzie uzbrojony, choć widziano go dzień wcześniej z wypchaną torbą – przypuszczano jednak, że niesie nożyce do cięcia metalu.

Było i drugie zaskoczenie – oto przed grupą szturmową pojawili się dwaj policjanci kryminalni. Ich nieprzemyślany manewr sprawił, że znaleźli się na linii strzału kolegów i antyterroryści nie mogli użyć pistoletów maszynowych w odpowiedzi na serię z kałasznikowa. Sięgnęli po paralizator. Ale Łukasza W. chroniła gruba kurtka, prąd oszołomił go tylko na chwilę. Zdążył oddać kolejne strzały, którymi zabił 40-letniego podkomisarza Mariusza Koziarskiego. Trzech innych policjantów zostało rannych.

Łukasz W. zginął chwilę później. Jak wykazała sekcja zwłok, został trafiony 12 razy; jedna kula przebiła mu serce. Jacek S. na widok policyjnej akcji usiłował uciec, ale go zatrzymano. Trafił do aresztu pod zarzutem udziału w zbrojnej grupie przestępczej.

Rozprawy toczą się w niemal pustej sali. Bez oskarżonych i kogokolwiek ze strony poszkodowanych banków. Nikt nie zasiada w ławach publiczności.

Jeden od młota, drugi na zawołanie

Rozpracowanie grupy okradającej bankomaty zaczęło się od założenia mieszkającemu w Gdańsku Jackowi S. podsłuchu telefonu. Gorącą linię z Łukaszem W. z Poznania S. utrzymywał za pomocą krótkofalówek lub telefonów, w których często wymieniał karty. Na spotkania umawiali się w hotelach w Suchym Lesie i Kiekrzu. Trzecim wspólnikiem był pochodzący spod Warszawy Grzegorz K.

Szczegółowo opracowany schemat okradania bankomatów polegał na tym, że najpierw Grzegorz K. wpłacał spore sumy otrzymane od „Czarnego" na specjalnie w tym celu założone konto jego matki. Inny członek bandy codziennie wyjmował te kwoty z upatrzonego przez szefa bankomatu, obserwując, w jakich nominałach wyrzuca je maszyna. Jeśli dwusetkami, znaczyło, że w bankomacie jest dużo pieniędzy. Ale gdy wypłata spływała np. po 20 zł, był to sygnał, że wkrótce pojawią się konwojenci, żeby doładować gotówkę. Po ich odjeździe banda przystępowała do rabunku. Nim dotarli do kasety z pieniędzmi, uruchamiali specjalnie skonstruowaną zagłuszarkę sygnału GSM wysyłanego przez bankomat do ochrony.

Akt oskarżenia, przygotowany przez wrocławskich prokuratorów, powstał dwa lata po tragedii w Wiszni Małej. Obejmuje pięciu członków grupy: Jacka S., Grzegorza K., Marcina Ł., Eryka O. i Daniela G. Każdy z nich miał inne zadanie do wykonania.

Jacek S., prawa ręka „Czarnego", odpowiadał za narzędzia do włamania (plazma, wiertarka, młot udarowy, szlifierka) i typował bankomaty. Grzegorz K. był od operacji finansowych, aby w razie czego przyśpieszyć dostawę do kasety bankomatu. Eryk O. dostarczał zagłuszarki. Zajmował się też przystosowaniem uzyskanego przez „Czarnego" programu komputerowego umożliwiającego wypłatę pieniędzy bez konieczności prucia palnikiem obudowy bankomatu. Marcin Ł. zwykle stał na czatach. Daniel G. miał być na zawołanie.

Kradł i sprytnie oszukiwał

42-letni Łukasz W. był już znany poznańskiej policji jako herszt

eprasa.pl 7caae2c074

Miejsce tragedii w Wiszni Małej na Dolnym Śląsku.

Jeden z podejrzanych o strzelaninę w Wiszni Małej prowadzony na rozprawę we wrocławskim sądzie.

gangu złodziei samochodów. Przypisywano mu kradzież ponad 200 aut. Lubił popisywać się brawurowymi akcjami, np. kradł pojazdy z wystawy salonu samochodowego, zaczepiając je hakiem. Raz podczas takiej akcji próbował rozjechać policjanta, a gdy się nie udało, chciał go przekupić łapówką.

Kiedy doszło do procesu, „Czarny" umyślnie spowodował kolizję z samochodem sędziego prowadzącego jego sprawę i trzeba było zmienić skład orzekający, co znacznie wydłużyło postępowanie. Następnego sędziego zamierzał „odj...", jak mówił kumplom w podsłuchanej przez organy ścigania rozmowie telefonicznej. Policja uznała, że groźby są realne. Sędzia dostał ochronę.

Łukasz W. nie tylko kradł, również sprytnie oszukiwał. Kiedy miał niegroźny wypadek motocyklowy, zwrócił się za pośrednictwem fundacji Nadzieja do ludzi o czułych sercach, aby go wsparli datkami pieniężnymi. Napisał, że jego rodzina przymiera głodem, a on sam nie ma pieniędzy na operację kręgosłupa. „Jestem teraz jedynie dla nich udręką. Mam niesprawną całą lewą połowę ciała. (...) Siadam już psychicznie. (...) Po trzech miesiącach życia jako pierd... kaleka, cholerna roślina, mam dosyć". Nikt nie sprawdził, czy nie kłamie, wzruszeni podatnicy okazali hojność.

Po wydarzeniach w Wiszni Małej postępowanie przeciwko zastrzelonemu Łukaszowi W. zostało umorzone. Jego wspólnicy trafili do aresztu. Zaczęły się przesłuchania. Śledczy najwięcej wiedzieli o wysadzaniu bankomatów na Dolnym Śląsku i w Wielkopolsce. Zadziwiała prymitywna metoda rabowania pieniędzy: zazwyczaj wpuszczano do środka urządzenia gaz i wywoływano eksplozję zapalnikiem z bateryjki. Wszystko odbywało się nocą, w małych miejscowościach, gdzie – jak zeznawali oskarżeni – ludzie chodzą spać z kurami. Przestępcy na ogół opuszczali miejsce rabunku z workiem pieniędzy. Przykładowo w roku 2017 dokonali sześciu grabieży: w lipcu włamali się do bankomatu Santandera w Galerii Podolany w Poznaniu. Zabrali 564 200 zł.

Dwa tygodnie wcześniej Łukasz W. wspólnie z nieustaloną osobą włamał się do bankomatu Banku Spółdzielczego w Trzebini. Ukradli 250 320 zł. W sierpniu zaliczyli udany skok w Rokietnicy. Zrabowali 225 tys. zł. Poza tym wynieśli ze sklepu spożywczego towar o wartości prawie 27 tys. zł. Następnie we wrześniu z bankomatu w Suchym Lesie zabrali 800 200 zł.

Ponadto Jacek S. i Grzegorz K. przywłaszczyli z portu w Nieporęcie skuter wodny o wartości 230 tys. zł. Po drodze usiłowali włamać się do bankomatu PKO BP w Legionowie, ale spłoszył ich niebacznie uruchomiony alarm. Z tego samego powodu nie udał się skok na bankomat w Chodzieży. Już mieli w zasięgu ręki 506 tys. zł, gdy na skutek przecięcia kabla włączyła się instalacja alarmowa.

Zadziwiała prymitywna metoda rabowania pieniędzy: do środka urządzenia wpuszczano gaz i wywoływano eksplozję zapalnikiem z bateryjki.

Wina „Czarnego"

Przed prokuratorem członkowie bandy starali się pomniejszać swoją przestępczą działalność.

FOT. PAP

eprasa.pl 7caae2c074

Jacek S., rocznik 1976, przyznał się do włamania w Legionowie, Wiszni Małej, Suchym Lesie oraz w Chodzieży. Twierdził, że nie było go w Rokietnicy i Poznaniu. Nie przyznał się do kradzieży skuterów. Jak wszyscy podejrzani winę zwalał na nieżyjącego Łukasza W. To „Czarny" miał go namówić do włamań bankomatowych. W Wiszni Małej stał na czatach. Był tam z Łukaszem dwukrotnie – za pierwszym razem musieli odstąpić od roboty, bo w pobliżu pojawił się patrol policji. Łupem miała paść kasetka ze 100 tys. zł, „Czarny" obiecał Jackowi połowę tej kwoty. Skąd mieli samochód? Zabrali go z placu, na którym stały autobusy PKS. Prawdopodobnie była to własność pracownika zajezdni.

Kolejny raz przesłuchiwany, przyznał się tylko do napadu w Wiszni Małej (wtedy został aresztowany). Nie był w żadnej grupie przestępczej, wykonywał polecenia „Czarnego", gdyż był mu winien 40 tys. zł. Chciał odrobić dług przemytem papierosów z Łukaszem W., ale nie było z tego poważnych pieniędzy. W ogóle to zamierzał skończyć ze złodziejstwem, dosyć się nasiedział za kratkami (głównie za oszukiwanie firm ubezpieczeniowych). Szef, kiedy się napił, obiecywał mu, że obrobią jeszcze kilka bankomatów i skończą z tym procederem, bo czuje oddech „psów" na plecach.

Grzegorz K. twierdził, że jedynie pomagał w rabunku w Rokietnicy, ale ukradzione pieniądze i towar ściągnięty z półek w sklepie spożywczym zabrał „Czarny". On został w to wszystko wplątany, bo Łukasz W. dał mu 40 tys. zł na założenie fikcyjnej spółki na nazwisko matki. Z tego konta miał tak długo wypłacać pieniądze z bankomatu w Rokietnicy, aż pojawią się nominały 50-złotowe. Znak, że wkrótce przyjadą konwojenci, aby doładować gotówkę.

„Czarnego" poznał za pośrednictwem Jacka S., z którym spotkał się w areszcie śledczym, gdy był oskarżony o przemyt samochodów. Wiedział, że Łukaszowi W., który chodził z kałasznikowem, się nie odmawia. Bronią handlowała grupa ze Śląska. Karabiny przerzucała z Czech do klubu motocyklistów w Poznaniu, w którym działał „Czarny".

Z aresztu Grzegorz K. napisał do swojej dziewczyny „(…) Nie wiem, czy już wiesz, za co zostałem zatrzymany. To sprawa medialna i huczy o niej w Internecie, bo Czarny z Jackiem S. okradali bankomaty. Co ja mam z tym wspólnego? Otóż muszę się przyznać moja Najdroższa, że w pewnej sprawie mu pomogłem. Nie mogę ci napisać w jakiej, w każdym razie przyznałem się do pomocy, zwłaszcza że idiota Jacek S. kłamie. Od samego początku było dla mnie jasne, że przy takiej tragedii tylko pełna współpraca z policją i prokuratorem pomoże mi zmyć z siebie hańbę".

Szef, kiedy się napił, obiecywał, że obrobią jeszcze kilka bankomatów i skończą z tym procederem, bo czuje oddech „psów" na plecach.

Eryk O. przyznał się wyłącznie do tego, że naprawiał Łukaszowi W. sprzęt do zagłuszania, ale nie wiedział, do czego będzie wykorzystany. Klient mówił, że urządzenie pomoże mu zniknąć, bo często ktoś za nim jechał. On zaś wie z własnej praktyki, że ludzie używają takiego sprzętu w różnych sytuacjach. Jak kurierzy, żeby ich kierownik nie wiedział, że zrobili sobie drzemkę w godzinach pracy.

Eryk O. handlował zagłuszarkami sprowadzanymi z Chin. Kiedy po naprawieniu własności „Czarnego" upomniał się o pieniądze, dostał od niego w twarz. Ze strachu przed gangsterem nie tylko nie odmówił pokazania, jak działa program komputerowy do wypłaty pieniędzy, ale jeszcze zainstalował „takie coś" w bankomacie typowanym do ograbienia. „Czarny" obiecał mu, że jak się dobrze spisze, zostawi go w spokoju.

Marcin Ł. twierdził, że jest ofiarą pomówienia przez odsiadującego wyrok Marcina M., a zgromadzony w śledztwie materiał został „sfabrykowany przez korupcyjny system wymiaru sprawiedliwości".

Krótko: wiem, kto robił włamania

Proces złodziei bankomatowych od kilku lat toczy się w Sądzie Okręgowym Warszawa-Praga. Nie budzi już takiej sensacji jak akcja w Wiszni Małej, upamiętniona dwiema śmierciami: herszta bandy i tropiącego go policjanta. Dziś rozprawy odbywają się w niemal pustej sali. Jeden z oskarżonych się ukrywa, pozostali, jako że odpowiadają z wolnej stopy, nie muszą uczestniczyć w procesie i z tego korzystają. Nikt się nie stawia w imieniu poszkodowanych banków. Ławy dla publiczności puste; tylko ja zajmuję miejsce.

Świadkowie oskarżenia są mało wiarygodni, bo to głównie więźniowie, którzy siedzieli w jednej celi z członkami bandy „Czarnego".

Najwięcej materiału dostarczył śledczym osadzony Marcin M., który przez miesiąc był „pod celą" z Marcinem Ł. i poznał szczegóły grabieży „na wyrwę" w Wiszni Małej. Napisał do prokuratora: „Krótko – wiem, kto robił włamania i gdzie, a pan prokurator tego nie wie. Sprawcą jest ten, z którym siedzę. Uważam, że osoba, która gotowa jest kogoś zabić, nie zasługuje na ukrywanie przed organami ścigania. A poza tym obawiam się, że Ł. może w jakiś sposób zagrozić mojemu życiu. (…) Składając zeznania nie oczekuję profitów procesowych".

Marcin M. przebywa w zakładzie karnym po raz siódmy. Tym, co nowe w jego donosie, było spostrzeżenie, że współoskarżony nie przejął się śmiercią zastrzelonego policjanta. M. nie chce, aby go dowozić na rozprawy złodziei bankomatowych – boi się o swoje życie. Wnosi o przesłuchanie w formie wideokonferencji i ukrycie jego wizerunku.

Inny świadek z zakładu karnego, niejaki B., zaprzecza, jakoby informował prokuratora o tym, co usłyszał od Marcina M. o włamaniach do bankomatu. „Ja już 18 lat siedzę i mam dość rozmów na temat przestępstw popełnianych przez inne osoby".

eprasa.pl 7caae2c074

Nie widać końca tego procesu. Rozprawy są zaplanowane do grudnia, ale świadkowie nie zgłaszają się, a ława oskarżonych jest pusta.

Tymczasem okradanie bankomatów rozwija się w najlepsze. Dolnośląscy i wielkopolscy policjanci namierzyli bossa kolejnej zorganizowanej grupy przestępczej. Krajowych złodziei wspierają Białorusini. Obcokrajowcy używają metody zwanej *black box*, która polega na włamaniu się do urządzenia za pomocą przenośnego komputera i wydaniu mu polecenia wypłaty gotówki.

W maju br. zatrzymano grupę, która m.in. wysadziła bankomat w Zdunach. Do zdarzenia doszło w środku nocy; mieszkańców kamienic zlokalizowanych przy rynku obudził potężny huk. Siła wybuchu była tak duża, że wyrwała bankomat ze ściany i uszkodziła elewację budynku. Złodzieje zabrali pieniądze i uciekli. Jak wykazało dochodzenie, posłużyli się prowizorycznym urządzeniem skonstruowanym m.in. z butli gazowych. Przed wysadzeniem bankomatu przebili opony w radiowozach zaparkowanych przed komisariatem.

W ciągu dwóch lat trzech mężczyzn okradło 41 bankomatów, z których zabrali ponad 5,7 mln zł. Wartość zniszczonego mienia oszacowano na ponad 5,5 mln zł.

W maju zatrzymano grupę, która w nocy wysadziła bankomat przy rynku w Zdunach. Mieszkańców kamienic obudził potężny huk.

Zgodnie z prawem za tego typu przestępstwo, czyli kradzież z włamaniem, grozi do 10 lat więzienia. Sprawcy muszą się liczyć również z zarzutem zniszczenia mienia, za co można iść do więzienia na pięć lat.

Wyrywanie bankomatów z umocowań to najbardziej prymitywna metoda kradzieży. Nie da się tego ukryć, bo wymaga sprowadzenia ciężkiego sprzętu budowlanego. O wiele groźniejsze są ataki na oprogramowanie bankomatów. Uzyskane w ten sposób dane autoryzacyjne są wykorzystywane do kradzieży pieniędzy z kont powiązanych z kartami płatniczymi. Możliwe jest też przejęcie PIN i informacji o stanie konta klienta. W ostatnim czasie coraz powszechniejsza wśród okradających bankomaty staje się metoda *cash trapping*. Przestępcy instalują w bankomacie nakładkę na otwór, przez który wydawane są banknoty. Nakładka zatrzymuje pieniądze i klient często odchodzi przekonany, że urządzenie zepsuło się. Tymczasem system traktuje banknoty jako wypłacone i obciąża konto pobierającego. Później, najczęściej w nocy, przestępcy wydobywają zatrzymane banknoty.

Jak twierdzi rzecznik policji, nie ma tygodnia bez zatrzymania tego rodzaju przestępców. Będzie ich coraz więcej, bo warszawski proces utwierdza oskarżonych w poczuciu bezkarności.

Helena Kowalik

WYDAWNICTWO ISKRY POLECA

Jerzy Pietrkiewicz
Trzeci Adam
Opowieść o mariawitach

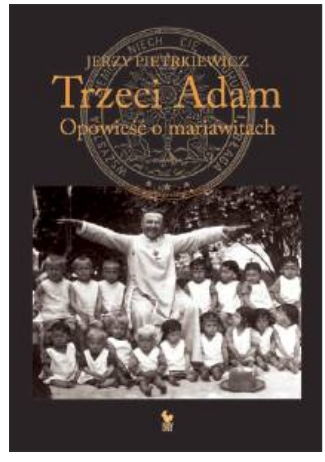

Autor i z pasją opowiada o dramacie wiary radykalnej, wprost szaleńczo próbującej się wydobyć na absolutną wolność. I przekroczyć rozmaite granice religijne, kulturowe, moralne. Ale i o dramacie wiary spętanej przez pisane nam pokusy ducha i żądze ciała. Nie mamy tutaj więc do czynienia tylko ze znakomitym śledztwem w sprawach losów jednego człowieka – Jana Marii Michała Kowalskiego, mariawickiego arcybiskupa i reformatora. Tylko z opowieścią o jego wielkim triumfie i żałosnym, tragicznym upadku, o jego charyzmie i pohańbieniu, o jego talentach i przyziemnych małościach, o podejrzanych objawieniach, snach i nowatorskich wizjach przebudowy Kościoła.

Jan Gondowicz
Flirt z Paralipomeną
Mitologie

Paralipomena to w żargonie filozofów myśli właściwie zbyteczne, z którymi autor nie umiał się rozstać. W piątym zbiorze szkiców Jan Gondowicz odkrył, że patronuje im bogini (grecka oczywiście) Paralipomena, która broni praw wiedzy niekoniecznej. Pod jej władzą znalazły się więc w książce rozważania o sztuce korumpowania królów, jedzeniu kalafiorów, zasadach zabijania stryjów, znajdowaniu zgubionych scyzoryków, błędach przy uwodzeniu, prowadzeniu sklepów tekstylnych, mowie płazów, bufiastych spodniach, karmieniu rekinów i budowie domów w parku narodowym. 46 szkiców i esejów, a tematów tyle, ile czytelnik zechce się doczytać.

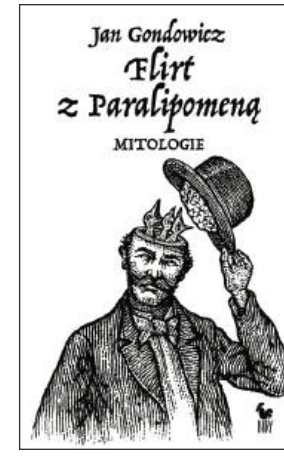

eprasa.pl 7caae2c074

Futbol jako wehikuł czasu

Lubię filmy, które niewiele podpowiadają. Wolę wiedzieć za mało, bo wtedy czuję, że ktoś traktuje mnie jak partnera do dyskusji

Rozmawia Wojciech Tutaj

Twój krótkometrażowy film „Taniec w narożniku" miał premierę na tegorocznym festiwalu w Cannes i był tam jednym z nielicznych polskich akcentów. Można się poczuć onieśmielonym na Lazurowym Wybrzeżu?

– Wbrew pozorom festiwal nie był onieśmielający, bo mój film został pokazany w bocznej sekcji Tydzień Krytyki, która wyróżnia się dobrą organizacją. Wszystko odbywa się w przyjacielskiej atmosferze i wydaje się bardzo kameralne. Podejrzewam, że w konkursie głównym twórcy spotykają się z większą presją i napięciem, ale my czuliśmy się jak członkowie jednej dużej rodziny. Nie mogę narzekać, ponieważ wygraliśmy los na loterii, uczestnicząc w imprezie tej rangi. Pobyt na Lazurowym Wybrzeżu był oczywiście intensywny i męczący fizycznie. Mieliśmy napięty harmonogram, musieliśmy brać udział w licznych spotkaniach i wydarzeniach towarzyszących, a nie przyjechaliśmy na cały festiwal. Cieszymy się jednak podwójnie, że mogliśmy prezentować film przed canneńską widownią. Dzięki wsparciu Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej i Instytutu Adama Mickiewicza udało się zebrać na miejscu dużą część ekipy. Te osoby poświęciły swój wolny czas, żeby pracować zeszłego lata nad „Tańcem w narożniku" i chciałem im to jakoś wynagrodzić.

Jak traktujesz nagrodę, którą przyznało ci Stowarzyszenie Kolejarzy Kinomanów, Ceux du rail, czyli Złotą Szynę?

JAN BUJNOWSKI

– (ur. w 1994 r.) reżyser i scenarzysta filmowy. Absolwent reżyserii i doktorant w PWSFTviT w Łodzi. Wcześniej studiował dziennikarstwo i historię sztuki na UW. Jest laureatem Nagrody MKiDN dla studentów uczelni artystycznych za wybitne osiągnięcia. Jego „Diabeł" otrzymał Specjalne Wyróżnienie Jury w Clermont-Ferrand. „Taniec w narożniku" będzie miał polską premierę w sekcji Shortlista na Międzynarodowym Festiwalu mBank Nowe Horyzonty (18-28 lipca).

– Mój kolega Dawid Bodzak, który pokazywał film „Krokodyl" w tej samej sekcji w 2023 r., wspominał o podobnej nagrodzie. Nigdy wcześniej o niej nie słyszałem. Oczywiście bardzo się ucieszyliśmy z wyróżnienia i poszliśmy na małą ceremonię odebrania Złotej Szyny. Stowarzyszenie Kolejarzy Kinomanów działa przy festiwalu od prawie 30 lat. To trochę nie pasuje do medialnej otoczki Cannes, które słynie z blichtru i przepychu. Potraktowaliśmy ten laur jak nagrodę publiczności, bo komisja przyznająca Złotą Szynę składa się z kilkudziesięciu osób. Spędziliśmy prawie godzinę na gali, porozmawialiśmy z francuskimi kolejarzami i odrobinę się wzruszyliśmy. Jeden z nich podarował mi nawet książkę pod tytułem „Czerwony dywan w cieniu walki klasowej". A któraś z organizatorek opowiadała, że w tym roku podjęto sporo działań na rzecz docenienia pracowników niższego szczebla festiwalu. Budujący jest fakt, że wokół tak potężnego wydarzenia znajduje się przestrzeń dla związków kinomanów z różnych grup społecznych. Ich nagrody nie potrzebują dodatkowego prestiżu, a i tak stały się integralną częścią Cannes.

Od czego zacząłeś pracę nad „Tańcem w narożniku"? Narrator sugeruje, że każdy ma pierwsze wspomnienie, do którego wraca.

– Scenariusz powstawał dość długo, bo nie miałem deadline'u ani nie przygotowywałem filmu na zajęcia. Od pewnego czasu zbierałem scenki związane z piłką nożną i powoli układały mi się one w spójną całość. Bardzo chciałem, żeby opowieść nie

eprasa.pl 7caae2c074

dotyczyła wyłącznie sportu, ale niosła w sobie uniwersalny przekaz. Może zabrzmi to nieco pretensjonalnie, ale wszystko zaczęło się od snu, który do mnie wracał. Występuję w nim jako reprezentant Polski na dużym turnieju i niepostrzeżenie, w trakcie meczu, stadion zamienia się w garaż moich rodziców, w którym gramy z bratem. Bramkami są odpowiednio ustawione rowery, co wcale nie odbiera wydarzeniu powagi. Dalej rozgrywam najważniejszy mecz. W tym śnie widzę wszystko z perspektywy pierwszoosobowej.

Opisywana scena przez długi czas była częścią scenariusza, ale nieco przeredagowałem tekst. Z podobnych obrazów-wspomnień lepiłem „Taniec w narożniku". Nie bazowałem tylko na sytuacjach wyjętych z życia, dbając o odpowiednią strukturę i jasność przekazu. Bardziej zależało mi na zachowaniu emocji z przeszłości niż na odtwarzaniu konkretnych epizodów. Większość fragmentów pasuje więc emocjonalnie do moich przeżyć, ale jedynym ich wiernym odpowiednikiem jest bieganie za piłką na osiedlowym boisku.

Odtwarzanie własnych wspomnień to niebezpieczna pokusa czy naturalne paliwo dla filmu?

– Mógłbym się podpisać pod tym, że we wspomnianej strategii jest coś niebezpiecznego. Samo przenoszenie wspomnień na ekran stanowi łatwy trop, ale ważne, żeby ktoś chciał je później oglądać. Zmieniałem sceny tak, żeby wyciągać z nich coś powszechnie zrozumiałego, żeby każdy mógł się utożsamić z ekranowymi sytuacjami. Okazało się, że wspomnienie z bieganiem za piłką łatwo można zachować, bo dużo osób je ze mną dzieli. Niekoniecznie chodzi o samą czynność, ale o towarzyszącą jej emocję. Na etapie pisania scenariusza ściśle współpracowałem z montażystą, który czytał kolejne wersje i mówił o znaczeniu poszczególnych fragmentów. Zdarzało się, że brutalnie podsumowywał moje wybory i wyrzucałem scenę, którą bardzo lubię, ale która nie działała na korzyść historii. Starałem się więc nie ulegać pokusie bezpośredniego przepisywania wspomnień. Stąd też otwarcie filmu, które ma podważyć wiarygodność narratora. On formułuje dość wyraźne stanowisko, że właśnie tak pamięta przeszłość. I trudno z nim polemizować. Nikt przecież nie nosi w głowie ostrych obrazów z dzieciństwa. Wstęp wyznacza konwencję daleką od realizmu, bo wspomnienia się mieszają, zacierają, nie wiadomo, które z nich są prawdziwe. Dzięki temu zostawiliśmy sobie dużą wolność.

Z czym kojarzy ci się okres transformacji ustrojowej i lata 90., które są tłem dla dorastania głównego bohatera? Urodziłeś się w 1994 r., czyli nieco później niż twoja postać.

– Trudno mi wymienić konkretną rzecz, ale dzieciństwo i wczesna młodość zawsze układają się w magiczny okres. Nawet kiedy mój dziadek wspomina swoje pierwsze świadome lata, które przypadły na II wojnę światową, mówi o wielu niezwykłych zdarzeniach. Nieważne więc, czy dorasta się w okresie transformacji, czy nie, zawsze istnieje jakaś wspólnota doświadczeń. Słusznie zauważyłeś, że mój bohater jest trochę starszy ode mnie, bo chciałem, żeby jego indywidualna historia wpisała się w losy kraju i oddawała emocje wielu rodaków, niekoniecznie z tego samego pokolenia. Piłka nożna też należy do moich wczesnych wspomnień. Szukałem dziedziny, którą zajmowałbym się od zawsze, a ponieważ pasja filmowa nadeszła później, padło na futbol. Kibicuję i gram nieprzerwanie od dziecka i mogłem użyć sportu jako wehikułu czasu. Może to nawet trochę smutne, że futbol stanowi jedyny łącznik między moją przeszłością a teraźniejszością.

Jak oceniasz transformację, będąc przedstawicielem młodego pokolenia? Zdominowały ją iluzje i wyobrażenia?

– Myślę, że dokładnie tak było, przynajmniej na poziomie emocji. Oczekiwania wobec transformacji mieliśmy chyba dużo większe, a na którymś etapie po prostu się zatrzymaliśmy. Nie posuwaliśmy się już ani do przodu, ani do tyłu, pozbawieni wiedzy, co zrobić dalej. Nawiązując do tytułu mojego filmu, mógłbym powiedzieć, że zeszliśmy do narożnika we współczesnej Europie. Z perspektywy osoby, która nie śledziła świadomie procesów polityczno-ekonomicznych, trudno dokonywać ocen, ale da się złapać ogólne emocje. Pokolenie naszych rodziców i dziadków widzi oczywiście Polskę po roku 1989 inaczej. Pobrzmiewa w ich głosach lekkie rozczarowanie, wynikające z rozminięcia się wyobrażeń z rzeczywistością. Myślę, że nasiąkałem taką energią, gdy dorastałem i wsłuchiwałem się w relacje krewnych i znajomych. Później nieco łatwiej podsumować te opinie i zebrać w jedną spójną myśl na ekranie.

Może to nawet trochę smutne, że futbol stanowi jedyny łącznik między moją przeszłością a teraźniejszością.

„Taniec w narożniku" pokazuje zależność między rozczarowaniem transformacją a coraz większym zawodem sprawianym wynikami piłkarzy. Szybko dostrzegłeś tę analogię?

– Najpierw rozpisałem sobie prywatną historię bohatera, choć niektóre sceny oczywiście się zmieniały, i pomyślałem, że jest trochę za prosta. Trzeba było dołożyć coś bardziej uniwersalnego, przekraczającego wątki stricte piłkarskie. Szukałem tematu, który wciągnie opowieść na wyższe piętro, i skupiłem się na przemianach w wolnej Polsce. Unikałem jednak oczywistości i banału. Stroniłem od scen mówiących wprost o tamtym okresie, chciałem zostawić więcej miejsca dla interpretacji widza. Nie wspominam choćby o sukcesie Polaków na olimpiadzie w 1992 r., bo za mocno zbliżyłbym się do faktografii. Z fabuły jasno wynika, że jest nieźle, drużyna narodowa strzela bramki, gdy telewizor w domu bohatera się zacina. Szersza diagnoza stanu polskiej piłki nie wyglądałaby pewnie tak kolorowo, ale ważne są emocje rodaków. A pamiętna porażka ze Słowenią w 2009 r. sama się napisała, wiedziałem, że musi wejść do filmu.

eprasa.pl 7caae2c074

„Taniec w narożniku", krótkometrażowy film w reżyserii Jana Bujnowskiego.

Pierwotnie myślałem, że zdobycie praw do nagrania z legendarnym komentarzem Dariusza Szpakowskiego będzie niemożliwe. Czekaliśmy aż trzy miesiące na odpowiedź od TVP i przygotowywałem się powoli do odtworzenia tego monologu z jakimś aktorem. Nagle przyszła wiadomość, że dziennikarz się zgadza i możemy korzystać z oryginalnych materiałów. Dla widzów zagranicznych ten komentarz nic nie znaczy, ale dla mnie ma charakter niemal formacyjny. Liczę, że kiedyś pokażemy panu Dariuszowi nasz film.

Dlaczego telewizor odgrywa tak ważną rolę w życiu bohatera i jego rodziny?

– Telewizor wydał mi się najlepszym sposobem na pokazanie pewnej progresji – przejścia od względnie dobrego do najgorszego stanu. Posłużył też do zilustrowania tematu wyobrażeń. Bohaterowie cieszą się ze zdobytych goli, nie widząc samych akcji, bo obraz się zacina. Ich wyobrażenia nakładają się na szum telewizyjny i pojawia się sugestia, że to, o czym fantazjują, nigdy nie było prawdziwe. Później brutalnie okazuje się, że wierzyli w coś zmyślonego. Psujący się telewizor rymuje się z wątkiem złudzeń po transformacji. Co więcej, dla naszego pokolenia telewizor jest reliktem przeszłości, dlatego od razu chciałem go umieścić w filmie. Nikt już nie ogląda telewizji w tradycyjnym stylu. Sceny ze wspólnym siedzeniem przed ekranem i śledzeniem jakiegoś programu wydają się tylko wspomnieniem z dzieciństwa. Nie czekamy na konkretną godzinę, żeby zdążyć na ulubiony serial, bo korzystamy ze streamingu. Zatrzymujemy i włączamy odcinki, kiedy chcemy. Jedynie transmisje sportowe zmuszają nas do odpalenia telewizora o danej porze. Nie traktujemy go też jako okna na świat, zwłaszcza z powodu coraz większego upolitycznienia mediów publicznych. W pierwszej kolejności odrzucamy właśnie przekaz telewizyjny, kształtowany odgórnie.

A z czego wynikło ograniczenie liczby bohaterów do dwóch? Na ekranie śledzimy tylko relację ojca i syna.

– Odpowiedź jest praktyczna. „Taniec w narożniku" to film niskobudżetowy i niezależny, więc nie mieliśmy środków na rozbudowywanie świata przedstawionego. Jednocześnie chciałem zachować kameralność historii oraz prostotę relacji między postaciami. Nie planowałem wprowadzać dodatkowych wątków. Odseparowanie dwóch bohaterów i ograniczenie ich interakcji ustawia od razu nierealistyczny charakter filmu. Wyzwala pewną magię.

Ten kierunek wydał mi się odpowiedni. Miałem oczywiście z tyłu głowy myśl, że ludzie będą dopytywać o rolę matki. Wprawdzie w jednym z ujęć kobieta gdzieś przemyka, lecz może pozostać niezauważona. Doszedłem do wniosku, że warto zaufać widzom, że sami znajdą odpowiedzi na nurtujące ich pytania. Ktoś pomyśli, że matka zmarła, ktoś inny wskaże bardziej przyziemny powód. Czasem lepiej niczego nie tłumaczyć, zostawić odbiorcę z jego interpretacjami i wątpliwościami. Według mnie widzowie są mądrzejsi, niż sądzimy. Sam jako widz lubię filmy, które podejmują klarowne decyzje i niewiele podpowiadają. Wolę wiedzieć za mało, bo wtedy czuję, że ktoś traktuje mnie jak partnera do dyskusji.

Pewnym zaskoczeniem jest obecność elementów nadrealistycznych i duchowych w tej historii. Pochodzą z wyobraźni dziecka?

– Z pewnością wchodzimy na ekranie w dialog z dziecięcą wyobraźnią, bo pozwala nam na to historia o dojrzewaniu głównego bohatera. Czułem też, że tematy związane ze śmiercią i przemijaniem nie powinny być przedstawione zbyt bezpośrednio. Wtedy tracą swoją moc. Widzieliśmy już dużo podobnych realistycznych reprezentacji w kinie i sztuce, a kontakt z nimi bywa bolesny i trudny. Poszukiwałem zatem obrazów, które łączą w sobie więcej emocji niż ból. Myślę przede wszystkim o scenie śmierci ojca. Chciałem pomieszać autentyczny szczery smutek z pierwiastkami komizmu i dziwności.

Ważne wydarzenia z naszego życia najczęściej zawierają w sobie pełen katalog emocji i nie da się wyróżnić tej jednej dominującej. Idąc tym tropem, nie dzielę scen na dramatyczne i śmieszne. Dobrze jest łączyć nieprzystające do siebie stany ducha, niezależnie od efektu końcowego. Widz może nie wiedzieć, jak sobie poradzić z naszą koncepcją, ale ustaliliśmy już, że jest mądry i chwyci się bliższej mu emocji.

Pokolenie rodziców i dziadków widzi Polskę po roku 1989 inaczej. Pobrzmiewa w ich głosach lekkie rozczarowanie, wynikające z rozminięcia się wyobrażeń z rzeczywistością.

Wojciech Tutaj

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 7caae2c074

Do lasu (odc. 1)

Wojciech Kuczok

Marek zwany podwójnym

Głupi Eryś może i nie był taki z urodzenia, tylko za dużo się uczył. Pierwszy w klasie umiał czytać, ale się nie przyznawał, żeby nie drażnić innych, którym składanie liter szło opornie. Z rachunkami było gorzej, bo jak litery składały się w słowa, te w zdania, a zdania w opowieści, tak od cyferek myśli mu uciekały. Ile by wzorów nie wykuł na blachę, i tak potykał się w prostych działaniach, bo Eryś łatwo i chętnie się rozpraszał; mógł bezbłędnie rozwiązać równanie z dwiema niewiadomymi prawie do samego końca, by ostatecznie pomylić znak mnożenia z plusem. Chwile nieuwagi podczas lektury nie wypaczały treści, między słowami kryły się miejsca dla rozkojarzeń, zaczytany Eryś po wielekroć wysnuwał własne wątki poboczne, aby potem bezkarnie wrócić do tekstu, tymczasem matematyka wymagała bezbłędności i skupienia. Mogło to być rodzinne, bo ile by się jego ojciec nie narachował, zawsze mu brakowało pieniędzy po wypłacie, i przecież nie dlatego, żeby przepijał w drodze do domu. Ojciec Erysia, Karol, zwany Suchym, od kiedy pamiętano, zawsze się wymawiał od wypitki, kielicha nie tknął, „Mało nie lubię, a dużo nie mogę", mówił, więc musiał kiedyś pić, lecz dawno i na osobności, bo najstarsi górale, ci o trzeźwej pamięci, mieli Karola za upartego abstynenta. Brakowało pieniędzy, bo Karol za dużo pracował – tak to już się na tym świecie porobiło, że jedni harują za psi grosz, a innym manna spada z nieba, Suchy Karol za późno dostrzegł w tym regułę. Od dziecka miał smykałkę do drewna, z byle patyka umiał wydłubać duszę, z wiekiem rozwinął talent tak, że mógłby założyć własną stolarnię, ale jak się już raz za młodu zatrudnił w zakładzie, pozostał mu wierny. Uczciwie i cierpliwie robił z drzwi, krzeseł i innych mebli dzieła sztuki, za które całą chwałę zbierał właściciel, firmujący swoim nazwiskiem wszelkie wyroby – Karol pracował sumiennie, więc nie miał czasu dorabiać na boku.

– Pieniądz jest po to, żeby go zaraz nie było, a mnie w życiu potrzeba stałości – tłumaczył. – Wolę mieć stałą pracę niż niestały pieniądz – dodawał, kiedy go kusili prywatnymi zleceniami, kiedy mu tłumaczyli, że daje się rżnąć na kasę, bo chociaż to on ciągnie stolarnię na swoim talencie, ma szefa darmozjada nieskorego do podwyżek. Właścicielem zakładu był Marek Marek, zwany we wsi Podwójnym, tak dla odmiany, albowiem jego nazwisko nosił co trzeci w dziedzinie, lubić go nie było za co, szarogęsił się jeszcze za komuny, a dusigrosz był z niego taki, że wolał zatrudniać lebiegi niż prawdziwych majstrów, żeby mniej płacić. Renomę firmie i tak zapewniał Suchy, wystarczyło, że miał pomagierów zdolnych do heblowania i dźwigania ciężarów. Podwójny spasł się na cudzym niedostatku, to i podbródek mu się podwoił; żarł i pił za dwóch, a ego miał tak wielkie, że nie tylko parobczakom kazał używać wobec siebie pluralis maiestatis, ale i własnym dzieciom, których, trzeba przyznać, napłodził szczodrze. Jak za dziada i pradziada pańszczyźnianego dziatwa zwracała się do Podwójnego po prośbie: „Ojciec, dajcie; Papo, wspomóżcie", a Marek Marek przelewał i wspomagał tak, że potomstwo złego słowa nie dało na niego powiedzieć. Karola na wielodzietność stać nie było, ot, przytrafił się Eryś, którego wykarmić i wyuczyć się udawało nie bez wyrzeczeń. Żona Suchego, Hanna, była robotna, chodziła sprzątać po pensjonatach, a że przybywało ich z każdym sezonem, jakoś ciułali grosz do grosza. Bywało, że zarabiała więcej od męża, co skrzętnie przed nim ukrywała nie po to, aby sobie pozwalać na zbytki, ale by go nie przygnębiać. Jeszcze się chłopom w głowach nie pomieściło, że kobiety mogą zarabiać równo z nimi, a co dopiero, że lepiej od nich.

Głupiś ty, Karol, jaki uczciwy, taki głupi – powiadali i poklepywali go może nawet i z szacunkiem, albo i zazdrością, bo nie każdego stać na to, żeby uczciwie klepać biedę.

– Karol, Podwójny znowu bęben opala na Kanarach, a tyś nawet Bałtyku nie widział. Założyłbyś własną działalność, wyszedłbyś na swoje – mówiły zatroskane sąsiady.

– Nic mi do tego, jak kto wydaje pieniądze. A cóż mi po takim morzu, jak ono zawsze i wszędzie takie samo – płaskie i niebieskie po horyzont. W telewizji widziałem, wystarczy. A u nas każdy pagórek inny, każda dolina, każda skała, las kolory zmienia i ja mam na to przez cały rok widok z okna, za który płacić nie muszę. A od leżenia brzuchem do góry jeszcze nikomu zdrowia nie przybyło.

– Głupiś ty, Karol, jaki uczciwy, taki głupi – powiadali i poklepywali go może nawet i z szacunkiem, albo i zazdrością, bo nie każdego stać na to, żeby klepać biedę. Karol bał się zmian bardziej niż nędzy, gdyby zatem kiedyś w dniu wypłaty wyliczył, że na nic mu nie brakuje, że wszystkie rachunki da się popłacić i jeszcze zostanie na zaś, przeraziłby się i pewnie oddał nadwyżkę (cdn.).

Na czas wakacji zamiast felietonów autor przygotował nowelę w odcinkach. W tym numerze premiera pierwszego.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7caae2c074

FESTIWAL

30. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce
Adam Makowicz – solo piano
Marek Napiórkowski Sextet

To 30. lato pod znakiem jazzu na najwyższym poziomie – jest co świętować, a popularny festiwal zaczyna obchody już w piątek. Tym razem nie w plenerze, ale w Studiu Koncertowym Polskiego Radia, gdzie wystąpi mistrz fortepianu Adam Makowicz. Zaprezentuje materiał z jednego z najnowszych albumów, „Welcome Back, Adam", który jest klamrą spinającą 45 lat działalności artystycznej wirtuoza. W sobotę zaś, w tradycyjnej lokalizacji, zagra sekstet gitarzysty Marka Napiórkowskiego – zespół osobowości, który śmiało można określić mianem Polish All Stars. A w kolejne soboty usłyszymy m.in. trio Christiana Sandsa, kwintet Agi Zaryan, Włodzimierza Nahornego i Piotra Schmidta, trio Emmeta Cohena. Na wszystkie koncerty wstęp wolny, bezpłatne wejściówki na ten 5 lipca w kasie w dniu koncertu od godz. 19 (nie ma rezerwacji telefonicznej). *(ap)*

Więcej na: www.jazznastarowce.pl, www.facebook.com/festiwaljazznastarowce.

Warszawa, Studio Koncertowe PR im. Witolda Lutosławskiego, 5 lipca, godz. 20
Rynek Starego Miasta, 6 lipca, godz. 19

MIĘDZY OKŁADKAMI

Dorota Ponińska
Maria. Dziesięć dni z życia Konopnickiej
Lira, Warszawa 2024

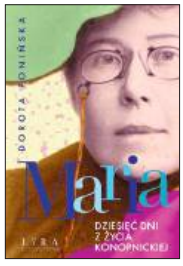

Maj 1910 r. Konopnicka ma 68 lat, mieszka na wsi, w domu, którym „wdzięczny naród" obdarował swoją wieszczkę na 20-lecie twórczości, ale który poetka zawdzięcza tak naprawdę Orzeszkowej. I właśnie, sama niedomagająca, dostaje wiadomość o śmierci przyjaciółki. Te umowne dziesięć dni (ostatni jest już z października) to głównie napływ wspomnień: z pensji sakramentek, gdzie pierwszy raz zobaczyła Elizę, z rozczarowującego małżeństwa, samodzielnego zarabiania na utrzymanie siebie i gromadki dzieci. Urodziła ośmioro, nie wszystkie przeżyły, od jednej z córek odcięła się i ta myśl też wraca, by ją dręczyć. Zarazem mamy tu subtelny i ciepły opis wspólnego życia dwóch Marii. Konopnickiej towarzyszy bowiem Dulębianka, malarka i feministka. Naturalny jest więc wątek walki o prawa kobiet, o swobodę kształcenia się i kształtowania umysłu. O własny głos w społeczeństwie, które wymaga, by wpasowywać się w oczekiwania. *Aleksandra Pańko*

ZASŁUCHAJ SIĘ

Cyprien Katsaris
Polonaises. Melancholic & Heroic
NIFC

Przed Chopinem był polonez, po Chopinie też grano polonezy. Ten taniec, raz melancholijny, raz bojowy, dziarski i bohaterski, towarzyszył Polakom przez niemal całe nowożytne dzieje. A najczęściej pojawiał się wtedy, gdy Polska znikała z mapy Europy. 16 takich utworów nagrał francuski pianista cypryjskiego pochodzenia, jeden z najwybitniejszych, Cyprien Katsaris. Wśród wybranych na płytę polonezów znalazł się ten skomponowany przez... Tadeusza Kościuszkę. *Bronisław Tumiłowicz*

NA EKRANACH

Nęcące zła

Jasno wszędzie, gwarno wszędzie, co to będzie, co to będzie! Kilka lat temu Ari Aster pokazał, że nie tylko Halloween może emanować złą energią. Teraz światło dzienne ujrzała reżyserska wersja jego „Midsommar", w którym bohaterowie – amerykańscy studenci antropologii – jadą na szwedzkie zadupie, gdzie żyje podług tradycji mała społeczność. Wspólnie celebrują przesilenie letnie, z którym tu związany jest przedziwny ceremoniał. Dość powiedzieć, że w ciągu kilku dni ktoś rzuci się ze skały, ktoś inny zostanie wybrany na dawcę nasienia, a jeszcze inna osoba zgłosi się wolontaryjnie na ofiarę bogom. Film okrzyknięto sztandarowym etnohorrorem. Reżyserowi zależy nie na tym, żebyśmy kilka razy podskoczyli ze strachu na fotelu, tylko na budowaniu klimatu niepokoju. I pokazaniu, jak nęcące może być zło. Ekranowych antropologów urzeka etnograficzne piękno święta (wydobywają to rewelacyjne zdjęcia; kapitalnie nakręcona jest scena, w której przy gigantycznym stole aktorzy jeden po drugim podnoszą sztućce, co przypomina domino), ale i to, że społeczność żyje poza normami prawa. Tylko czy tam, gdzie prawo nie istnieje, można czuć się bezpiecznym? *Artur Zaborski*

Midsommar. Wersja reżyserska
reż. Ari Aster, prod. USA/Szwecja, dostępny na VoD

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWKI, PIOTR POWIETRZYŃSKI, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 7caae2c074

JACEK PAŁKIEWICZ

PÓŁ WIEKU REPORTERSKICH PODRÓŻY

Wyprawy w poszukiwaniu osobliwości ginących cywilizacji, niezwykłych krain i ludzi osiadłych w odległych regionach

HUAORANI

1

JACEK PAŁKIEWICZ – reporter, eksplorator, odkrywca źródła Amazonki, twórca survivalu w Europie; www.palkiewicz.com

Jeszcze kilkanaście lat temu trafienie do znanej z agresywności wspólnoty indiańskiej Huaorani, zamieszkującej jeden z rozległych i mało zbadanych rejonów ekwadorskiej dżungli nad rzeką Napo, po granicę peruwiańską, było dużym wydarzeniem. Już od pierwszego kontaktu z naszą cywilizacją w 1958 r. grupa licząca mniej niż 100 osób była niezbyt przyjaźnie ustosunkowana do białych. Niestety, pomimo wysiłków międzynarodowych kampanii solidarnościowych mających na celu obronę Indian, los Huaorani, tak jak sąsiednich Tagaeri, jest przesądzony, bo każda wizyta u nich to nieunikniony początek procesu rozpadu ich kulturowej tożsamości.

eprasa.pl 7caae2c074

2

5

6

9

eprasa.pl 7caae2c074

3

4

7

8

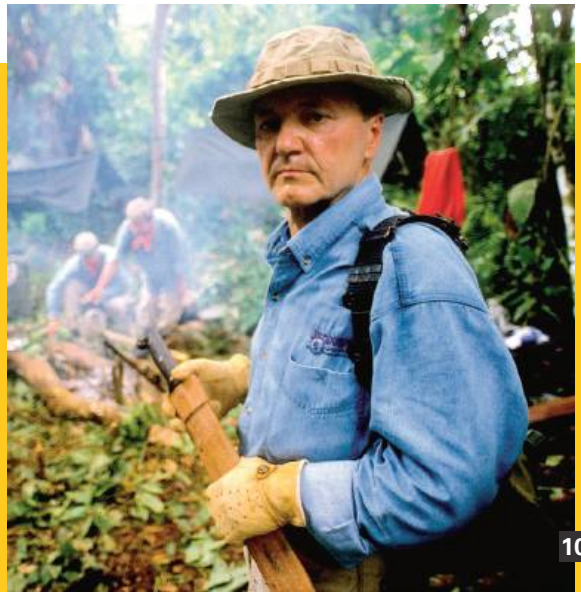

10

1. Huaorani odpierali zakusy kolonistów.
2. Na rzece Coconaco.
3. Ostatni Tagaeri z grupy Huaorani.
4. Codzienne czynności.
5. Drapieżna pirania.
6. Obowiązkowe domowe ognisko.
7. Małpa jest tu przysmakiem.
8. Higiena głowy.
9. Zielony baldachim dziewiczej puszczy.
10. Autor.

ZDJĘCIA: ARCHIWUM J. PAŁKIEWICZA

eprasa.pl 7caae2c074

Paweł Średziński

Na grzyby

W Puszczy Knyszyńskiej sezon trwa cały rok

Kiedy myślę o moich pierwszych spotkaniach z Puszczą Knyszyńską, przychodzą mi na myśl wyprawy po owoce runa leśnego. W latach 80. babcia zabierała mnie na zbiór grzybów i jagód. Jeździło się też po leśne maliny. (…) Babcia nauczyła mnie rozpoznawania grzybów. Czubajki w panierce, bigos i pierogi z grzybami, kurki na maśle, rydze z patelni – tym żywiliśmy się w czasach, kiedy nie królowała jeszcze przetworzona żywność. (…)

Grzybobranie jest dziś najczęstszym powodem wycieczek do lasu. Kiedy pojawiają się grzyby, puszcza roi się od ludzi. Przez resztę roku jest znacznie bardziej kameralnie, chociaż należy zaznaczyć, że nawet w sezonie grzybowym ludzie nie docierają do najodleglejszych zakątków puszczy i nie chodzą tam, gdzie las jest przyrodniczo najcenniejszy – bo nie znajdą tam cenionych gatunków jadalnych. (…)

To, jakie grzyby występują na danym skrawku lasu, zależy od rodzaju siedliska. Inne gatunki pojawią się w borach, inne w lasach liściastych, jeszcze inne na bagnie. Sama Puszcza Knyszyńska obfituje w bardzo różne siedliska. Zdaniem ekspertów 60% jej powierzchni to siedliska borowe, przy czym panuje wśród nich spore zróżnicowanie, istnieje bowiem wiele rodzajów borów – od borealnej świerczyny na torfie po bory brusznicowe i czernicowe. Około 30% lasów to siedliska grądowe. Pozostałe 10% zajmują łęgi i olsy. W wypadku grzybów ważne są jeszcze inne dane.

Eksperci uważają, że 13% powierzchni Puszczy Knyszyńskiej – zajmowane przez rezerwaty i niedostępne lub trudno dostępne bagna – można uznać za siedliska naturalne. Na obszarze Parku Krajobrazowego Puszczy Knyszyńskiej przeważają zaś siedliska zbliżone do naturalnych. Razem z siedliskami naturalnymi stanowią aż 62% powierzchni parku.

W 2019 r. Park Krajobrazowy Puszczy Knyszyńskiej wydał opracowanie poświęcone grzybom przygotowane przez zespół wybitnych mykologów. Okazuje się, że na terenie tego kompleksu leśnego stwierdzono występowanie 1376 taksonów – czyli gatunków, odmian i form grzybów – w tym 26 gatunków chronionych, 267 gatunków z czerwonej listy grzybów, 101 gatunków nowych dla Polski i 148 gatunków w większości znalezionych po raz pierwszy na terenie naszego kraju w XXI w. To imponujący wynik. Lista z pewnością będzie się wydłużać, ale na razie problemem Puszczy Knyszyńskiej jest brak wystarczającej liczby badaczy. Ten wielki las zasługuje na szczególną uwagę świata nauki – nie tylko jeśli chodzi o świat grzybów.

Same grzyby klasyfikuje się na różne sposoby. Mówi się o grzybach mikroskopijnych – niezauważalnych gołym okiem – i o grzybach wielkoowocnikowych. To podział wprowadzony przez ludzi i nieprzyjmowany przez wszystkich badaczy. Dyskusji nie ulega rola, jaką grzyby odgrywają w przyrodzie. Są jej integralną częścią i wskaźnikiem stanu zachowania bioróżnorodności. Część grzybów żyje w symbiozie z drzewami – wspiera ich rozwój i wzrost, zaopatrując rośliny w związki mineralne. W zamian rośliny umożliwiają grzybom pobieranie związków organicznych. Odbywa się to z obopólną korzyścią. Są też grzyby, które osłabiają żywe drzewa, a nawet doprowadzają do ich obumierania.

Wiele gatunków grzybów bierze udział w rozkładzie materii organicznej, specjalizując się w zasiedlaniu poszczególnych części roślin: pni, liści, drobnych gałęzi, igieł czy szyszek. Grzyby pojawiają się również na mniej oczywistych podkładach. Część wyspecjalizowała się w rozkładaniu zwierzęcych odchodów roślinożerców. Wśród nich mamy m.in. gatunek nazwany kołpaczkiem łosiowym. Są też grzyby, które pojawiają się tam, gdzie ktoś palił ognisko albo gdzie pojawił się pożar. Mamy również grabarzy grzybów, czyli grzyby występujące na innych grzybach. Wyspecjalizowały się one w pasożytowaniu na starych owocnikach i grzybni. Wreszcie mamy grzyby zasiedlające organizmy owadów – różne gatunki maczużników, które pasożytują na motylach czy chrząszczach.

•

Osobą, która o grzybach Puszczy Knyszyńskiej wie najwięcej, jest Mirosław Gryc. Na co dzień mieszka w Ogrodniczkach, ulokowanych tuż u puszczańskich wrót, a zawodowo nie zajmuje się nauką. Grzybów szuka w czasie wolnym od pracy, a jego osiągnięcia budzą uznanie najsławniejszych mykologów Polski i całego świata. W internecie znajdziemy specjalną stronę poświęconą grzybom Puszczy Knyszyńskiej i jej okolic. Prowadzi ją właśnie pan Mirosław. Już pobieżne przejrzenie tej strony pokazuje ogrom pracy, który wkłada w jej funkcjonowanie. (…) Choć jest to w zasadzie „wykaz" grzybów występujących na terenie Puszczy Knyszyńskiej, w odrębnych zakładkach możemy również znaleźć porady dla grzybiarzy. Mirosław Gryc pisze: „Na tej stronie na pewno nie znajdziecie wszystkich gatunków jadalnych,

Świat grzybów jest wciąż niedokładnie zbadany. Co chwila znajduje się nowe gatunki.

eprasa.pl 7caae2c074

Świecznica należy do grzybów rzadkich.

a to ze względu na to, że jest ich dość pokaźna ilość. Nie wszystkie są jednak godne uwagi i dlatego też bardzo chętnie ograniczyłbym się do tych najbardziej popularnych. Ze względu jednak na bardziej ambitnych grzybiarzy, którzy chcieliby poszerzyć zbierany asortyment, nie omieszkam wspomnieć o kilku (może kilkunastu) gatunkach mniej popularnych, a jednak bardzo atrakcyjnych. Poznanie tych gatunków daje możliwość wydłużenia okresu grzybobrań praktycznie na cały rok, oczywiście z pominięciem okresów silnych mrozów. Mój okres zbiorów grzybów jadalnych rozpoczyna się najczęściej już w maju, a niekiedy nawet już i w kwietniu, w zależności od panujących warunków atmosferycznych. Jako pierwszy jadalny gatunek pojawia się w Puszczy Knyszyńskiej łuszczak zmienny (*Kuehneromyces mutabilis*). Po nim przychodzi pora na żółciaka siarkowego (*Laetiporus sulphureus*) oraz gęśnicę (majówkę) wiosenną (*Calocybe gambosa*). Miesiące typowo letnie, lipiec i sierpień, najczęściej na terenie Polski Północno-Wschodniej są skąpe w opady deszczu i dlatego w tym okresie trudno jest znaleźć jakiekolwiek grzyby, a już szczególnie gatunki jadalne. Zdarzają się jednak okresy bardziej wilgotne i wtedy możemy wyruszyć do Puszczy Knyszyńskiej w poszukiwaniu borowika usiatkowanego (*Boletus reticulatus*), który to właśnie preferuje ciepłe miesiące letnie. Niejednokrotnie zbierałem go już w lipcu, i to nawet w pokaźnych ilościach. Innym rodzajem, którym warto zainteresować się w miesiącach letnich, jest gołąbek (*Russula*).

Okres jesienny to już zupełnie inna bajka. Mnóstwo różnych gatunków grzybów jadalnych powoduje, że nawet nie myślimy o gatunkach mniej popularnych. Zazwyczaj jednak szybko kończy się, co jednak nie musi oznaczać zarazem końca sezonu grzybowego. Miesiące późnojesienne obfitują w różne gatunki gąsek (*Tricholoma*). W tym samym okresie, a nawet i jeszcze później wyrasta dość mały niepozorny grzyb z rodzaju wodnich (*Hygrophorus*). Jest nim wodnicha późna (*Hygrophorus hypothejus*), która co prawda nie osiąga dużych rozmiarów, ale za to występuje w swoich siedliskach zazwyczaj masowo (…).

Listopad i grudzień są miesiącami, w których swoje spiżarnie możemy zapełnić dziko rosnącym gatunkiem boczniaka. Jest nim boczniak ostrygowaty (*Pleurotus ostreatus*) (…)".

Autor strony internetowej zaznacza też, że grzybiarze niesłusznie pomijają mniej znane gatunki, które walorami smakowymi nie odbiegają od tych popularnych na naszych talerzach. Wśród tych grzybów godnych uwagi pojawia się płachetka kołpakowata, którą moja babcia nazywała kołpakiem. (…)

Spotykamy się w ciepły letni dzień. Trwa pora sucha, chociaż ostatniej nocy spadł obfity deszcz, a na drogach widać kałuże. Mój rozmówca ładuje do swojego samochodu drewno opałowe, na którego zabranie dostał zgodę od nadleśnictwa. Ruszamy pieszo leśną drogą w stronę Czołnowa, a ja od razu zadaję panu Mirosławowi pytanie, dlaczego zajął się grzybami (…)

Po chwili namysłu pan Mirosław odpowiada: „Takie pytanie to zadawano już mi kilka razy: dlaczego grzyby, a nie nic innego. W sumie to nie do końca prawda, interesują mnie i inne tematy. Z grzybami mam jednak wsparcie od innych ludzi, których poznałem właśnie dzięki grzybom. Akademie nauk, życzliwe osoby z prawie całego świata pomagają mi w rozwoju tej pasji. (…) Od samego dzieciństwa natura mnie interesowała. Ostatecznie zainteresowały mnie najbardziej grzyby. Moje poszukiwania zaczynałem w okolicach Ogrodniczek, bo tam zamieszkałem i miałem blisko. Później też w rejonie Czołnowa, gdzie teraz jesteśmy, bo dojazd tu był dobry. Jednak zanim pojąłem wystarczająco dużo w zakresie mykologii, to było tak: jestem w lesie. Tu nieznajomy grzyb, tam nieznajomy. A teraz? Teraz idę i większość gatunków już znam, z większością to już jesteśmy po imieniu". (…)

Nagle mój rozmówca przerywa i wskazuje: „Tu, jeśli pana by interesowało, mamy grzyby tęgoskóre, potocznie i mylnie przez niektórych nazywane purchawkami. Są w stanie zejściowym, bo wyschnięte. A tutaj chciałem jeszcze panu coś pokazać, bo tu jest jeszcze ciekawy grzyb, kustrzebka. Ona tu występuje, ale było dość sucho, więc nie wiem, czy nie powysychała. A jest taka wielka, że muszę okulary założyć. Jeszcze tydzień temu tu była. Mówię panu o niej, bo wszyscy wyobrażają sobie, że grzyby to tylko są kapeluszowe. Większość ludzi myśli, że grzyb to

eprasa.pl 7caae2c074

musi mieć kapelusz i trzon, a tu są zupełnie inne formy. Czarki, grzyby w formie buławy oraz inne. Jakby była teraz dobra pogoda dla grzybów i mokro, to występuje tu jeszcze parę ładnych i rzadkich w Polsce grzybów. Pokazałbym panu, ale w tej chwili ich na pewno nie ma. O! Są jednak te kustrzebki. Widzi pan? Ale są zejściowe. Teraz nie ma dobrych warunków dla rozwoju tego typu grzybów".

Po chwili Pan Mirosław wraca do opowieści o tym, jak rozwinęło się jego zainteresowanie grzybami: „(…) Kogokolwiek poznałem z mykologów, to zawsze na początku był kontakt internetowy. Później uczyłem się rozpoznawać nieznane mi wcześniej gatunki. Najpierw grzyby pospolite, później coraz rzadsze, a jeszcze później te, których prawie nie widać gołym okiem – i do tych był już potrzebny mikroskop. No i zaczęło się. Bo jak już jest mikroskop, to zaraz szukanie literatury, kolejne fora, nawiązywanie mykologicznych znajomości. A dziś grzyby z Puszczy Knyszyńskiej lądują na całym świecie".

Tak powstała – i wciąż powstaje – imponująca kolekcja pana Mirosława, o której tak opowiada: „W tej chwili z puszczy mam już zebranych ok. 2 tys. gatunków grzybów. Z tego jadalnych jest kilkanaście. Musi pan zrozumieć, że to są grzyby wielkości od 0,2 mm do tych wysokogabarytowych. Te grzyby, powiem panu, to jest naprawdę coś. Przy tym nie można się nudzić. A u mnie sezon na grzyby trwa cały rok. W tej chwili mamy suszę, to zazwyczaj w takich warunkach wybieram się na tereny podmokłe, gdzie również występują specyficzne gatunki. Zimą przy dużych mrozach grzyby też są, ale w formie utajonej, i trudno je znaleźć. Ale jak są odwilże, to oczywiście występują nawet wtedy grzyby jadalne, nawet w lutym, tak zwana zimówka, podobna kształtem do opieńki. Sezon grzybowy można przeciągnąć nawet do lutego".

Zimówkę, podobną do opieńki, można zbierać w lutym.

Idziemy dalej przez las, a po drodze mijamy gołąbki – pamiętam, że te grzyby z zielonymi kapeluszami zbierała moja babcia. Okazuje się, że pod tą nazwą kryje się sporo gatunków. Zatrzymujemy się na chwilę, a na moje wspomnienie o surojadkach – jak nazywała je babcia – pan Mirosław stwierdza: „Gołąbki są jadalne, ale do gołąbków stosuje się jedną zasadę: łagodny smak. Wystarczy mieć na tyle umiejętności, żeby rozpoznać rodzaj, a gatunki jadalne od niejadalnych szybko odróżnimy po tym, że te drugie są w smaku mocno piekące. Zalecam dużą ilość wody ze sobą brać, jeżeli ktoś ma zamiar zająć się zbieraniem gołąbków, oczywiście do płukania ust. Dosłownie jeden sezon i się opanuje całą podstawową wiedzę o tych grzybach niezbędną dla grzybiarza. A w tym roku już gołąbki się wysypały. To jest gołąbek zielonawy, jeden z gołąbków, który jest najmniej kruchy, więc bardzo dobry".

Z grzybobrań z babcią pamiętam jeszcze wołowe języki. Wspominam o nich panu Mirosławowi, który zauważa, że ich populacja szybko się zmniejsza, po czym zaznacza: „Ja akurat, jeśli chodzi o jadalne, to jestem laik, zbieram jadalne tylko okazyjnie, nigdy nie wybieram się specjalnie na grzybobranie. Nie szukam grzybów, żeby mieć co jeść. Gatunki jadalne zbieram przy okazji zbierania grzybów rzadkich. Często jest tak, że człowiek, który interesuje się grzybami, nie zbiera ich prawie wcale w celach konsumpcyjnych. Obecnie więcej czasu poświęcam mikroskopowaniu i literaturze. Biorę próbki do domu. Mam specjalne pomieszczenie do przechowywania tych próbek, żeby dłużej można było je utrzymać w odpowiednim stanie, bo wszystkiego od razu nie jestem w stanie przejrzeć. Dlatego zorganizowałem sobie miejsce, gdzie je przechowuję i systematycznie w tygodniu przerabiam. Czasem wystarczą dwie, trzy godziny pobytu w terenie. Jak się w tym czasie odpowiednio dużo uzbiera próbek, to mam zajęcie na tydzień. Sprzęt do mikroskopowania mam podstawowy. Oprócz tego pęsety, igły do pobierania próbek pod mikroskop, odczynniki chemiczne. A jak się okazuje, że znalazłem znów coś ciekawego z rodzaju, którego nie mikroskopuję, to przekazuję innym mykologom".

Pan Mirosław znów przerywa, żeby pokazać mi kolejny gatunek: „O tu mamy stożkówkę. Dużo gatunków tego rodzaju wyrasta na tych terenach".

Grzyby lubią martwe drzewa. Na jednym takim drzewie można znaleźć nawet kilkaset gatunków: od kapeluszowych po te mikroskopowe.

eprasa.pl 7caae2c074

Po chwili mykolog kontynuuje opowieść: „Każdy las ma swoje grzyby. To nie jest tak, że wszędzie rośnie prawdziwek. Tutaj, w tym lesie, gdzie jesteśmy teraz, nie wyrośnie borowik. Tu jeśli już, to wyrosną podgrzybki. Dla grzybiarzy w tym fragmencie lasu tylko one będą interesujące. Cała reszta grzybów tych ludzi nie obchodzi. Dalej jest ładny fragment lasu, starodrzew, ale tu grzybiarz się nie zapuszcza, bo nic tam nie znajdzie. To już miejsce dla mykologa. Teraz w pobliżu jest dużo powycinanych fragmentów. Wichura zrobiła swoje. Tu też powywalało potężne drzewa. Dawniej był piękny las, który można nazwać pierwotnym, a w tej chwili połowa z niego została. W pobliżu wyznaczono ostoję grzybów. Jak przeszła wichura, część połamanych drzew zabrali, a te wywrócone dęby, co tam rosły, były pomnikami, i one musiały zostać. I zrobili ostoję grzybów. Grzyby lubią te martwe drzewa. Na jednym takim drzewie można znaleźć nawet kilkaset gatunków: od kapeluszowych po te mikroskopowe. Jednak trzeba pamiętać, że rzadkie gatunki to dziś pojęcie względne. Kiedy kilkadziesiąt lat temu powstała ich lista ułożona przez Władysława Wojewodę, zostały nadane różne kryteria zagrożenia. Później, jak brać mykologiczna się uaktywniła, to okazało się, że niektóre gatunki uznane za rzadkie występują pospolicie, tylko po prostu brak było ludzi do zweryfikowania powszechności ich występowania".

Zatrzymujemy się przy pniu powalonego przez wiatr drzewa, a pan Mirosław wskazuje: „Widzi pan, o tu, piękny grzyb pokażę, świecznica, to jest nawet przyjmowane do rejestru grzybów rzadkich. Poszukam jeszcze, czy coś innego tutaj nie rośnie. Są jakieś grzybówki. Tu jeszcze występuje taki maleńki grzybek z rzęskami, *Trichophaea*, ale teraz jej nie widzę. Chyba powysychały. Każdy grzyb lubi wilgoć. Te małe grzyby, które można rozpoznać tylko pod mikroskopem – tymi to najchętniej się zajmuję. Takie drobiazgi. Nawet w terenie muszę używać lupy, a potem biorę próbkę i oglądam w domu pod mikroskopem. Większość gatunków grzybów tego rodzaju, jakieś 80-90%, jest rozpoznawalnych tylko w dużym powiększeniu pod mikroskopem, koniecznie z próbki robionej z materiału żywego. Wysłanie komuś do sprawdzenia nie ma sensu. Wyschnie i zatrą się cechy niezbędne do identyfikacji. Chyba że badania DNA. Na to jednak Polaków nie stać. A szkoda. W innych krajach, nawet w Czechach, mają pieniądze. Nawet amatorzy tam dysponują środkami. Tu muszę sobie radzić sam". (...)

Wszystkie gatunki grzybów znalezione w Puszczy Knyszyńskiej są opisywane na stronie internetowej prowadzonej przez mojego rozmówcę, który jednak zaznacza: „Już czasem nie nadążam tego wszystkiego zamieszczać. Na co dzień muszę pracować, ale uruchomiłem ten atlas, bo denerwowało mnie, że wszyscy piszą o tym, jakie to grzyby w Białowieży, w Bieszczadach – a Puszcza Knyszyńska była białą plamą. Ja trochę rozreklamowałem również Puszczę Knyszyńską na świecie. Powiem panu, że to jest w tej chwili jedna z najbardziej znanych puszcz w świecie mykologów. Moje grzyby trafiają na sekwencje do Niemiec, Czech, Włoch, Kanady, Stanów Zjednoczonych. To wszystko jest tam dalej opracowywane. Dużo grzybów już mam wysłanych. Niedługo będzie wysyłka do Francji. Promowanie naszej puszczy jest fajną sprawą.

Pan Mirosław wskazuje: „Pójdziemy tędy". Po krótkiej chwili znów stajemy, a on zwraca moją uwagę na kolejny okaz: „Tu mamy ciekawego grzyba. Już po gatunku grzyba możemy stwierdzić, że to pniak po świerku. Proszę powąchać. Nie pachnie jak anyż? Nazwa pochodzi od tego zapachu. Niszczyca anyżkowa. Teraz lepiej czuć. Występuje tylko na drzewach iglastych. Na podstawie niektórych grzybów można rozpoznać również gatunek drzewa, nawet jeśli został po nim tylko pień. W puszczy można spotkać różne grzyby. Niektóre są naprawdę interesujące. Różne są też miejsca, gdzie rosną. Część grzybów potrzebuje pożaru, żeby wyrosnąć. Bo pożar jest zjawiskiem naturalnym. Jedni mówią, że kataklizm – a dla nich jest wybawieniem. Inne rosną tylko na określonym gatunku, czyli substracie. W tym świecie panuje ogromna różnorodność".

Gdy ruszamy dalej, mykolog przypomina: „W tej chwili jest susza. Za wiele, jak pan widzi, nie ma. Z tą pogodą bywa różnie. U nas we wrześniu czasami nawet suchego grzyba się nie znajdzie. Cała Polska zbiera grzyby, u nas wyż wschodni i mamy piekielną suszę, i w lesie nie ma nic. Wcześniej borowiki występowały u nas we wrześniu masowo, każdego roku. A te ostatnie lata – to różnie z nimi bywa. Niestety. Zmiany klimatu odbijają się najszybciej na grzybach".

A co możemy zrobić, żeby lepiej chronić grzyby? Pan Mirosław odpowiada bez wahania: „W tej chwili powinniśmy największy nacisk położyć na zachowanie lasów naturalnych z grubym i starym drzewostanem. Zostawić obumarłe drzewa na pniu. Niektóre gatunki, te ginące, potrzebują grubego substratu, żeby urosnąć. I te są najbardziej zagrożone".

Jak uważa mój rozmówca: „Świat grzybów jest wciąż niedokładnie zbadany. Co chwila znajduje się nowe gatunki. Przybywa ich z każdym dniem. Ten temat nie pozwala na nudę, co roku odkrywam parę gatunków nowych dla Polski".

Wiele gatunków grzybów bierze udział w rozkładzie materii organicznej, specjalizując się w zasiedlaniu poszczególnych części roślin: pni, liści, drobnych gałęzi, igieł czy szyszek.

Fragmenty książki Pawła Średzińskiego *Puszcza knyszyńska. Tom II*, Paśny Buriat, Kielce 2024

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7caae2c074

Ruch w interesie

Rynek środków na erekcję kwitnie. Stanowisko medycyny wobec tej oferty handlowej jest co najmniej sceptyczne

Lekarze odradzają zakup niebieskich pigułek poza apteką.

Bronisław Tumiłowicz

Zła wiadomość jest taka, że do kolejnego roku będzie grubo ponad 300 mln mężczyzn z problemami ze wzwodem. Niestety, ta liczba szybko rośnie, bo w 1995 r. na zaburzenia erekcji narzekało „tylko" 150 mln mężczyzn. Poprawa nie nastąpiła, mimo że trzy lata później szwajcarska firma Pfizer wprowadziła dosyć skuteczny środek zaradczy oparty na organicznym związku chemicznym o nazwie Sildenafil, opatentowanym w 1993 r. Tabletka o nazwie Viagra, zawierająca inhibitor fosfodiesterazy (co za dzika nazwa dla związku powodującego czasowe rozkurczanie naczyń krwionośnych w prąciu), nie działała jednak w sposób trwały i nie leczyła raz na zawsze tej męskiej dolegliwości. Ratowała tylko jeden (słownie: JEDEN) stosunek płciowy, nawet jeśli w ciągu trzech godzin działania pigułki szczęśliwiec starał się wykorzystać okazję kilka razy. Drugą tabletkę, zgodnie z zasadami bezpieczeństwa, można było zażyć dopiero następnego dnia.

Światło w tunelu

Wiemy, skąd erotyczne niesprawność. Negatywny wpływ mają m.in. siedzący tryb życia, niewłaściwa dieta, brak aktywności ruchowej. Nie pomaga nadmierne picie alkoholu czy palenie papierosów. Problemy z potencją mogą także wynikać z chorób, takich jak nadciśnienie tętnicze, cukrzyca, hiperlipidemia, stwardnienie rozsiane itd. Do tego dokłada się stres towarzyszący każdemu wrażliwemu mężczyźnie, myślącemu: „Znowu mi się nie uda".

Viagra Pfizera, początkowo dosyć droga, była sprzedawana na receptę praktycznie do momentu, gdy wygasły prawa patentowe na produkcję sildenafilu i każdy zakład farmaceutyczny mógł się podjąć wytwarzania własnej wersji. Również w Polsce Polpharma wzięła sprawy w swoje ręce. Otrzymaliśmy powlekaną tabletkę o tej samej nazwie i podobnym wyglądzie – w kolorze niebieskim, o kształcie zaokrąglonego rombu i wymiarach 11,2 mm na 8,1 mm. Tabletki umieszczono tradycyjnie w blistrach po dwie lub cztery w kartonowym pudełku.

Obecnie w Polsce można nabyć także tabletki powlekane Viagra Connect Max, jak też specyfik Cialis i wszystkie inne formy zawierające sildenafil oraz pochodne (proszki, tabletki do rozgryzania i żucia, lamelki ulegające rozpadowi w jamie ustnej) bez recepty. Jeszcze w 2019 r. polska viagra była dostępna tylko z przepisu lekarza z tego powodu, że zawierała dawkę sildenafilu wynoszącą 100 mg, podczas gdy inne wersje produkowane masowo na potrzeby mężczyzn występowały w dawkach najwyżej 25 mg i 50 mg. Preparaty takie jak MaxOn Active, Maxigra Go i Inventum popularyzowano nawet w reklamach telewizyjnych po godz. 22.

Lekarstw na potencję zawierających pobudzający erekcję związek jest już w Polsce ponad 40 i mają one różne nazwy, czasem równie intrygujące jak Viagra – w sanskrycie słowo *wjaghra* oznacza tygrysa. Oczywiście wciąż można nabyć viagrę i sildenafil, ale w handlu, zwłaszcza internetowym, znajdziemy takie specyfiki jak Sildenafil Bluefish, Valinger Forte, Mensil, Remidia, Revatio itd.

Zdarzają się osoby, które nie wierzą, że jedna tabletka na erekcję pomoże, i biorą dwie. To już balansowanie na linie.

Ten ogromny wzrost produkcji środków pobudzających wzwód był nie na rękę głównemu wytwórcy, koncernowi Pfizer, który początkowo nawet procesował się z firmami wypuszczającymi na rynek podróbki, ale to okazało się zbyt kosztowne. Pfizer apogeum przychodów z viagry osiągnął w 2012 r., gdy zgarnął ponad 2 mld dol. Siedem lat później zostało z tego niecałe 500 mln. Potentat musiał przełknąć działalność mniejszych i całkiem małych producentów różnych odmian, wersji i podróbek,

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7caae2c074

choć wciąż próbował się bronić przed konkurencją, ogłaszając, że apteki internetowe w 77% sprzedają nędzne fałszywki. Wszedł na rynek z ofertą, by chętni kupowali prawdziwą viagrę, a nie oszukaną, bezpośrednio u producenta. Apele odniosły taki sam skutek jak zawracanie Wisły kijem.

Potrzeby seksualne męskiej mniejszości przerosły wszelkie oczekiwania, a rynek viagry i paraviagry rozwinął się niesłychanie. Dostawcy internetowi obiecują przywieźć każdemu potrzebującemu „prezencik" w ciągu godziny, jeśli skorzysta z kuriera Wolt Drive.

Mafia lekowa

Ruch w interesie nabrał nadzwyczajnej intensywności. Wiąże się to z opracowaniem substancji pokrewnych o zbliżonym działaniu: awanafilu, wardenafilu i tadalafilu. Na forach internetowych huczy od dyskusji, co jest lepsze, skuteczniejsze. Pada pytanie: tadalafil czy sildenafil? Wymienia się czysto praktyczne zalety. Tabletki z sildenafilem trzeba łykać około godziny przed aktywnością seksualną i potem lek działa przez trzy-cztery godziny, po czym rozkłada się w organizmie. Z kolei tabletki z tadalafilem można zażyć 15 minut przed uprawianiem seksu i są w stanie trzymać w pogotowiu nawet przez 36 godzin. Jeśli ktoś nie rozumie, o co chodzi, internetowy poradnik podpowiada: jest to środek dogodny dla mężczyzn, którzy uprawiają spontaniczne i wielokrotne stosunki płciowe. W naszych aptekach dostępny jest cialis zawierający właśnie ów tadalafil. Bez recepty. Entuzjastom należy wyjaśnić, że mimo wzięcia takiego inhibitora do wzwodu potrzebne jest jeszcze pobudzenie seksualne, a to osiąga się pod wpływem bodźców słuchowych, wzrokowych, dotykowych, jak również zapachowych. Ale to już abecadło miłosne.

Stanowisko medycyny wobec rozbudowania i wzmożenia oferty handlowej jest co najmniej sceptyczne. Seksuolog prof. Zbigniew Lew-Starowicz nie ma zaufania do sprzedaży internetowej. Do oferowanych tam specyfików stosuje termin placebo. To coś, co w rzeczywistości nie działa. Albo gorzej – nie wiadomo, jak działa. Odbiorcy oferty są jednak dobrej myśli co do efektu i wtedy ten spodziewany efekt jest. Bo odruchy seksualne pochodzą z mózgu.

Dr n. med. Marek Marcyniak, ginekolog i seksuolog z Warszawy, nie ma wątpliwości co do miejsca zakupów: – Tylko apteka, gdzie można otrzymać bez recepty zarówno viagrę opartą na sildenafilu, jak i cialis zawierający tadalafil. Nie trzeba niczego tłumaczyć farmaceucie – uspokaja. Doradza natomiast, by nie szaleć, czytaj: nie przedawkować. Osobom w podeszłym wieku, które mają np. nadciśnienie, proponuje brać taką tabletkę nie częściej niż raz w tygodniu. I dodatkowo w trakcie stosunku przyjąć pozycję wygodną, mało wyczerpującą, najlepiej „na jeźdźca".

W praktyce specjalnie wesoło nie jest, np. w warszawskich aptekach przy cialisie widnieje adnotacja: „Kilka sztuk" albo „Ostatnia sztuka". Poniżej ikonka do kliknięcia „Zarezerwuj". Chętnych nie powstrzymuje cena opakowania, która waha się między 200 a 300 zł.

Oczywiście zdarzają się osoby, które nie wierzą, że jedna tabletka pomoże, i biorą dwie. To już balansowanie na linie, choć plotkarskie statystyki medyczne wspominają o rekordziście, który przeżył po 65 tabletkach. Trafił do szpitala, bo miał podwójne widzenie, wysięk z nosa i inne groźne dolegliwości. Być może na tej podstawie głowa państwa wykazała się brakiem zaufania do polskich dziewcząt, posądzając je o to, że będą łykały seriami tabletki „dzień po". Z tym że viagra i pokrewne leki w naszych aptekach są sprzedawane mężczyznom powyżej 18. roku życia, co oznacza dojrzałość.

Jeszcze inny stosunek do potężnego wzrostu zainteresowania lekami na potencję prezentuje dr Sławomir Jakima, psychiatra i seksuolog. Stara się osłabić entuzjazm tych wszystkich, którzy bez konsultacji z lekarzem próbują na własną rękę nabyć środek tego typu. Nie wiedzą, czy ich problemy wynikają z niezdiagnozowanej choroby albo wrodzonych uwarunkowań, czy np. z wieku lub sytuacji rodzinnej. Od razu sięgają po coś, czego może wcale nie potrzebują, a co może być szkodliwe. Przy tak oszałamiającej ofercie tym, co wezmą do ust, rządzi czysty przypadek.

A dlaczego oferta nie uwzględnia czynników zdrowotnych potencjalnych pacjentów? Dr Jakima widzi w tym rękę „mafii lekowej". Rynek nie zna barier, telewizje non stop nadają reklamy różnych specyfików, które nie mają uczciwych atestów medycznych. To nie są niewinne suplementy diety. Nikt dokładnie nie wie, co i w jakich proporcjach składa się na daną tabletkę. Nad dystrybucją pozaapteczną nikt nie panuje. Dr Jakima zgłaszał nawet problem policji i prokuraturze, ale trudno ustalić, kto kieruje tym interesem. Może ktoś na Bahamach albo na Cyprze? Z medialnych doniesień, które mówią, że w zasadzie od środków na poprawę wzwodu jeszcze nikt nie umarł, wyciąga się tylko taki wniosek, że nie służą one do skutecznych prób samobójczych. Czarny rynek kwitnie w najlepsze.

W obliczu ofensywy producentów i dystrybutorów środków poprawiających erekcję zmobilizowali się dietetycy. Zachęcają do stosowania diety urozmaiconej w warzywa i owoce bogate w selen i cynk; jedzenia czerwonej papryki i pietruszki. Dobrze mieć pod ręką nasiona, np. pestki słonecznika, dyni, chrupać orzechy, migdały. Więcej konsumować ryb i owoców morza, a mniej tłustych potraw, fast foodów i słodyczy z dużą zawartością cukru. Każdy mężczyzna powinien dziennie wypijać 2,5 litra wody mineralnej. Odżywiać się regularnie, o tych samych porach. Brzmi mało efektownie i z pewnością nie zadziała w kwadrans, ale w dłuższej perspektywie efekt murowany. ■

To nie są niewinne suplementy diety. Nad dystrybucją pozaapteczną nie ma kontroli. Nikt dokładnie nie wie, co składa się na tabletkę.

eprasa.pl 7caae2c074

JOLKA

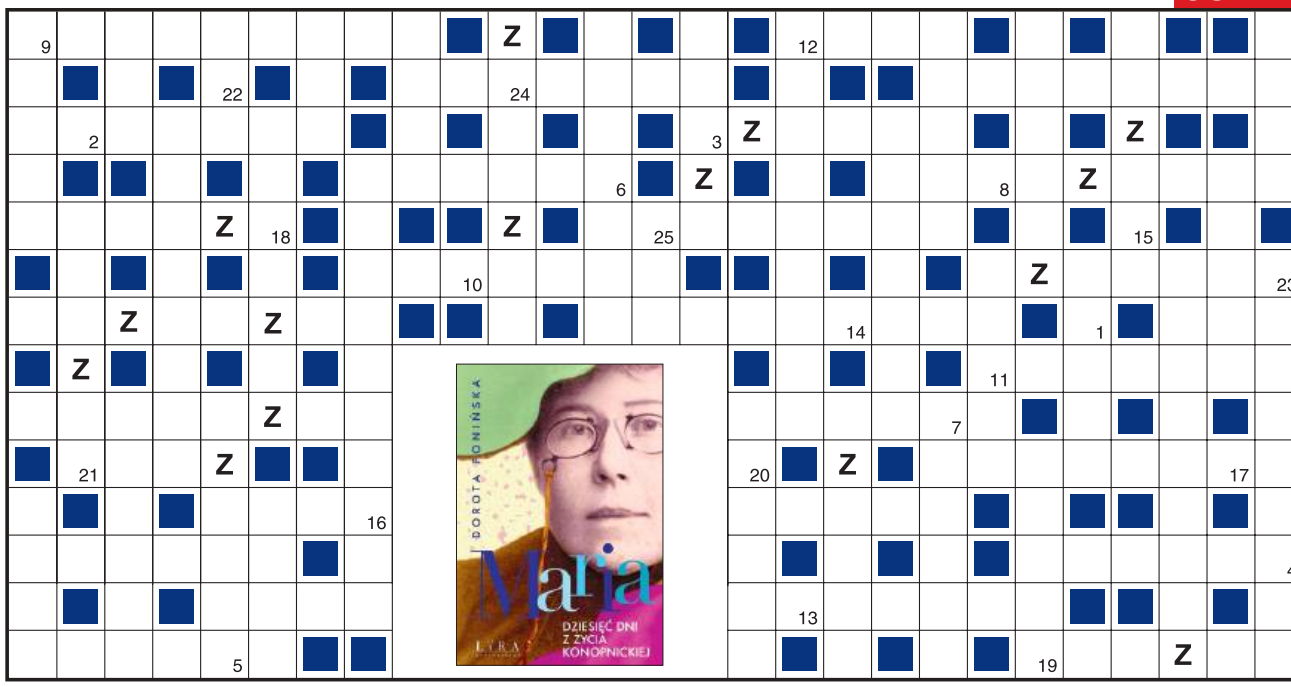

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery Z ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą końcowe hasło.

- miejsce zamieszkania
- oponent, przeciwnik
- była kochanka Nerona, postać z „Quo vadis"
- z jego wydobycia znana Volterra
- jaskrawo upierzona papuga
- wytwarzany nastrój, klimat
- słońca lub urody, chwały
- wykres, tabela
- Wezółowa z „Rancza"
- przebiegające mrowie
- ptactwo jak kury, kaczki
- dać go – uciec
- kinowy, komputera, telewizora
- imię Muska
- galeria nad kruchtą lub nawami bocznymi
- amerykański rolnik
- jaś z grządki
- litera na osi odciętych
- ptak i dramat Mrożka
- na przewodach trakcji lub między ludźmi
- w tej rzece Jezus ochrzczony
- obsłuży gości przy stoliku
- młody jaśmin lub agrest
- fotokopiarka
- pani ze stetoskopem
- Schiller lub Wyczółkowski
- od tego miasta nazwa absurdalnych wierszyków
- miasto z zamkiem koło Rzeszowa
- gilgotanie
- artyzm, mistrzostwo
- podziemna kolej miejska
- krótki utwór, pomniejszona wersja
- żerują w szafie
- …Ben Majmon – Majmonides
- kontrola, piecza
- opowiadacz w powieści
- rak z wierszyka
- można go dać do wody
- obsadka żarówki
- noża lub satyry
- uciążliwe trawsko
- przełożony jasnogórskiego klasztoru
- lubi robić psikusy
- zniszczy, czego się tknie
- średniowieczny wędrowny aktor, muzykant
- pocisk odbity od przeszkody
- kość osłaniająca staw kolanowy
- gromada psów myśliwskich
- mniejszy od kosy
- z angielska o żyjących samotnie
- odgłos lub roślina lecznicza
- grzyb jadalny zwany zmarszczem
- sygnalizuje, że ryba bierze
- rymowanka z ukrytym hasłem
- spryciarz jak lis Witalis
- strata moralna lub materialna
- trąba powietrzna
- spodek z kosmosu
- skała stroma jak klif
- przyjęty, tradycyjny sposób postępowania

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1176". Do rozlosowania książki „Maria. Dziesięć dni z życia Konopnickiej" ufundowane przez Wydawnictwo Lira. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 7 lipca 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1173" z nr. 24: *Z kamienia oleju nie wytoczysz.* Nagrody otrzymują: Waldemar Bodalski z Otwocka, Anna Kotłowska z Poznania, Joanna Sokolnicka-Ćwięk z Krakowa.

eprasa.pl 7caae2c074

Widziane z boku

Oto główny temat polskich komentarzy ostatniego tygodnia ze sfery stosunków międzynarodowych. Prezydent Andrzej Duda pojechał do Chin i był tam podejmowany na najwyższym szczeblu i z najwyższymi honorami. Polska prawica, zachwycona tym, wołała zatem o wielkim międzynarodowym sukcesie (Dudy oczywiście). A liberałowie z tej wizyty się podśmiewali (że Duda wdzięczy się do sojuszników Rosji, poza tym nic nie może). Innymi słowy, na wizytę prezydenta patrzono przez partyjne okulary.

Zupełnie bez sensu. Ludziom PiS przypomnijmy, że Chinami rządzą komuniści, demokracji tam nie ma, a Pekin jest uznawany przez Donalda Trumpa (to ich nadzieja, prawda?) za głównego przeciwnika Ameryki. Trumpiści chcą nakładać cła na Chiny i odcinać kraj od Zachodu – najbardziej. Ta prawica powinna więc krzyczeć „zdrada!" najgłośniej, a chwali.

Liberałom przypomnijmy z kolei, że do Pekinu jeżdżą wszyscy – Olaf Scholz, Emmanuel Macron, i bardzo im na dobrych kontaktach z Xi Jinpingiem zależy. Nie kryją się z tym. Nie bez znaczenia jest też teza, że zakończenie wojny rosyjsko-ukraińskiej bardziej zależy od Chin niż od USA…

Pytanie wobec tego nasuwa się samo: czy mamy łamigłówkę geopolityczną, czy też swojską, partyjną? Że Duda chce się chwalić, a Platforma chce go szczypać?

To jeszcze jedna uwaga: przecież prezydent nie pojechał do Pekinu sam. Towarzyszyli mu i podpisywali dwustronne umowy (wcześniej wynegocjowane) wiceministrowie: spraw zagranicznych – Teofil Bartoszewski, i rolnictwa – Jacek Czerniak. Te pół kroku polski rząd zatem uczynił. A teraz jakby nie wiedział, co dalej… Można więc rzec, że wreszcie Polsce przydał się prezydent Duda. Bo da się go wysłać do Pekinu, niech tam się ściska. A potem albo temu przyklasnąć, albo się odciąć. Ach, Donaldzie Tusk, jakbyś nie miał Dudy, tobyś musiał go wymyślić…

A teraz zejdźmy parę szczebli niżej. Otóż Radosław Sikorski wysyła Małgorzatę Kosiurę-Kaźmierską na ambasadora do Norwegii. Prezydent jej nominację podpisze – była ona za czasów PiS dyrektorem Departamentu Wschodniego (wcześniej – wicedyrektorem), więc musi ją uznać za swoją i za zawodowca. Zwłaszcza że nie powinna być mu obca. Chętnie występowała podczas różnego rodzaju konferencji i paneli, w których brali też udział urzędnicy Kancelarii Prezydenta, i tam się wypowiadała. Potem zresztą pracownicy MSZ niektóre jej cytaty sobie podsyłali. Na przykład taki, że Polska musi rozmawiać z rosyjską opozycją i na nią stawiać, bo to jedyne źródło informacji o Rosji i Rosjanach. Bardzo to ucieszyło naszych dyplomatów i różnych specjalistów od Wschodu.

W zasadzie więc nikogo to nie dziwi, że minister Sikorski delikatnie pozbywa się szefowej jednego z najważniejszych departamentów. Bo jeżeli chce mieć pożytek z tego departamentu, sprawne narzędzie do jakichś działań, musi taki ruch wykonać.

W przypadku Małgorzaty Kosiury-Kaźmierskiej mniej ważne jest, dokąd jedzie, a zdecydowanie bardziej – skąd.

Attaché

Fot.: Krzysztof Żuczkowski

Moc włóczki na Szmulkach. Już piąty raz słupki przy Kawęczyńskiej zyskały kolorowe ubranka. To dzieło sąsiadek ze Szmulek oraz ich przyjaciół, zbierających się w lokalu Punkt dla Pragi, ale każdy może się przyłączyć. Warszawa, 27 czerwca 2024 r.

eprasa.pl 7caae2c074

PENETRACJE

DUŻY FORMAT

BRONISŁAW KOMOROWSKI,
BYŁY PREZYDENT

A jeśli chodzi o Kaczyńskiego?

– Jestem przekonany, że on, jeśli coś robi, to niekoniecznie dlatego, że uważa, że to jest dobre, tylko że to jest użyteczne. On po prostu rozbudował w sobie przekonanie, że w polityce najważniejsza jest skuteczność. W zdobywaniu władzy, w utrzymywaniu władzy, w zarządzaniu ludźmi. Ona jest najwyższym celem, w jej imieniu z różnych rzeczy można się potem usprawiedliwić. Przecież Kaczyński dawno temu miał bardzo proeuropejskie poglądy i musi mieć świadomość, że przez ostatnie osiem lat napinał relacje Polski z instytucjami europejskimi do poziomu bardzo niebezpiecznego. To mu pasowało do obrazka, który potrzebował sprzedawać swoim wyborcom.

VIVA!

JACEK DUBOIS,
ADWOKAT

Adwokat jest trochę księdzem, tylko inaczej ubranym. Ilość tego, co widzimy i przeżywamy, jest niesamowita, ponieważ ciągle pojawiają się nowi ludzie. To są setki sytuacji, zdarzeń, rozmów, zwierzeń. Rzeczywistość bywa dużo bardziej wyrafinowana od najbardziej wybujałej wyobraźni. Na sali sądowej często jesteśmy świadkami historii, których umysł ludzki nie byłby w stanie wymyślić. Nasza głowa staje się magazynem. Ten magazyn może być składem rzeczy martwych, ale one w nas żyją. I cały czas wyżerają nas od środka. Uważam, że pisanie jest najlepszym sposobem układania pewnych rzeczy, spraw. Gdy ktoś mnie prosi o radę i pyta: „Co mam zrobić?", odpowiadam: „Po prostu to opisz". Pióro daje dyscyplinę myśli, chronologii, priorytetów, wymusza dystans. Narzuca element rozliczenia. Ja sobie przez pisanie porządkuję świat.

TYGODNIK ANGORA

MAGDALENA ZAWADZKA,
AKTORKA

Wiedziałam, jaki jest Gustaw, jego słabości polubiłam. Miał główną – do piłki nożnej – i ja to szanowałam. To ja byłam motorem życia domowego. Załatwiałam wszystkie sprawy związane z administrowaniem mieszkaniem i remontami. A zakupy robiliśmy wspólnie. Nie musiałam mu składać sprawozdania z każdego kroku w ciągu dnia ani też od niego tego nie wymagałam. Akceptowałam jego miłość do kart – był wspaniałym brydżystą. Mnie w ogóle gra w karty nie interesowała. Mieliśmy zasadę: nic na siłę. Udany związek to jak wygranie losu na loterii. Przedtem byłam ogromną buntowniczką, a Gustaw mnie bardzo wyłagodził swoją bezgraniczną miłością i dobrocią.

na szczycie

PPŁK ANDRZEJ DEMKOWICZ,
RATOWNIK GOPR, AKADEMIA WOJSK LĄDOWYCH WE WROCŁAWIU

Kilka lat temu AWL kupiła były wojskowy obiekt wypoczynkowy, w którym stworzyliśmy Górski Ośrodek Szkoleniowy „Wysoki Kamień" w Szklarskiej Porębie, będący teraz naszą bazą. Organizujemy tam międzynarodowe zawody wojskowe: zimowe „Military Ski Patrol" oraz letnie „Mountain Warrior". Nie odstajemy od najlepszych. Nasi żołnierze reprezentują bardzo wysoki poziom. Do połowy marca w wyższych partiach Karkonoszy nie brakowało śniegu, mogliśmy więc bez większych przeszkód prowadzić szkolenia lawinowe, narciarskie czy wspinaczkowe z wykorzystaniem raków, czekana oraz asekuracji. A także survivalove, bo elementem każdego zimowego szkolenia jest 24- lub 48-godzinne ciągłe działanie w górach oraz budowanie i improwizowanie schronisk, nocleg pod tarpem lub w jamie śnieżnej i dalsze działanie.

FOT. AMEM, BEZ RÓŻOWYCH OKULARÓW, SEKCJA GIMNASTYCZNA (2)

eprasa.pl 7caae2c074

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z **sześciu** liter

1. GAL + NOS =
2. DOM + ETA =

Wyrazy z **siedmiu** liter

3. AULA + TER =
4. POZA + WÓR =

Wyrazy z **ośmiu** liter

5. CERA + TINA =
6. BLIN + DRYG =

ROZWIĄZANIA: SLOGAN, METODA, LAUREAT, PAROWÓZ, NATARCIE, DRYBLING

Aby język giętki...

AGNIESZKA HOLLAND O JACKU BROMSKIM
Ewidentnie popełnił szereg błędów i teraz trzeba zgodnie z wcześniejszą deklaracją ustąpić.

KS. ADAM BONIECKI O BOGDANIE DE BARBARO
Jest wytrawnym znawcą ludzi, naszej prostoty i pokrętności.

MIROSŁAW OCZKOŚ O JACKU KURSKIM
Wiemy, że to polityk, który nie ma żadnych granic, żadnych hamulców, a teraz okazało się, że te hamulce nie mają klocków i zatrzymał się na ścianie.

ANDRZEJ STASIUK O PODEJŚCIU DO STAROŚCI
Ulga jakaś, że już po wszystkim. Życie w końcu jest wysiłkiem, a młodość to szarpanina.

AGATA PASSENT O MŁODYCH DZIENNIKARZACH
Cierpią na lęk przed telefonem. Boją się bezpośredniego kontaktu z osobami, których nie znają.

MAŁGORZATA ROZENEK-MAJDAN WYCHWALA MĘŻA RADOSŁAWA
Jest facetem, który żył przede mną pełną piersią i teraz z tego korzystam, bo facet, który się wyszalał i spróbował wszystkiego, już nie musi tego poszukiwać.

DODA KRYTYKUJE MAŁGORZATĘ ROZENEK-MAJDAN
Ona cieszy się, że Radek zniszczył tyle damskich serc. Nie zdaje sobie sprawy, jakie to robi rany.

AGNIESZKA ROMASZEWSKA O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM
Mam swoje zdanie, ale sobie o tym pogadam w domu z mamą.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji: Małgorzata Fiejdasz-Kaczyńska, Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 7caae2c074

Kłótnia

Kanka

CAŁĄ ZIMĘ CZEKAM, AŻ WRÓCĄ BOCIANY

Bohaterowie monumentalnych obrazów **Bartłomieja Flisa** są zwróceni ku ziemi, w niej szukają bezpieczeństwa. Pielęgnują z czułością drobne rośliny, których plon żywić będzie kolejne pokolenia. Można odnieść wrażenie, że to ocaleńcy, ostańcy po apokalipsie, którzy dopiero uczą się świata. A przecież ta apokalipsa się powtarza, cykl następujących po sobie pór roku to naturalna kolej rzeczy. Jednak wychowany na wschodzie Polski artysta na własne oczy widzi nieodwracalne zmiany zachodzące na wsi. Ubrudzone ziemią dłonie osób pracujących na roli stają się już tylko wspomnieniem, mitem.

BWA Warszawa
ul. Marszałkowska 34/50/666
do 31 lipca

Jajo

Lot

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 7caae2c074

FILM PRODUCENTÓW PSICH PAZURÓW I KRÓLESTWA ZWIERZĄT

JULIA GARNER
JESSICA HENWICK

THE ROYAL HOTEL

FILM KITTY GREEN

SCREEN AUSTRALIA PRESENTS IN ASSOCIATION WITH SOUTH AUSTRALIAN FILM CORPORATION SCREEN NSW AND ALMA MARGO
A SEE-SAW FILMS PRODUCTION "THE ROYAL HOTEL" JULIA GARNER JESSICA HENWICK
HOTEL COOLGARDIE KIRSTY MCGREGOR JEDI PALMER
KASRA RASSOULZADEGAN LEAH POPPLE MICHAEL LATHAM KATHERINE BRIDLE
LIBBY SHARPE SIMON GILLIS LIZ WATTS KATH SHELPER
WRITTEN BY KITTY GREEN AND OSCAR REDDING

Dystrybucja w Polsce
www.galapagosfilms.pl

W KINACH OD 28 CZERWCA

FILM|ORG|PL
movies room
wysokieobcasy.pl
Przegląd
K MAG

eprasa.pl 7caae2c074

17-21 LIPCA 2024

KAZIMIERNIKEJSZYN

WYDARZENIE BEZ SPINKI

GOGOL BORDELLO
ARTUR ROJEK • KWIAT JABŁONI
ŁĄKI ŁAN • VITO BAMBINO

BARANOVSKI • BARTEK KRÓLIK • BASS ASTRAL
JAZZ BAND MŁYNARSKI – MASECKI
KUBA BADACH • SORRY BOYS

BOHEMIAN BETYARS • GOORAL//PAPRODZIAD
KAZIMIERSKA ORKIESTRA DZIADOWSKA • PROJEKT WOW

KAMIENIOŁOMY, KAZIMIERZ DOLNY

KAZIMIERNIKEJSZYN.PL

BILETY/KARNETY: TICKETCLUB.PL

eprasa.pl 7caae2c074